

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

OBLĘŻENIE

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

Tom Clancy

Obleżenie

1

Tłumaczył

Krzysztof Sokołowski

Tytuł oryginału

Op–Center State of Siege

2

Spis treści

[Obleżenie 1](#)

[*Krzysztof Sokołowski 1*](#)

[Podziękowania 5](#)

[Prolog 7](#)

[1 9](#)

[2 14](#)

[3 19](#)

[4 26](#)

[5 30](#)

[6 35](#)

[7 41](#)

[8 43](#)

[9 46](#)

[10 48](#)

[11 51](#)

[12 55](#)

[13 57](#)

[14 60](#)

[15 63](#)

[16 66](#)

[17 70](#)

[18 78](#)

[19 80](#)

[20 83](#)

[21 85](#)

[22 87](#)

[23 90](#)

[24 92](#)

[25 94](#)

[26 97](#)

[27 99](#)

[28 102](#)

3

[29 105](#)

[30 107](#)

[31 110](#)

[32 111](#)

[33 112](#)

[34 115](#)

[35 117](#)

[36 120](#)

[37 121](#)

[38 123](#)

[39 125](#)

[40 130](#)

[41 131](#)

[42 135](#)

[43 137](#)

[44 141](#)

[45 142](#)

[46 145](#)

[47 147](#)

[48 149](#)

[49 152](#)

[50 154](#)

[51 156](#)

[52 157](#)

[53 159](#)

[54 161](#)

[55 163](#)

[56 164](#)

[57 168](#)

[58 170](#)

[59 174](#)

[60 176](#)

4

Podziękowania

Pragniemy podziękować Jeffowi Rovinowi za jego pomysły i nieocenioną pomoc przy przygotowaniu rękopisu. Bardzo pomogli nam również Martin H. Greenberg, Lany Segriff, Robert Youdelman, Esq., Tom Mallon, Esq. oraz wspaniali ludzie z Penguin Putnam Inc., w tym Phyllis Grann, David Shanks i Tom Colgan. Jak zwykle dziękujemy również Robertowi Gottliebowi z William Morris Agency, naszemu agentowi i przyjacielowi, bez którego książka ta nigdy nie zostałaby napisana. Osądźcie, drodzy Czytelnicy, na ile ten nasz wspólny wysiłek zakończył się sukcesem.

Tom Clancy i Steve Pieczenik

5

v ONZ, Nowy Jork

Rada Bezpieczeństwa zakończyła wczoraj opracowywanie rezolucji, w której żąda od Iraku podjęcia współpracy z inspektorami do spraw kontroli uzbrojenia, nie zagroziła jednak użyciem środków wojskowych w przypadku, gdyby Irak nie zastosował się do jej żądań.

Associated Press, 5 listopada, 1998

6

Prolog

v Kampong Thom, Kambodża, rok 1993

Zmarła na jego rękach, w jaskrawych promieniach wschodzącego słońca. Zamknęła piękne oczy, ostatni oddech uniósł jej delikatną pierś... i odeszła.

Hang Sary wpatrywał się w twarz dziewczyny. Widział żdźbła trawy i grudki ziemi w jej wilgotnych włosach, widział skaleczenia na czole i nosie. Na widok umalowanych na czerwono warg, różu na policzkach i ciemnej kredki na powiekach, ściekającej teraz aż na skronie, poczuł nagłe obrzydzenie.

Nie tak miało być. Nie miało być tak nawet w tym kraju, gdzie o niewinności wiadano równie mało jak o życiu w pokoju.

Phum Sary nie powinna umrzeć tak młodo. Nie powinna umrzeć w ten sposób. Nikt nie powinien umierać w ten sposób, na smaganym wiatrem polu ryżowym, leżąc w brudnej wodzie czerwieniejącej od krwi. Phum zmarła wiedząc przynajmniej, kto trzyma ją w ramionach. Nie zmarła tak jak żyła przez prawie całe życie: samotna, niechciana. I choć poszukiwania, z których Hang nie zrezygnował nigdy, właśnie się skończyły, inne miały się dopiero rozpocząć.

Hang siedział z podciągniętymi kolanami, z opartą na nich głową siostry. Łagodnie dotknął czubka jej nosa, powiódł palcem po delikatnym policzku, miękkich wargach.

Uśmiechała się, zawsze się uśmiechała, niezależnie od tego, co akurat robiła.

Wydawała się taka krucha. Taka delikatna.

Wyjął jej dłonie z wody i złożył je na ciasno opinającym ciało niebieskim materiale przetykanym złotą nicią. Przytulił ją. Spytał sam siebie, czy w ciągu ostatnich lat był ktoś, kto ją tak przytulał. Czy przez cały czas żyła w sposób aż tak potworny? Czy miała wreszcie dość i zdecydowała, że nawet śmierć jest lepsza?

Twarcz Hanga ściągnęła się, kiedy myślał o jej życiu. Nagle rozplakał się. Jak mogłem być tak blisko i nie wiedzieć? — pomyślał. Już od tygodnia wraz z Ty wykonywali w wiosce tajne zadanie. Czy kiedykolwiek będzie w stanie wybaczyć sobie, że nie dowiedział się o siostrze wówczas, gdy mógł jeszcze uratować jej życie?

Biedna Ty... będzie niepokieszona, kiedy dowie się, o kogo chodziło. Przeprowadzała w tej chwili rekonesans w obozie, próbując dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stoi. Przez radiotelefon przekazała mu informację, że jedna z kobiet najwyraźniej próbowała ucieczki tuż przed wschodem słońca, w momencie zmiany warty. Ścigano ją i postrzelono. Phum dostała kulę w bok. Prawdopodobnie biegła, a potem szła, póki była jeszcze w stanie iść. Później pewnie położyła się, by patrzeć na jaśniejsze niebo. Kiedy była małą dziewczynką, Phum 7

często patrzyła w niebo. Ciekawe, czy niebo i wspomnienie lepszych czasów ułatwiło jego siostrzyczce odejście w pokoju.

Hang przeczesał palcami długie, ciemne włosy siostry. W dali usłyszał plusk. To z pewnością Ty. Powiedział jej przez radiotelefon, że dostrzegł dziewczynę i widział, jak padała. Obiecała, że przybędzie w ciągu pół godziny. Mieli nadzieję, że poznają nazwisko, że ktoś wreszcie przerwie krąg milczenia otaczający tę potworną organizację, niszczącą życie tak wielu młodych kobiet. Kiedy Phum dostrzegła go, była jednak w stanie zaledwie wypowiedzieć imię brata. Zmarła z jego imieniem i lekkim uśmiechem na wymalowanych jaskrawą szminką ustach. Nie wypowiedziała imienia swego mordercy.

Ty przybyła na miejsce i spojrzała na martwą dziewczynę. Stała, ubrana w strój wieśniaczki, na porannym wietrze. Nagle szeroko otworzyła oczy. Uklękła przy Hangu i przytuliła go. Przez kilka minut trwali tak, nieruchomo, w milczeniu. Potem Hang wstał

powoli, trzymając na rękach ciało siostry. Poniósł je do starego kombi, które było ich bazą terenową.

Wiedział, że nie powinni opuszczać Kampong Thom. Nie teraz, kiedy byli tak bliscy zdobycia informacji, po które przyjechali. Musiał jednak odwieźć siostrę do domu. Tam powinna zostać pochowana.

Robiło się coraz cieplej, słońce paliło go w kark. Ty otworzyła tylne drzwi kombi.

Rozłożyła koc pomiędzy kartonowymi pudłami, w których znajdowała się broń, sprzęt łączności, mapy, listy oraz ładunki fosforowe. Hang miał przy pasie urządzenie do ich zdalnego detonowania. Gdyby zostali złapani, wysadziłby samochód w powietrze, a potem popełnił samobójstwo za pomocą *Smith&Wessona* .357. Ty postąpiłaby tak samo.

Z jej pomocą umieścił ciało na kocu. Położył je w bagażniku, bardzo delikatnie. Nim odjechali, po raz ostatni rozejrzał się po polu. Krew siostry uczyniła je świętym, lecz ziemia nie zostanie oczyszczona, póki nie obmyje jej krew tych, którzy doprowadzili do jej śmierci.

Tak się stanie. Przysiągł, że tak się stanie, choćby musiał czekać na to bardzo, bardzo długo.

v Paryż, Francja, poniedziałek 06.13

Przed siedmioma laty, podczas służby w UNTAC – oddziałach pokojowych ONZ w Kambodży, śmiały, tęskniący do przygód porucznik Reynold Downer z 11. kompanii 28.

batalionu królewskiego pułku Zachodniej Australii, dowiedział się, jakie warunki muszą zostać spełnione, nim ONZ będzie mogła wysłać siły pokojowe na teren jakiegokolwiek państwa. Nie interesowało go to i wcale nie miał ochoty brać udziału w takim przedsięwzięciu, ale decydował rząd Australii, a nie on.

Tak więc, po pierwsze, piętnaście krajów członkowskich Rady Bezpieczeństwa musiało zaakceptować operację oraz jej szczegóły. Po drugie, ponieważ ONZ nie dysponuje własną armią, kraje członkowskie Zgromadzenia Ogólnego musiały zgodzić się na wysłanie swych wojsk oraz na osobę dowódcy, odpowiedzialnego za rozmieszczenie i działania wielojęzycznej armii. Po trzecie, walczące ze sobą siły musiały zgodzić się na obecność oddziałów pokojowych na swym terytorium.

Znalazłszy się na miejscu żołnierze mieli trzy cele. Po pierwsze, musieli doprowadzić do przerwania ognia i pilnować rozejmu, podczas gdy zwaśnione strony szukały pokojowego sposobu zakończenia walk. Po drugie, mieli stworzyć między nimi strefę buforową. Ich trzecim zadaniem było utrzymanie pokoju poprzez prowadzenie działań bojowych – gdyby okazały się konieczne – rozminowywanie terenu, by cywile mogli wrócić do domu, a także korzystać bezpiecznie ze źródeł wody i pożywienia. Oddziały ONZ osłaniały także akcje humanitarne.

Wszystko to wytłumaczono żołnierzom 28. batalionu podczas dwutygodniowych ćwiczeń w koszarach Irwin w Stubb Terrace. Podczas tych dwóch tygodni żołnierze poznawali zwyczaje ludności w miejscu przeznaczenia, zaznajamiali się z problemami politycznymi, językiem, środkami oczyszczania wody; uczyli się także prowadzenia pojazdów powoli, ze wzrokiem wbitym w drogę, tak by nie najechać na minę.

Uczono ich również, by nie dziwili się na widok swego odbicia w ciemnoniebieskim berecie i apaszcze tego samego koloru.

Kiedy skończyło się szkolenie, które jego dowódca nazwał celnie „kastracją”, kontyngent australijski rozparcelowano między sześćdziesiąt cztery założone w Kambodży obozy. Dowódcą całości sił UNTAC w misji trwającej od marca 1992 do września 1993 roku był Australijczyk właśnie, generał John M. Sanderson.

Operację opracowano bardzo starannie pod kątem uniknięcia konfliktu zbrojnego.

Żołnierze Narodów Zjednoczonych mogli strzelać dopiero wówczas, gdy otwarto do nich ogień, zresztą wolno im było bronić się wyłącznie w sposób, który nie stwarzałyby groźby eskalacji konfliktu. W przypadku śmierci któregoś z nich śledztwo prowadzić miała miejscowa policja, a nie wojsko. Prawa człowieka mieli wcielać w życie przez nauczanie, nie 9

siłą. Przede wszystkim rozdzielali walczące strony, lecz ich zadaniem było także rozdawanie żywności i dbanie o zdrowie miejscowej ludności.

Downerowi wszystko wydawało się bardziej cyrkiem niż operacją wojskową. „Chodźcie do nas, nieszczęśliwi ludzie z Trzeciego Świata. Tu macie chleb, tu penicylinę, tu czystą wodę”. Wrażenie, że pracuje w cyrku powiększały jeszcze namioty z powiewającymi na czubkach kolorowymi chorągiewkami i miejscowi gapie, którzy nie bardzo wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi. Choć wielu z nich brało co im dawano, wszyscy sprawiali wrażenie, jakby marzyli tylko o tym, by ONZ wyniosła się jak najszybciej. Przemoc była dla nich czymś zrozumiałym i od zawsze obecnym w ich codziennym życiu, obcych zaś zdecydowanie nie lubili.

W Kambodży mieli tak niewiele do roboty, że pułkownik Iwan Georgijew, wysoki oficer Ludowej Armii Bułgarii, zorganizował sieć burdeli. Ochroniali je oficerowie polpotowskiej zbuntowanej Narodowej Armii Demokratycznej Kampuczy, którym potrzeba było dewiz na zakup broni i zapasów; dostawali za to dwadzieścia pięć procent zysków. Georgijew sterował

swoim przedsięwzięciem z namiotów wzniesionych za jego punktem dowodzenia.

Dziewczyny przychodziły na „radiowe kursy językowe UNTAC” i zostawały, by przysporzyć krajowi dewiz. Właśnie tam Downer poznał Gergijewa i majora Japońskich Sił Samoobrony Ishiro Sazanakę. Bułgar twierdził, że jego najlepszymi klientami są właśnie Australijczycy i Japończycy, chociaż Japończycy traktowali dziewczęta brutalnie i trzeba było bardzo ich pilnować. „Uprzejmi sadyści”, tak ich nazywał. Downer, którego wuj Thomas, walczył z Japończykami na Południowym Pacyfiku jako żołnierz australijskiej Siódmej Dywizji, nie zgodziłby się z tym określeniem. Jego zdaniem, Japończycy wcale nie byli uprzejmi.

Downer pomagał rekrutować nowe „chętne do nauki języka” dziewczyny, podczas gdy reszta pomocników Georgijewa szukała innych sposobów, by zapełnić namioty; jednym z tych sposobów były porwania. Czerwoni Khmerzy pomagali im w tym, gdy tylko nadarzyła się okazja. Poza tym zajęciem ubocznym Downer nudził się na potęgę. Narody Zjednoczone były zbyt miękkie, a przyjęte przez nie zasady przesadnie ograniczały możliwości żołnierzy.

Dorastając w dokach Sydney nauczył się, że tak naprawdę obowiązuje tylko jedna zasada: czy sukinsyn zasługuje na kulę, czy nie zasługuje? Jeśli zasługiwał, to się do niego strzelało i wracało do domu. Jeśli nie zasługiwał, to po cholere się nim przejmować?

Downer wypił resztkę kawy i odsunął ciężki kubek, stojący na plastikowym blacie stolika do gry w karty. Kawa była dobra, czarna i gorzka; taką najchętniej pijał w polu. Czuł

się po niej ożywiony, gotów do działania. Być może nie było najlepszym pomysłem picie takiej kawy tu i teraz, kiedy nie miał nic do roboty, ale i tak lubił to uczucie.

Spojrzał na zegarek, zapięty na opalonym przegubie. Gdzie się, do cholery, podzieli?

Grupa wracała zazwyczaj o ósmej. Ile może trwać sfilmowanie czegoś, co filmowali już sześć razy?

Odpowiedź była prosta: będzie trwało tyle, ile kapitan Vandal uzna za stosowne. W tej części operacji to on był dowódcą. Gdyby ten Francuz nie był tak sprawny, nie byłoby ich tu.

To Vandal ściągnął ich do Paryża, on kupił sprzęt, nadzorował rozpoznanie i miał ich stąd wyciągnąć, by mogli rozpocząć fazę drugą, podczas której dowódcą będzie Georgijew.

10

Downer wyciągnął z pudełka suchara z żytniej mąki i ugryzł go niecierpliwie. Jego smak przypominał mu czasy ćwiczeń w australijskiej dziczy. Było to wówczas niemal jedyne pożywienie jednostki.

Żując krakersa przyglądał się małemu, ciemnemu mieszkaniu. Niebieskie oczy przesunęły się z wejścia do kuchni po prawej na stojący pod przeciwległą ścianą telewizor i na drzwi wejściowe. Vandal wynajął to mieszkanie dwa lata temu. Jednopokojowe, na parterze, znajdowało się w domu przy krzywej uliczce niedaleko Boulevard de Bastille, blisko poczty. Oprócz położenia ważne było także to, że mieszkali na parterze, dzięki czemu w razie niebezpieczeństwa mogli uciekać przez okno. Kiedy składali swe oszczędności na sfinansowanie operacji, Francuz obiecał im, że dobrze będzie płacić wyłącznie za podrobione dokumenty, sprzęt do obserwacji i broń.

Strzepując okruchy suchara z spranych dzinsów, potężnie zbudowany Australijczyk spojrzał na wielkie torby ułożone szeregiem między telewizorem i oknem. Opiekował się pięcioma takimi torbami, wypełnionymi bronią. W tym przypadku Vandal wykonał naprawdę dobrą robotę. *Kalasznikowy*, pistolety, pojemniki z gazem łzawiącym, granaty, granatniki przeciwpancerne, wszystkie nie do wyśledzenia, kupione za pośrednictwem chińskich handlarzy bronią, poznanych podczas operacji pokojowej w Kambodży.

Niech Bóg błogosławi Organizację Narodów Zjednoczonych, pomyślał Downer.

Jutro rano, tuż po wschodzie słońca, mieli zapakować broń do kupionej tydzień temu furgonetki. Potem Vandal i Downer podrzucą Sazanakę, Georgijewa i Barone'a na lądowisko helikopterowe, a następnie odjadą w ściśle określonym czasie tak, by spotkać się u celu.

Cel, myślał Australijczyk. Tak trywialny, a tak ważny dla reszty operacji.

Spojrzał na stół. Obok telefonu stała mała ceramiczna miska, wypełniona czarną mazią ze spalonych rysunków i notatek, polanych wodą z kranu. W notatkach znajdowało się wszystko: od prognozy wiatru na trzystu metrach o godzinie ósmej rano, przez analizę ruchu drogowego, aż do rozkładu patroli policji rzecznej na Sekwanie. Spalone notatki można odczytać, spalone i mokre są nie do odczytania.

Jeszcze tylko jeden dzień tej potwornej nudy, powiedział sobie.

Kiedy wróci reszta grupy, spędzą kolejne popołudnie analizując taśmy wideo i upewniając się, że ta

faza operacji została dobrze przygotowana. Znow będą rysować szkice, obliczać czas lotu, dopasowywać go do godzin odjazdów autobusów, uczyć się nazw ulic i adresów handlarzy broni koniecznych do zrealizowania kolejnej fazy. A potem, nad ranem, znow wszystko spalą, by policja nie znalazła w śmieciach niczego, co mogłaby użyć przeciwko nim.

Australijczyk spojrział na leżące na ziemi śpiwory. Leżały przed kanapą, ostatnim meblem w mieszkaniu. W jedynym oknie zamontowany był wentylator, kręcący się niestrudzenie, bowiem pogoda była upalna. Vandal zapewnił ich, że temperatura zbliżająca się do czterdziestu stopni była korzystna dla planu. Cel był tylko wentylowany, nie klimatyzowany, więc znajdujący się w środku mężczyźni będą reagowali wolniej niż w normalnych warunkach.

11

Nie tak jak my, pomyślał Downer. On i jego towarzysze broni wiedzieli, po co robią to, co robią.

Australijczyk pomyślał z kolei o pozostałych czterech ekszołnierzach Pokojowych Sił

Zbrojnych ONZ, biorących udział w ich akcji. Wszystkich spotkał w Phnom Pehn; każdy z nich miał swój własny, odrębny powód, by się tu znaleźć.

W zamku drzwi wejściowych zazgrzytał kluczyk. Downer sięgnął po chiński pistolet *Wzór 64* z tłumikiem, spoczywający do tej pory w kaburze wiszącej na oparciu krzesła.

Delikatnie odsunął stojące na stole pudełko z sucharami, by mieć czyste pole do strzału.

Nadal siedział. Oprócz Vandala klucz do mieszkania miał tylko dozorca. Podczas ostatniego roku Downer mieszkał w tym mieszkaniu trzykrotnie i za każdym razem *consierge* przychodził wyłącznie wezwany, a czasami nie stawiał się nawet na wezwanie. Jeśli drzwi otwierał ktoś nieupoważniony do wejścia, będzie musiał umrzeć. Downer miał nawet nadzieję, że to ktoś kogo nie zna. Był w nastroju do strzelaniny.

Otworzyły się drzwi i do mieszkania wszedł Etienne Vandal. Długie, kasztanowate włosy nosił zaczesane do tyłu, oczy zakrywały mu okulary przeciwsłoneczne, przez ramię przewiesił niedbale torbę z kamerą wideo. Za nim szli: łysy, potężnie zbudowany Georgijew, śniady Barone i wysoki, szeroki w ramionach Sazanaka. Wszyscy mieli identyczne, obojętne miny, wszyscy ubrani byli „na turystów”, w podkoszulki i sprane dżinsy.

Sazanaka zamknął drzwi, cicho i delikatnie.

Downer odetchnął i wsunął broń w kaburę.

— Dobrze było? — spytał. Nadal mówił z dźwięcznym, gardłowym akcentem z Nowej Południowej Walii.

— Dąbrzzzy bułu? — powtórzył Barone, parodiując akcent Australijczyka.

— Przestań — polecił Vandal.

— Tak jest! — odparł Barone. Zasalutował, krzywiąc się kpiąco w stronę Australijczyka.

Downer nie lubił Barone'a. Ten arogancki mały człowieczek posiadał coś, czego brakowało pozostałym członkom grupy: poglądy. Zachowywał się tak, jakby wszyscy byli jego wrogami, nawet sojusznicy. Miał także dobre ucho. Będąc nastolatkiem pracował jako strażnik w ambasadzie amerykańskiej i mówił po angielsku niemal bez akcentu. Downer nie pobił go do tej pory tylko dlatego, że wszyscy wiedzieli, iż gdyby mały Urugwajczyk kiedykolwiek przekroczył niewidzialną granicę, wielki, niemal dwumetrowy Australijczyk przełamał by go na pół.

Vandal położył torbę na stole. Wyjął kasetę z kamery i podszedł do telewizora.

— Zdaje się, że rozpoznanie poszło dobrze — powiedział. — Wzory ruchu ulicznego wydają się takie same jak w zeszłym tygodniu. Ale porównamy taśmy, żeby się upewnić.

— Mam nadzieję, że po raz ostatni? — spytał Barone.

12

— Wszyscy mamy tę nadzieję — stwierdził Downer.

— Tak, ale ja chciałbym się wreszcie stąd wynieść — powiedział

dwudziestodwuletni żołnierz. Nie powiedział, gdzie. Grupa cudzoziemców spotykająca się w nędznym mieszkanku w Paryżu, zawsze może stać się obiektem podsłuchu policyjnego.

Sazanaka usiadł na kanapie i w milczeniu zdjął tenisówki. Masował swoje wielkie stopy.

Barone rzucił mu butelkę wody z lodówki. Japończyk chwycił ją i mruknął pod nosem coś, co miało być podziękowaniem. Mówił po angielsku najgorzej z nich. Odzywał się bardzo rzadko. Downer był o Japończykach tego samego zdania co jego wuj i milczenie Sazanaki mu nie przeszkadzało. Z czasów dzieciństwa pamiętał japońskich marynarzy, turystów i spekulantów, rojących się jak mrówki w porcie w Sydney. Ci, którzy nie zachowywali się jakby był ich własnością, sprawiali wrażenie pewnych, że niedługo będzie. Niestety, Sazanaka potrafił pilotować niemal wszystko, co lata, a grupa potrzebowała tej jego umiejętności.

Barone podał butelkę stojącemu za nim Georgijewowi, który mu za nią podziękował.

Krótkie „dziękuję” było pierwszym wypowiedzianym przez Bułgara słowem, które Downer usłyszał od wczorajszego obiadu, mimo że posługiwał się on niemal bezbłędną angielszczyzną; w końcu od niemal dziesięciu lat był agentem CIA w Sofii. W Kambodży pułkownik też rzadko się odzywał. Bardzo uważnie obserwował za to kontakty Czerwonych Khmerów, tajnej policji rządowej i obserwatorów ONZ, kontrolujących przestrzeganie praw człowieka. Raczej wolał słuchać niż mówić, nawet gdy o niczym nie rozmawiano. Downer żałował, że nie ma do tego cierpliwości.

Ludzie umiejący słuchać, wiele dowiadują się nawet podczas przypadkowej rozmowy, a wiedza ta bywa przydatna.

— Chcesz? — Barone wyciągnął butelkę do Vandala. Francuz tylko pokręcił głową.

Urugwajczyk spojrzał na Downera.

— Tobie też bym dał, ale wiem, że odmówisz — powiedział. — Ty pijesz ciepłą wodę.

Prawie wrzątek.

— Ciepłe napoje są lepsze dla zdrowia. Pocisz się po nich. Oczyszczasz system.

— Mówisz, jakbyśmy bez ciepłej wody nie pocili się wystarczająco — skrzywił się Barone.

— Dla mnie to za mało. To przyjemne uczucie. Dzięki potowi czujesz, że działasz. Że żyjesz.

— Kiedy jesteś z kobietą to z pewnością wspaniałe. Tu i teraz to jakbyś odprawiał pokutę.

— Czasami i to jest dobre uczucie.

— Może dla psychopatów...

— Czyż my wszyscy nie jesteśmy psychopatami? — uśmiechnął się Australijczyk.

— Dość — rozkazał Vandal, włączając magnetowid.

13

Downer był gadułą. Dźwięk własnego głosu uspokajał go. Jako dziecko mówił do siebie przed snem, opowiadał sobie fantastyczne historie, zagłuszając ryki pijanego ojca-dokera, bijącego kolejną kobietę, których wiele sprowadzał do ich rozpadającego się drewnianego domu.

Barone odkręcił własną butelkę wody, wypił ją długimi łykami, przyciągnął krzesło i usiadł obok Australijczyka. Wziął suchara i gryzł go, przyglądając się obrazowi na dziewiętnastocalowym telewizorze. Pochylił się do sąsiada.

— Nie podoba mi to, co powiedziałeś — szepnął. — Psychopaci są nieracjonalni. Mnie to nie dotyczy.

— Tak ci się wydaje?

— Teek — Barone znów sparodiował sposób mówienia Australijczyka. Downer zniósł

to bez słowa. Rozumiał, że potrzebne mu są umiejętności Barone'a, a nie jego przyjaźń.

Dwukrotnie obejrzeni dwudziestominutowe nagranie. Później Vandal dołączył do Downera i Barone'a siedzących przy chwiejącym się stole. Urugwajczyk był rewolucjonistą, wspomógł utworzenie nietrwałego Consejo de Seguridad Nacional, który obalił

skorumpowanego prezydenta Bordaberry'ego. Specjalizował się w materiałach wybuchowych. Downer specjalizował się w uzbrojeniu i walce wręcz. Sazanaka był pilotem.

Kontakty Georgijewa umożliwiały im kupienie wszystkiego co potrzebne na czarnym rynku.

Bułgar właśnie powrócił z Nowego Jorku, gdzie załatwił broń przez handlarza zaopatrującego Czerwonych Khmerów, a także wykorzystał swe kontakty, by zdobyć informacje o samym celu. Wszystko to miało być potrzebne w drugiej fazie operacji.

Na razie jednak nie myśleli o drugiej fazie. Najpierw sukcesem musiała zakończyć się pierwsza. Po raz trzeci obejrzeni nagranie, upewniając się, że wybuch o zaplanowanej sile otworzy im cel, nie niszcząc niczego innego.

Cztery godziny spędzili nad taśmą. Po południu spotkali się z miejscowymi kontaktami Vandala, sprawdzając sprzęt, którego mieli użyć: furgonetkę i helikopter. Zjedli obiad w *café* i wrócili do pokoju, by odpocząć.

Mimo że byli podnieceni, wszyscy zasnęli bez problemu. Sen był im potrzebny.

Jutro mieli rozpocząć nową epokę w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Miała ona zmienić świat, a także uczynić ich bogatymi. Downer, leżący na śpiworze, czuł na skórze powiew wiatru wiejącego z otwartego okna. Wyobraził sobie, że jest... gdzieś. Może kupi sobie własną wyspę? Może kupi sobie nawet własne państwo? Przez długi czas wyobrażał

sobie wszystko, co będzie mógł kupić za swój udział w dwustu pięćdziesięciu milionach dolarów.

v Baza Sił Powietrznych Andrews, Maryland, niedziela 12.10

Kiedy skończyła się jego kadencja burmistrza Los Angeles, Paul Hood stwierdził, że coś, co w żargonie biurowym nazywa się „czyszczeniem biurka”, z całą pewnością jest niedomówieniem. Powinno raczej nosić miano żałoby. Przypominasz sobie wszystko, co się zdarzyło: niepowodzenia i sukcesy, kary i nagrody, to czego udało ci się dokonać i to, czego dokonać nie zdołałeś, miłość i... czasami... nienawiść.

Nienawiść, powtórzył w myślach i jego brązowe oczy zwęziły się. W tej chwili przepełniony był nienawiścią, choć nie wiedział dokładnie, kogo nienawidzi i za co.

Nienawiść nie była powodem, dla którego zrezygnował ze stanowiska pierwszego w historii dyrektora Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym, elitarnej agendy amerykańskiego rządu. Chciał móc spędzać więcej czasu z żoną, córką i synem. Chciał

zapobiec rozpadowi rodziny. A jednak...

Czyżbym nienawidził Sharon? — pomyślał nagle i natychmiast się zawstydził.

Nienawidzisz żony, ponieważ zmusiła cię do dokonania wyboru?

Próbował zrozumieć, co czuje, sprzątając biurko i wrzucając do kartonowego pudła odtajnione materiały. Tajne akta i nawet listy osobiste musiały pozostać w siedzibie Centrum.

Trudno mu było uwierzyć, że spędził w niej dwa i pół roku. Pracował w bliskim kontakcie z bardzo wieloma ludźmi i wiedział, że będzie mu ich brakować. Było także w tej pracy coś, co Bob Herbert, szef wywiadu Centrum, nazwał kiedyś „niemoralną władzą”. Od mądrych, czasami instynktownych, a czasami wręcz rozpaczliwych decyzji, podejmowanych przez niego i jego zespół, zależało ludzkie życie, a czasami życie milionów ludzi. Herbert miał

rację. Paul Hood nigdy nie czuł się dobrze podejmując te decyzje. Czuł się jak zwierzę.

Wyostrzone zmysły, nerwy napięte do ostatecznych granic.

Tego uczucia też będzie mu brakować.

Otworzył małe plastikowe pudełko, w którym znajdował się podarowany mu przez generała Siergieja Orłowa spinacz do papieru. Orłow dowodził rosyjskim centrum operacyjnym, noszącym kodową nazwę Zwierciadło. Centrum pomogło mu zapobiec przewrotowi, który miał pogrążyć w wojnie Europę Wschodnią. W środku spinacza znajdował się miniaturowy mikrofon, którego pułkownik Leon Rossky używał do śledzenia potencjalnych rywali ministra spraw wewnętrznych, Nikołaja Dołgina, jednego z organizatorów spisku.

Paul Hood odłożył pudełko do kartonu i spojrział na mały, czarny kawałek skręconego metalu. Odłamek był twardy i lekki, nadtopiony po brzegach. Pochodził ze skorupy głowicy bojowej północnokoreańskiej rakiety *Nodong*, którą zestrzelił wojskowy oddział Centrum, 15

Iglica, nim zdołała zagrozić Japonii. Tę pamiątkę przywiózł mu zastępca Hooda, generał Mike Rodgers.

Mój zastępca, pomyślał Paul. Formalnie rzecz biorąc, wykorzystywał w tej chwili zaległy urlop, jego rezygnacja miała nabrać urzędowej mocy dopiero za dwa tygodnie. Przez ten czas Mike będzie pełnić obowiązki dyrektora Centrum. Miał nadzieję, że potem obejmie to stanowisko na stałe. Czułby się bardzo zawiedziony, gdyby go nie dostał.

Trzymał w dłoniach odłamek metalu, jakby był to fragment jego życia. Do raketowego ataku na Japonię nie doszło, Centrum ocaliło życie około miliona ludzi. Kosztem życia kilku osób. Ta i inne pamiątki były martwe, ale wspomnienia wręcz przeciwnie. Wspomnienia żyły.

Odłożył kolejną pamiątkę do pudła. Szum powietrza wiejącego przez zawieszzone pod sufitem wentylatory wydawał mu się dziś wyjątkowo głośny, lecz być może to jego gabinet był dziś wyjątkowo cichy? Dyżurowała nocna zmiana, telefon nie dzwonił. Na korytarzu nie słychać było kroków biegających ludzi.

Hood szybko przejrzał rzeczy z górnej szuflady biurka. Pocztówki od dzieci, kiedy były na wakacjach u babci... nie tak, jak ostatnim razem, kiedy żona zabrała je do matki, by podjąć decyzję co do przyszłości ich rodziny. Książki, które czytywał w samolotach, z notatkami na marginesach przypominających mu o sprawach, które powinien załatwić, kiedy doleci na miejsce albo kiedy wróci. Mosiężny klucz do pokoju hotelowego w Hamburgu, hotelu, w którym spotkał Nancy Jo Bosworth, kobietę, którą niegdyś kochał i pragnął poślubić.

Dwadzieścia lat wcześniej Nancy, bez najmniejszego wyjaśnienia, znikła z jego życia.

Trzymał klucz w dłoni przez dłuższą chwilę, oparł się jednak pokusie schowania go do kieszeni. Wracanie, choćby pamięcią, do pięknej dziewczyny, która niegdyś go porzuciła, nie mogło mu pomóc w uratowaniu rodziny.

Zamknął szufladę. Obiecał Sharon, że zabierze ją na wystawną kolację w ten ostatni dzień, kiedy dysponował jeszcze funduszem reprezentacyjnym. Nie wybaczyłaby mu, gdyby się spóźnił.

Ze współpracownikami już się pożegnał. Starsi rangą funkcjonariusze Centrum

„zaskoczyli” go dziś po południu przyjęciem pożegnalnym. Kiedy szef wywiadu, Bob Herbert, wysłał pocztą elektroniczną wszystkim zainteresowanym datę i godzinę, zapomniał

skreślić z listy adres Paula. Cieszył się, że Herbert z reguły nie popełniał takich błędów.

Otworzył dolną szufladę. Wyjął z niej notes z osobistymi adresami, CD-ROM z krzyżówkami, którego nie miał do tej pory czasu użyć, i listę wycinków z recenzjami recitali skrzypcowych Harleigh, jego córki. Zbyt wiele z nich opuścił. Całą czwórką planowali pojechać pod koniec tygodnia do Nowego Jorku, gdzie Harleigh razem z młodymi nowojorskimi wirtuozami miała występować w siedzibie ONZ, na przyjęciu dla ambasadorów. Paradoksalnie, było to przyjęcie upamiętniające wielką inicjatywę pokojową w Hiszpanii, a Centrum miało swój udział w zapobieżeniu tam wojnie. Niestety, na koncert nie dopuszczono publiczności, w tym także rodziców. Hood miał ochotę przyjrzeć się, jak nowa sekretarz generalna ONZ, Mala Chatterjee, radzi sobie podczas pierwszego w swej karierze sekretarza generalnej ONZ publicznego wystąpienia. Wybrano ją po śmierci Massima Marcella Manni, który zmarł na atak serca. Chociaż ta młoda kobieta nie była tak doświadczona jak inni kandydaci, poświęciła się idei walki o prawa człowieka środkami pokojowymi.

16

Wpływowe kraje: Stany Zjednoczone, Niemcy i Japonia, które uznały, że poglądy Hinduski mogą być przydatne, by ukrócić Chiny, pomogły jej w uzyskaniu tego stanowiska.

Pozostawił na biurku rządową książkę telefoniczną, miesięczny biuletyn-słownik, zawierający nazwy krajów i nazwiska ich przywódców, oraz grubą księgę wojskowych skrótów. W odróżnieniu od Herberta i generała Rodgersa, nigdy nie służył w wojsku. Miał

wyrzuty sumienia, bo nigdy nie ryzykował życiem w służbie kraju, nasilające się zawsze, gdy wysyłał do akcji Iglicę. Łącznik Centrum z FBI, Darrell McCaskey, powiedział mu kiedyś:

„Nazywają nas zespołem, bo wspomagamy się nawzajem różnymi umiejętnościami”.

Dotarł do leżących na dnie szuflady zdjęć. Zdjął gumową opaskę i zaczął je przeglądać.

Pomiędzy fotografiami przyjęć przy grillu i prasowymi zdjęciami różnych światowych przywódców, były też fotografie szeregowego Iglicy Bassa Moore'a, dowódcy tej jednostki podpułkownika Charlie'ego Squiresa i eksperta Centrum do spraw politycznych i ekonomicznych Marthy Macall. Szeregowy Moore zginął w Północnej Korei, podpułkownik Squires w Rosji, a Marthę zamordowano przed zaledwie kilkoma dniami w Hiszpanii, w Madrycie. Zebrał zdjęcia, nałożył na nie gumkę i schował je do kartonu.

Zamknął ostatnią szufladę. Do pudła schował jeszcze wytartą podkładkę pod komputerową mysz z logo Los Angeles oraz kubek do kawy z Camp David. Nagle zorientował się, że ktoś stoi w otwartych drzwiach na korytarzu.

— Potrzebujesz pomocy? — usłyszał pytanie.

Uśmiechnął się lekko i przeczesał palcami falujące, czarne włosy.

— Nie potrzebuję, ale wejdź, proszę. Co tu robisz o tak późnej godzinie?

— Sprawdzam jutrzejsze tytuły prasowe dotyczące Dalekiego Wschodu. Coś mi się nie zgadza.

— Co takiego?

— Nie mogę ci powiedzieć. Już tu nie pracujesz.

— Racja — przyznał Hood.

Ann Farris także się uśmiechała, wchodząc do jego gabinetu. „Washington Times”

nazwał ją kiedyś jedną z dwudziestu pięciu najbardziej atrakcyjnych rozwódek Waszyngtonu.

Po blisko sześciu latach nadal mieściła się na tej liście. Mierząca metr siedemdziesiąt wzrostu, rzeczniczka prasowa Centrum ubrana była w obcisłą czarną spódniczkę i białą bluzkę.

Wpatrzona w niego ciemnobrązowe, wielkie oczy złagodziły nieco gniew, który Paul odczuwał jeszcze przed chwilą.

— Obiecałam sobie, że nie będę ci przeszkadzała — powiedziała Ann.

— Ale przyszłaś.

— Tak, przyszłam.

17

— I wcale mi nie przeszkadzasz.

Ann zatrzymała się przy biurku i spojrzała na szefa. Długie, kasztanowate włosy opadały jej na ramiona. Widząc jej oczy, jej uśmiech, Paul Hood przypomniał sobie, ileż to razy w ciągu tych dwu i pół roku Ann dodawała mu odwagi, pomagała mu i nie ukrywała, że zależy jej na nim.

— Nie chciałam ci przeszkadzać, ale też nie chciałam żegnać się z tobą na przyjęciu.

— Rozumiem. Cieszę się, że przyszłaś.

Ann przysiadła na krawędzi biurka.

— Co masz zamiar teraz robić, Paul? Zostaniesz w Waszyngtonie?

— Trudno powiedzieć. Myślałem, żeby powrócić do świata finansów. Po naszym powrocie spotkam się z paroma ludźmi. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie wiem. Może osiedlę się w małym miasteczku, gdzieś na prowincji, i zajmę się księgowością? Pieniądze, obligacje, Range Rover, grabienie liści z trawnika. Nie byłoby to wcale takie złe życie.

— Wiem. Żyłam tak.

— I sądzisz, że mnie się nie spodoba?

— Nie wiem — westchnęła Ann Farris. — Co z tobą będzie, kiedy dzieci odejdą z domu? Mój syn jest już niemal nastolatkiem. Zastanawiam się, co będę robić, kiedy wyjedzie do koledżu.

— I co masz zamiar robić?

— W przypadku, gdy jakiś uroczy mężczyzna w średnim wieku o czarnych włosach i brązowych oczach nie porwie mnie na Antiguę lub na wyspy Tonga?

— No, tak. — Paul Hood zaczerwienił się.

— Kupię sobie prawdopodobnie dom gdzieś, na tych wyspach, i będę pisała. Powieści, a nie to, co codziennie oddaję waszyngtońskim służbom prasowym. Mam sporo do opowiedzenia.

Niegdyś znana dziennikarka specjalizująca się w polityce, potem sekretarka prasowa senatora Boba Kaufmanna z Connecticut, z całą pewnością miała wiele do powiedzenia. O

preparowanych informacjach prasowych, oszustwach i wzajemnym wbijaniu sobie noża w plecy, jakże powszechnym wśród wielkich tego świata.

Hood westchnął. Spojrzał na puste biurko.

— Nie wiem, co chciałbym robić — wyznał. — Muszę najpierw uregulować sprawy osobiste.

— Chodzi ci o żonę?

18

— Tak, o Sharon — powiedział cicho. — Jeśli to mi się uda, wszystko inne z pewnością się ułoży.

Specjalnie wypowiedział imię żony, bowiem uczyniło to ją bardziej rzeczywistą, jakby nagle znalazła się wśród nich. Zrobił to, ponieważ Ann naciskała go mocniej niż zazwyczaj.

Po raz ostatni miała szansę porozmawiać z nim tu, w miejscu, gdzie pracowali wspólnie, gdzie byli sobie bliscy, gdzie radowali się i martwili.

— Mogę cię o coś spytać? — zapytała cicho Ann.

— Oczywiście.

Opuściła wzrok i jeszcze bardziej ściszyła głos.

— Jak długo masz zamiar próbować?

— Jak długo? — powtórzył Hood i pokręcił głową. — Nie wiem, Ann. Naprawdę nie wiem. — Nie spuszczał z niej wzroku. — A teraz pozwól, że ja cię o coś zapytam.

— Oczywiście. O co tylko chcesz. — Patrzyła na niego jeszcze cieplej. Hood nie rozumiał, dlaczego tak krzywdzi sama siebie.

— Dlaczego ja?

Udało mu się ją zaskoczyć.

— Pytasz, dlaczego jestem do ciebie przywiązana?

— Jesteś pewna, że to dobre słowo?

— Nie — przyznała.

— Więc powiedz mi, dlaczego?

— Czy to nie oczywiste?

— Nie. Gubernator Vegas. Senator Kaufmann. Prezydent Stanów Zjednoczonych. Byłaś blisko najpotężniejszych ludzi w tym kraju. Ja ich nie przypominam. Ja uciekłem z tej areny, Ann.

— Nie. Ty ją tylko opuściłeś, a to poważna różnica. Opuściłeś ją, bo zmęczyło cię wieczne tarzanie się w błocie, polityczna poprawność, konieczność zważania na każde słowo.

Uczciwość jest cechą bardzo pociągającą, Paul. Inteligencja także. Ale w równym stopniu umiejętność zachowania spokoju, kiedy wszyscy ci charyzmatyczni politycy biegają w kółko, wymachując szabelkami.

— Paul Hood o stalowych nerwach, czy tak?

— A cóż w tym złego?

19

— Nie wiem. — Wstał i wziął pod pachę pudło. — Wiem tylko tyle, że jest gdzieś, w moim życiu, coś nie w porządku. Przede wszystkim muszę dowiedzieć się, co.

Ann wstała także.

— No cóż, jeśli będziesz potrzebował pomocy w tych poszukiwaniach, pamiętaj, że ja ci jej nigdy nie odmówię. Jeśli zechcesz porozmawiać, napić się kawy, zjeść kolację... dzwoń.

— Oczywiście. — Hood uśmiechnął się. — I dziękuję ci, że wpadłaś.

Ann wyszła pewnym, energicznym krokiem. Jeśli w jej spojrzeniu było zaproszenie – lub smutek – oszczędziła mu jednego i drugiego.

Paul zamknął za sobą drzwi. Zamek szczęknął. Po raz ostatni słyszał ten dźwięk.

Mijając biura w drodze do windy, Paul Hood odpowiadał na życzenia wszystkiego najlepszego od pracowników nocnej zmiany. Widywał ich rzadko, po siódmej Centrum zarządzili Bill Abram i Curt Hardaway. Nocna zmiana była domeną młodych, niewiarygodnie energicznych ludzi. W ich towarzystwie czuł się jak emeryt. Kiedy doszedł do windy, obrócił

się i obrzucił pożegnalnym spojrzeniem miejsce, które zabrało mu tyle czasu i nerwów... ale w którym przeżywał też wielkie, pełne napięcia chwile. Nie warto się okłamywać. Będzie tęsknił.

W windzie stwierdził, że nadal jest zły. Nie wiedział, czy gniewa go to, co zostawił za sobą, czy to, co ma przed sobą. Psycholog Centrum, Liz Gordon, powiedziała mu kiedyś, że niepewność to termin wymyślony na opisanie porządku rzeczy, którego jeszcze nie zrozumieliśmy.

Miał nadzieję, że się nie myliła.

v Paryż, Francja, wtorek 07.32

Każda dzielnica Paryża może się pochwalić historycznymi obiektami, hotelami, muzeami, pomnikami, kawiarniami, sklepami lub targowiskami. Na północny wschód od Sekwany, za półkilometrowym Le Port de Plaisance de Paris de l'Arsenal — czyli kanałem dla barek i żaglówek — znajduje się dzielnica nieco inna od pozostałych. Ta może się pochwalić urzędami pocztowymi. Na Boulevard Diderot znajdują się dwa, odległe o zaledwie kilka przecznic, a nieco na północ, pomiędzy nimi, jest i trzeci. Wiele innych rozrzuconych jest w najbliższej okolicy. Większość z nich zarabia przede wszystkim na turystach, którzy przyjeżdżają do miasta przez cały rok.

Co rano o wpół do szóstej zaczyna krążyć między nimi opancerzona furgonetka Banque de Commerce. Furgonetkę prowadzi uzbrojony kierowca, obok niego siedzi uzbrojony strażnik, drugi uzbrojony strażnik znajduje się zawsze z tyłu, wraz ze znaczkami pocztowymi, formularzami zleceń wypłaty i kartkami pocztowymi, które należy rozwieźć do pięciu urzędów. Na zakończenie objazdu furgonetka wiezie płócienne worki wypełnione przeliczonymi i obanderolowanymi paczkami banknotów; utarg z poprzedniego dnia. Wartość ładunku w przeliczeniu z różnych walut na amerykańską wynosi zazwyczaj od siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy do miliona dolarów.

Furgonetka jedzie zawsze tą samą drogą, najpierw na północny zachód, a potem skręca na zatłoczony zazwyczaj Boulevard de Bastille, mija Place de Bastille i dowozi ładunek do gmachu Banque de Commerce na Boulevard Richard Lenoir. Bank uprawia politykę podobną do polityki większości agencji ochroniarskich zajmujących się przewozem cennego ładunku: trzyma się codziennie tej samej drogi. Dzięki temu kierowcy znają ją doskonale i umieją wychwycić wszelkie odstępstwa od rutyny. Jeśli po drodze elektrycy naprawiają latarnie albo robotnicy drogowi łatają dziurę w asfalcie, kierowcy zostają o tym wcześniej poinformowani.

W kabinie kierowcy znajduje się zawsze włączona radiostacja, a wszelkie meldunki przechodzą przez centralę łączności w biurowcu banku, stojącym po przeciwnej stronie rzeki, na Rue Cuvier, niedaleko Jardin des Plantes. Jedyną stałą — paradoksalnie: wiecznie zmienną stałą — jest ruch uliczny.

Kierowca i siedzący na przednim siedzeniu strażnik przez kuloodporne szyby przyglądali się samochodom osobowym i dostawczym, szybszym od ich ciężkiego, czterotonowego pojazdu. Ruch żaglówek i jachtów na Le Port de l'Arsenal także był mniej więcej stały; były to zwykle łodzie długości od czterech do dwunastu metrów, przybijające tu do brzegu, by załoga mogła pójść na kolację, odpocząć, pobrać paliwo lub dokonać napraw w dokach.

Tego pogodnego ranka ani kierowca, ani strażnik nie zauważyli niczego niezwykłego...

oprócz upału, gorszego nawet niż wczoraj, a przecież nie było jeszcze ósmej! Choć ich ciemnoszare czapki były ciężkie i ciasne, nie zdjęli ich w obawie, że pot będzie się im lał do 21

oczu. Kierowca uzbrojony był w rewolwer *MR F1*, strażnik siedzący obok niego i drugi strażnik, zamknięty w budzie, uzbrojeni byli w śrutówki *FAMA*.

O tej porze dnia ruch uliczny był bardzo intensywny; furgonetki dostawcze i mniejsze samochody wyprzedzały ich po obu stronach. Ani kierowca, ani pasażer nie dostrzegli nic niezwykłego w tym, że jadąca przed nimi furgonetka zwalnia, pozwalając się wyprzedzić Citroenowi. Furgonetka była stara i poobijana, miała brudnobiałe burty i budę z zielonego płótna.

Kierowca spojrzał w lewo, na kanał.

— Wiesz — powiedział — chciałbym siedzieć teraz na łódce. Słońce, kołysanie fal, cisza i spokój.

Strażnik także spojrzał w tę stronę. Za oknem migwały pnie drzew i maszty jachtów.

— Dla mnie to nudne — przyznał.

— Pewnie dlatego, że polujesz. Mnie zadowoliłoby siedzenie na wietrzyku, łowienie ryb...

Kierowca przerwał i zmarszczył czoło. Czapki, broń, radio i codzienna droga poszły w zapomnienie, kiedy jadący przed nimi stary grat zatrzymał się nagle. Ktoś odrzucił

zasłaniającą tył budy plandekę. Zobaczyli ukrytego za nią człowieka. Drugi wyskoczył przez drzwi od strony pasażera i ruszył w ich kierunku. Obaj mieli na sobie mundury polowe, kamizelki kuloodporne, maski gazowe, pasy na osprzęt, na dłoniach zaś gumowe rękawice.

Każdy uzbrojony był w granatnik przeciwpancerny. Mężczyzna w budzie furgonetki odchylił

się lekko na stronę pasażera tak, by tył rosyjskiego granatnika *RPG-7* nie był skierowany w stronę kabiny jego samochodu. Ten, który stał na ulicy, zachował się podobnie.

Strażnik w opancerzonej furgonetce natychmiast zareagował.

— Alarm! — krzyknął do mikrofonu radiostacji. — Dwaj zamaskowani mężczyźni w furgonetce, stoi przed nami, numer rejestracyjny 101763, uzbrojeni w granatniki przeciwpancerne.

W ułamek sekundy później obaj napastnicy wystrzelili.

Z tyłu granatników pojawiły się żółtopomarańczowe płomienie. Rozległ się cichy syk.

Niemal jednocześnie z dwóch luf wyskoczyły dwa gładkie pociski w kształcie wydłużonych gruszek, o stalowych płaszczach, uderzyły w szybę i wybuchły. Strażnik w szoferce uniósł

broń.

— Szyba wytrzymała! — krzyknął triumfalnie.

Kierowca rzucił wzrokiem w lusterka po obu stronach. Skręcił kierownicę w lewo i dodał lekko

gazu.

— Próbuje uciekać na północ... — powiedział i nagle i on, i strażnik zaczęli krzyżeć.

22

Kuloodporne szyby, zrobione z laminowanego plastiku, powinny wytrzymywać jeden, a być może nawet dwa strzały z granatnika, oddane nawet z bliskiej odległości. Granaty mogą wybić w nich dziury, mogą doprowadzić do ich pęknięcia, ale szyba nie powinna się rozprysnąć. Ktokolwiek siedzi za szybą: kierowca opancerzonej furgonetki lub limuzyny, kasjer bankowy, strażnik w więzieniu, parkingowy lub urzędnik pobierający opłaty na autostradzie, w przypadku ataku ma obowiązek przede wszystkim wezwać pomoc, a potem uciekać jak najdalej. W przypadku samochodu ukryci za szybą ludzie z reguły są uzbrojeni.

Teoretycznie po wybiciu szyby napastnicy są narażeni na takie same niebezpieczeństwo jak napadnięci.

Wystrzelone tego dnia na paryskiej ulicy pociski były jednak dwukomorowe. W

pierwszej komorze znajdował się materiał wybuchowy, w tylnej, większej, kwas siarkowy.

Szyba ciężarówki została uszkodzona w takim samym stopniu w dwóch miejscach: w miejscu uderzenia granatu kilkucentymetrowe wgłębienie, od którego promieniście rozchodziła się siatka pęknięć. Część kwasu siła wybuchu wepchnęła do kabiny; ochlapał on twarze i mundury siedzących w środku ludzi, reszta przeżarła szybę, rozpuszczając warstwy plastiku, do których dostała się poprzez pęknięcia.

Etienne Vandal i Reynold Downer przewiesili rury granatników przez ramię. Downer zeskoczył z budy w momencie, kiedy uderzył w nią jadący z niewielką prędkością samochód, który zaatakowali. Ich furgonetka przesunęła się w prawo, samochód banku w lewo, po czym oba stanęły. Dwaj napastnicy wskoczyli na maskę silnika furgonetki. Uszkodzona szyba ustąpiła po kilku kopniakach, dokładnie tak, jak przewidział Vandal. Szyba pancerna była grubsza, niż Downer się spodziewał, od resztek kwasu zaczęły mu dymić podeszwy butów.

Jednak zastanawiał się nad tym zaledwie przez chwilę. Wyjął pistolet z kabury na biodrze.

Stał po stronie pasażera. Nie przejmując się samochodami, które mijaly ich, zatrzymywały się i natychmiast przyśpieszały, strzelił w głowę strażnikowi. Francuz zabił kierowcę.

Samotny strażnik z tyłu połączył się z centralną przez własne, bezpieczne radio. Vandal wiedział, że tak postąpi, ponieważ po wyjściu z wojska, wyposażony w nienaganne referencje, natychmiast przyjęty został do pracy przez Banque de Commerce do ochrony przewożonych samochodami cennych ładunków. Przez blisko siedem miesięcy jeździł

identyczną furgonetką. Wiedział także, że w tym miejscu, w porze największego ruchu, dyżurna

jednostka policji pojawi się na miejscu najwcześniej po dziesięciu minutach. Mieli więcej czasu niż potrzebowali.

Oglądając nagrania wykonane na ulicach Paryża członkowie grupy orzekli, że pancerz używany w furgonetkach nie zmienił się przez całe miesiące, od czasu, gdy Vandal zrezygnował z pracy. W wojsku ciągle doskonalenie sprzętu jest na porządku dziennym; trzeba go dopasowywać do nowych, doskonalszych rodzajów broni, od przeciwpancernej broni plazmowej po coraz potężniejsze miny lądowe i do nowych wymagań strategicznych, takich jak, na przykład, obniżenie masy celem uzyskania większej szybkości i zwrotności. W

sektorze prywatnym podobne zmiany zachodzą o wiele wolniej.

Ostrożnie, by nie zetknąć się z kwasem, nadal spływającym po desce rozdzielczej, Downer wślizgnął się do kabiny. Na podłodze, pomiędzy siedzeniami znajdował się pojemnik, w którym przechowywano zazwyczaj dodatkową amunicję, dostępny zarówno z kabiny, jak i z tyłu furgonetki. Australijczyk oparł martwego strażnika o drzwi samochodu i otworzył pojemnik. Z jednego z wiszących przy pasie worków wyjął kawałek C-4. Umieścił

23

go głęboko w pojemniku, przykleił do tylnej ścianki i wcisnął w materiał wybuchowy mały zapalnik nastawiony na piętnaście sekund. Za nim postawił pojemnik z gazem łzawiącym, zamknął pojemnik od strony kabiny, przesunął się nad zwłokami strażnika i wyskoczył na ulicę. Vandal tymczasem przyklęknął na masce samochodu, wyjął z pasa małe nożyce do metalu i odciągnął rękaw na prawej ręce kierowcy. Klucz otwierający tył furgonetki przymocowany był do metalowej bransoletki na przegubie martwego mężczyzny. Przeciął ją bez wysiłku. W tym momencie wybuchł C-4. Nie tylko wyrwał dziurę w osłonie pojemnika między kabiną a tyłem furgonetki, ale rozsadził też pojemnik z gazem łzawiącym i, choć część jego dostała się do szoferki, większość wepchnięta została do tyłu.

Ruch zatrzymał się w sporej odległości za stojącymi samochodami. Z przodu droga była czysta, a potężny korek z pewnością dodatkowo opóźni przybycie policji.

Vandal z kluczem w ręku dołączył do Australijczyka, który stał już za furgonetką bankową.

Nie rozmawiali ze sobą wiedząc, że ktoś mógłby usłyszeć ich głosy przez nadal działające radio. Downer osłaniał Vandala, który otworzył tylne drzwi. Wypadł przez nie kaszlący strażnik, otoczony chmurą gazu łzawiącego. Próbował założyć maskę gazową, znajdującą się w skrytce, niestety, umieszczono ją tam, spodziewając się, że gaz uwolniony zostanie na zewnątrz samochodu, a nie wewnątrz. Strażnik nie zdążył dotrzeć do skrytki, nie wspominając już o masce. Upadł na asfalt. Downer kopnął go w skroń i mężczyzna znieruchomiał, chociaż nadal oddychał.

Vandal wszedł do bankowej furgonetki. Znad rzeki, gdzie rodzina Sazanaki posiadała magazyny, nadlatywał w tym momencie helikopter. Czarny *Hughes 500D* skręcił w ich kierunku, Japończyk ukradł go przed kilkoma dniami. Zwolnił, lecąc nad bulwarem. *Hughesy* charakteryzuje doskonała

stabilność w wolnym locie i w zawisie, wywołują także niewielki podmuch. Najważniejsze było jednak to, że mieszczą pięć osób z ładunkiem.

Podbiegł do nich Barone, kierowca ich furgonetki. Nałożył maskę gazową. Georgijew otworzył tylne drzwi helikoptera. Opuścił linę, na końcu której, na haku, wisiała metalowa platforma wielkości dwa na cztery metry, dookoła której biegła nylonowa siatka. Downer nadal pilnował miejsca napadu. Vandal i Barone, tonąc w rozwiewającej się powoli chmurze gazu, ładowali na platformę worki z pieniędzmi. W pięć minut po rozpoczęciu operacji pierwsza porcja ładunku została wciągnięta do helikoptera.

Downer zerknął na zegarek. Mieli lekkie opóźnienie.

— Musimy się pośpieszyć! — krzyknął do wbudowanego w maskę radia.

— Uspokój się — odpowiedział mu Barone. — Mieścimy się w marginesie bezpieczeństwa.

— To za mało. Mamy trzymać się planu co do sekundy!

— Rozkazy będziesz wydawał, kiedy zostaniesz dowódcą!

— I nawzajem, kolego!

24

Barone spojrział na niego wściekle przez szybę maski i w tym momencie platforma opuściła się po raz drugi. Załadowano ją drugą porcją worków z pieniędzmi. W oddali rozległy się syreny samochodów policyjnych. Downer wcale się tym nie przejął. Gdyby okazało się to konieczne, mieli zakładnika w postaci nieprzytomnego strażnika. Piętnaście metrów nad ich głowami unosił się helikopter pilotowany przez Sazanakę, który obserwował

okolicę. Misję przerwaliby i uciekli wyłącznie w wypadku pojawienia się helikoptera policyjnego. Pilot szukał go za pomocą radaru pokładowego. Gdyby pojawiła się policja, dałby im sygnał do ucieczki.

Druga porcja worków z pieniędzmi znalazła się w helikopterze. Pozostała jeszcze jedna.

Korek miał już przeszło pół kilometra długości. Nie było sposobu, żeby się przez niego przedrzeć. Policja musiała wysłać za nimi albo *Le Brigade questre*, albo helikopter.

Napastnicy pracowali szybko, lecz efektywnie.

Do helikoptera trafił trzeci ładunek pieniędzy. Nagle Sazanaka podniósł palec i zakręcił

nim w powietrzu. Potem wskazał w lewo. Z zachodu nadlatywał policyjny śmigłowiec.

Georgijew znowu opuścił platformę. Tak jak zaplanowali, pierwszy wszedł na nią Barone, a potem Vandal. Tym razem Bułgar nie wciągnął jej — obaj zaczęli wspinać się do helikoptera po linie. Kiedy pierwszy znajdował się na wysokości sześciu, a drugi trzech metrów nad ziemią, na platformę wskoczył Downer. Dopiero wówczas Georgijew włączył

wyciągarke. Australijczyk przytrzymał się siatki jedną ręką, drugą zaś zdjął z ramienia granatnik. Następnie zdjął niepotrzebną już maskę gazową, bez której widział lepiej, położył

się na boku, wyjął zawieszony u pasa pocisk i załadował granatnik. Przez ten czas Barone i Vandal bezpiecznie dotarli do helikoptera.

Sazanaka natychmiast podniósł helikopter i nadał mu maksymalną prędkość dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Downer tymczasem tak ustawił wyrzutnię, że zarówno przód lufy, jak i tył granatnika przechodziły przez oka siatki. Nie miał zamiaru przepalić ich i zabić się po upadku na ziemię.

Bułgar zabezpieczył platformę dwiema stalowymi linami, umocowanymi do uchwytów z jej przodu i tyłu od strony helikoptera, pozostawił ją jednak wiszącą niespełna metr pod tylnym lukiem. Z tej pozycji Downer mógł bronić ich przed atakiem z każdego kierunku. Tak blisko kadłuba nie musiał się także martwić o wiatr i o podmuchy sprężanego wirnikiem nośnym powietrza, a poza tym cień częściowo ukrywał go przed okiem snajpera z ziemi lub ze ścigającej ich maszyny.

W oczekiwaniu na pościg Sazanaka trzymał *Hughesa* na trzystu metrach. Lecieli na północny zachód, wzdłuż rzeki. Na maleńkim lotnisku dla awionetek za Saint-Germain czekał na nich samolot. Mieli załadować się na niego wraz z łupem i polecieć do Hiszpanii. Z

tego wciąż ogarniętego chaosem kraju, po nieudanym zamachu stanu, bez trudności, po wręczeniu kilku łapówek, mogli udać się w dowolnym kierunku.

— Jest! — krzyknął Georgijew, wskazując na południowy zachód.

Downer nie musiał podnosić głowy, by zobaczyć, co potężnie zbudowany Bułgar wskazuje mu palcem. On także dostrzegł policyjny helikopter, lecący na pułapie mniej więcej sześciuset metrów, w odległości niespełna kilometra od nich. Zgodnie z przewidywaniami Vandala, należał do jednostki specjalnej francuskiej żandarmerii.

Niebiesko-biała maszyna zbliżyła się do nich szerokim łukiem, zmniejszając jednocześnie wysokość. Policjanci z jednostki specjalnej bez wątplenia trzymać się będą obowiązującej ich procedury. Najpierw spróbują wywołać ściganą jednostkę przez radio, co prawdopodobnie robią w tej chwili. Kiedy nie odpowie, połączą się z siłami na ziemi i pozostaną z nimi w stałym kontakcie. Nawet jeśli mają do dyspozycji broń średniego zasięgu, nie spróbują ich zestrzelić, a z całą pewnością nie teraz, kiedy lecieli nad terenem zabudowanym i mieli ze sobą milion dolarów w gotówce. Atak, zarówno z

ziemi, jak i z powietrza, mógł nastąpić dopiero po wylądowaniu.

Vandal wiedział także, że paryska komenda policji korzysta z radarów kontroli obszaru z dwóch pobliskich lotnisk: Charlesa de Gaulle w kierunku na północny wschód i Orly w kierunku na południe, i że kiedy helikopter obniży pułap poniżej siedemdziesięciu pięciu metrów, radar będzie bezużyteczny z powodu zakłóceń wywołanych sąsiedztwem budynków.

Poleciał Sazanace utrzymywać pułap trzystu metrów.

Policyjna maszyna zbliżyła się do nich. W dole przemykały błyskawicznie kolejne hotele na północnym brzegu rzeki. Po prawej, na drugim brzegu Sekwany, Downer dostrzegł

wieżę Eiffla, ciemną kratownicę okrytą mgłą poranka. Lecieli niemal dokładnie na wysokości jej szczytu.

Ścigający ich helikopter zbliżył się na nieco ponad czterysta metrów. Nadal leciał

kilkadziesiąt metrów wyżej od nich. Cyfrowy wyświetlacz na celowniku granatnika pokazywał, że ciągle znajduje się poza zasięgiem broni. Australijczyk spojrział na Georgijewa.

Bułgar i Vandal zgodzili się co do tego, że łączność radiowa i przez telefony komórkowe jest zbyt łatwa do podsłuchu, by z niej korzystać. Teraz, kiedy zdjęli maski gazowe, mogli się jednak porozumiewać na sposób skuteczny, choć staroświecki.

— Musimy się zbliżyć! — krzyknął Downer.

Georgijew zwinął dłoń w trąbkę.

— Ile?

— Sześćdziesiąt metrów wyżej, sto metrów bliżej!

Bułgar skinął głową. Kabinę od przedziału pasażerskiego oddzielały drzwi. Wsadził

przez nie głowę, przekazując polecenia Sazanace. Japończyk zwolnił i wprowadził *Hughesa* na wyższy pułap. Downer przyglądał się policyjnemu helikopterowi przez celownik. Znaleźli się na tym samym poziomie, równocześnie zbliżając się do siebie. Platforma podskakiwała w spowodowanych przez wirnik podmuchach powietrza, pęd odchyłał ją w stronę ogona.

Celowanie nie było prostym zadaniem.

Australijczyk namierzył kabinę ścigającej ich maszyny. Celownik jego granatnika nie przybliżał celu, mimo to widział, że między pierwszym a drugim pilotem ktoś stoi, przyglądając się im przez lornetkę. Teraz, kiedy nie było między nimi różnicy poziomów, przeciwnicy mogli go zauważyć.

Nie powinien czekać, aż zbliżą się jeszcze bardziej.

Rozciągnął się na platformie, zapierając się nogami o jej tylną część. Raz jeszcze wymierzył do przeciwnika. Nie musiał popisywać się celnością, wystarczyło trafić go gdziekolwiek. Mocno ściągnął ciężko chodzący spust.

Granat wyskoczył z sykiem z rury. Australijczyk ani na chwilę nie spuścił wzroku z białej, cienkiej, przecinającej powietrze smugi.

Granat leciał przez trzy sekundy i uderzył w prawą stronę kabiny. Wybuchła kula czerwieni i czarnego dymu, w jej środku rozblęsnął srebrzysty płomień. Wirnik nośny siekł

unoszące się w górę dym i odłamki szkła. W chwilę później helikopter pochylił się w prawo i zaczął koziółkować w powietrzu. Nie wybuchł. Jego załoga, martwa lub nieprzytomna, nie była w stanie przeciwdziałać kraksie. Śmigłowiec wyglądał zupełnie jak lotka w badmintonie, z kilkoma wyrwanymi piórami. Maszyna runęła na ziemię. Kręciła się przy tym powoli — to tylny wirnik obracał ją to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jakby rozpaczliwie próbował

utrzymać helikopter w powietrzu.

Georgijew uruchomił wyciągarkę i podniósł platformę. Po kilku sekundach Australijczyk dotarł do drzwi *Hughesa*. Podał Bułgarowi granatnik, ujął wyciągniętą rękę Barone'a i wskoczył do środka. Vandal pomógł Georgijewowi wciągnąć platformę do wnętrza.

Urugwajczyk nie puścił jego dłoni. Twarz miał ściągniętą gniewem.

— Zamiast wciągać, powinienem cię wypchnąć — warknął.

Downer spojrział na niego gniewnie.

— Spodziewałem się, że powiesz: „Dobry strzał, przyjacielu” — odparł.

— Musiałeś tam, na dole, tyle gadać? Ten twój akcent rozpoznałby nawet głuchoniemy *flick*! — Barone odtrącił dłoń Australijczyka.

— Nie musiałbym się odzywać, gdybyś tak się nie lenił. Znam żołnierzy, którzy lepiej wykonaliby twoją robotę we śnie.

— Więc następnym razem pracuj z nimi.

— Wystarczy tego dobrego — rzucił przez ramię Vandal. Wraz z Georgijewem przyglądali się spadającemu policyjnemu helikopterowi. Widzieli, jak uderza w domy przy rzece, widzieli białą kulę wybuchu; w chwilę potem usłyszeli stłumiony huk. Zaczęli zamykać drzwi *Hughesa*.

— Arogancki osioł — mamrotał Barone. — Z kim ja muszę pracować! Z aroganckim, australijskim

osłem!

Korzystając z tego, że Bułgar i Francuz nadal są zajęci, Downer nagle złapał

Urugwajczyka za przód munduru. Zaciśnął dłonie tak mocno, że poczuł, jak palce wbijają mu się w skórę na piersi Barone'a. Urugwajczyk wrzasnął z bólu, popchnięty gwałtownie w stronę wciąż otwartego wjazdu. Jego ramiona i głowa zawisły nad przemykającym w dole Paryżem.

27

— Jezu! — krzyknął Barone.

— Mam dość tego gówna! — wrzasnął Australijczyk. — Mam dość tych twoich tekstów!

— Przestań! — Vandal skoczył w ich kierunku.

— Powiedziałem tylko to, co myślę — odparł Downer. — Zrobiłem moją robotę, rozwalilem ten cholerny helikopter, więc ten gnojek przejdzie przyspieszony kurs latania!

Francuz siłą wcisnął się między nich. Złapał Barone'a za rękę i barkiem odepchnął Downera.

— Uspokójcie się! — polecił.

Australijczyk wciągnął przeciwnika do maszyny, puścił go i wycofał się spokojnie.

Obrócił się i stał, patrząc na worki z pieniędzmi. Georgijew szybko zamknął wjazd.

— Wszyscy macie się uspokoić — powtórzył Vandal spokojnym głosem. — Wszyscy jesteśmy podnieceni po akcji, ale osiągnęliśmy to, co chcieliśmy osiągnąć. Powinno zależeć nam wyłącznie na tym, by zakończyć sprawę.

— Zakończyć bez czyichkolwiek narzekań! — Barone trząsł się z gniewu i strachu.

— Oczywiście — przyznał spokojnie Vandal.

— To było tylko stwierdzenie faktu — syknął Downer przez zaciśnięte zęby.

— W porządku — przytaknął Francuz. Nadal stał między nimi. Spojrzał na Downera.

— Chciałbym przypomnieć wam obu, że do zakończenia tego etapu misji i w następnym potrzebni są nam wszyscy członkowie zespołu. Na razie wykonaliśmy naszą robotę i wykonaliśmy ją dobrze. Jeśli w przyszłości postępować będziemy nieco ostrożniej, wszystko będzie w porządku. — Spojrzał na Barone'a. — Nawet jeśli ktoś usłyszał jego głos, jestem pewien, że zdołamy wynieść się z tego kraju,

nim ktokolwiek zorientuje się, że jeden z napastników mówił z australijskim akcentem.

— Niewielu jest Australijczyków z doświadczeniem komandosa wystarczającym, by wyciąć tego rodzaju numer — odparł Barone.

— Mimo wszystko zdołamy uciec, nim wpadną na nasz trop — tłumaczył Francuz. —

Jeśli w ogóle go usłyszeli, policja będzie musiała zwrócić się do Interpolu, który z kolei skontaktuje się z władzami w Canberze. Będziemy daleko stąd, nim zdołają ściągnąć listę ewentualnych podejrzanych. — Powoli wysunął się spomiędzy wielkiego Australijczyka i drobnego Urugwajczyka. Zerknął na zegarek. — Lądujemy za dziesięć minut, w dalszą drogę startujemy przed dziewiątą. — Uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem. — Teraz nic nas już nie powstrzyma.

Barone, przez cały czas gapiący się na Downera płonącymi gniewem oczami, teraz opuścił wzrok, odwrócił się i zaczął wygładzać mundur. Downer westchnął głęboko i nagle uśmiechnął się do Vandala. Francuz miał rację. Rzeczywiście, spisali się doskonale. Zdobyli 28

pieniądze na opłacenie łapówek, samolotu i dokumentów, które będą im potrzebne w następnej fazie operacji. Tej fazie, która uczyni z nich prawdziwych bogaczy.

Francuz uspokoił się i poszedł w stronę kabiny pilotów. Barone obrócił się plecami do Downera. Australijczyk usiadł na workach pieniędzy i, jak zawsze, ignorował Barone'a.

Kiedy się wściekał, wściekał się głośno i szybko uspokajał. Teraz znów był spokojny, chłodny, nie złościł się już ani na Urugwajczyka ani na siebie za to, że spieprzył sprawę.

Georgijew domknął właz i przeszedł do kabiny pilotów. Minął Downera nawet na niego nie patrząc, nie dlatego, by w ten sposób chciał mu okazać swoją wyższość, lecz wyłącznie z przyzwyczajenia nabytego przez lata pracy dla CIA. Zawsze próbuj zachować anonimowość.

Vandal znów zasiadł w fotelu drugiego pilota. Podśluchiwał francuską policję.

Georgijew stał za nim, w otwartym włazie prowadzącym do kabiny pilotów. Barone patrzył na zewnątrz przez szybę w drzwiach kabiny.

Downer zamknął oczy. Wibracja podłogi helikoptera uspokajała go. Pod głową miał worki z pieniędzmi. Nie denerwował go nawet nieznośny hałas wirnika.

Z przyjemnością zapominał szczegóły tego, co musiał pamiętać dziś rano. Droga opancerzonej furgonetki, wyliczenia czasowe, alternatywne plany opracowane na wypadek, gdyby policja przedarła się przez korek, szczegóły planowanej ucieczki rzeką, gdyby nie doleciał do nich helikopter. Czuł wielką, głęboką satysfakcję; rozkoszował się nią bardziej niż jakimkolwiek uczuciem w życiu.

v Chevy Chase, Maryland, piątek 09.12

W piękny poranek Paul Hood, jego żona Sharon, od bardzo niedawna czternastoletnia córka Harleigh i jedenastoletni syn Alexander wsiedli do nowego vana i wyruszyli w podróż do Nowego Jorku. Dzieciaki siedziały spokojnie, ze słuchawkami discmanów na uszach.

Harleigh słuchała koncertu skrzypcowego, wprowadzając się w odpowiedni nastrój przed własnym występem; od czasu do czasu wzdychała lub szeptała coś cicho do siebie, zdumiona doskonałością kompozycji lub kunsztem wykonawcy. Pod tym względem podobna była do matki — i jednej, i drugiej nigdy nie satysfakcjonowało to, co już osiągnęły: Harleigh w grze na skrzypcach, Sharon, specjalizująca się w zdrowej kuchni, przy gotowaniu. Od lat Sharon w półgodzinnym programie telewizji kablowej „Zdrowa kuchnia” używała swego wdzięku i rzeczowych argumentów, by skłonić ludzi do zrezygnowania z boczku i pączków. Kilka miesięcy temu zrezygnowała z prowadzenia programu i rozpoczęła pisanie książki kucharskiej zdrowej żywności, którą niemal już ukończyła. Chciała także spędzać więcej czasu w domu. Dzieci szybko dorastały, upierała się więc, że wszyscy powinni jak najwięcej przebywać razem, być rodziną: jeść razem kolację, razem jeździć na wakacje — dopóki jeszcze dzieci chcą z nimi jeździć. Paul tymczasem regularnie nie wracał do domu na kolację i regularnie odwoływał zaplanowane już wakacje.

Alexander coraz bardziej przypominał ojca. Uwielbiał gry komputerowe, im bardziej skomplikowane, tym lepiej. Lubił krzyżówki i układanki. W tej chwili słuchał akurat modnego zespołu, a jednocześnie rozwiązywał krzyżówkę. Pod książką krzyżówek trzymał

na kolanach stos komiksów. W tej chwili świat zewnętrzny dla niego nie istniał, istniało tylko to, co miał przed oczami. Paul był dumny z syna, który doskonale wiedział, czego chce.

Sharon siedziała w milczeniu obok niego. Tydzień temu zabrała dzieci i wyjechała z nimi do swych rodziców, mieszkających w Old Saybrook w Connecticut. Powróciła z tego samego powodu, z jakiego Paul zrezygnował z kierowania Centrum: by walczyć o rodzinę.

Nie miał pojęcia, czym teraz się zajmie i nie zamierzał szukać sobie niczego przed powrotem do Waszyngtonu w środę. Sprzedał część akcji, które kupił, gdy był jeszcze maklerem i miał

teraz wystarczająco wiele pieniędzy, by utrzymać rodzinę przez dwa lata. Zarobki nie były dla niego tak ważne jak zadowolenie i regularne godziny pracy. Sharon miała jednak rację.

Poczucie spełnienia, jakie miał siedząc teraz w samochodzie, mimo wszelkich niedoskonałości, było czymś bardzo cennym.

Największą skazą na tym doskonałym obrazie było, oczywiście, to, co nadal dzieliło Paula Hooda i jego żonę. Choć Sharon ujęła jego rękę i ścisnęła ją, kiedy zaczęli podróż, Paul miał uczucie, że nadal jest na okresie próbnym. Nie wskazywało na to nic wyraźnego, wiele ich podróży zaczynał się dokładnie w ten sam sposób, ale jednak nadal coś ich dzieliło.

Niechęć? Rozczarowanie? Czymkolwiek było to coś, wydawało się odwrotnością erotycznego napięcia, które czuł w obecności Ann Farris.

30

Na początku drogi rozmawiali trochę o tym, co będą robić w Nowym Jorku. Dziś wieczorem czekała ich oficjalna kolacja w towarzystwie rodzin innych skrzypków. Jeśli przyjadą odpowiednio wcześnie, być może zdążą przespacerować się po Times Square. W

sobotę rano mieli odwiedzić Harleigh do gmachu Narodów Zjednoczonych, a następnie spełnić życzenie Alexandra, który wyraził ochotę zwiedzenia Statui Wolności, by zobaczyć, jak została „skonstruowana”. Wieczorem czekała ich uroczysta kolacja, chłopiec zaś miał zostać w „Sheratonie” w towarzystwie ulubionych gier komputerowych.

Paulowi i Sharon nie zezwolono na wzięcie udziału w uroczystości organizowanej przez ONZ, która miała odbyć się w sali Rady Bezpieczeństwa. Wraz z innymi rodzicami koncert obejrzeć mieli w wyposażonym w monitory wewnętrznego systemu telewizji centrum prasowym na pierwszym piętrze. W niedzielę planowali koncert Vivaldiego — ulubieńca Sharon — w Carnegie Hall, a potem, z rekomendacji Ann, mieli udać się do „Serendipity III” na kunsztownie podaną płynną czekoladę, którą tuż przed podaniem obsługa wkładała na chwilę do zamrażarki. Sharon nie było szczęśliwa z tego powodu, ale mąż zwrócił jej uwagę, że mają jednak coś w rodzaju wakacji, więc dlaczegoż mieliby żałować sobie słodyczy?

Najprawdopodobniej nie podobało się jej i to, że propozycja wyszła właśnie od Ann. W

poniedziałek mieli wyjechać w odwiedziny do Old Saybrook, do teściów, tym razem jako rodzina... i to był jego pomysł. Z wzajemnością lubił rodzinę żony. Bardzo pragnął, by jego bliscy zyskali poczucie stabilności.

Jak zwykle w piątek, ruch w okolicach Baltimore, Filadelfii i Newark był wyjątkowo duży. Do Nowego Jorku dojechali o wpół do szóstej. Zatrzymali się w hotelu na rogu Siódmej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Ogromny, pełen gości, należał dziś do sieci Sheratona, jednak Paul Hood doskonale pamiętał go sprzed lat jako „Americana”. Przyjechali akurat na czas, by przyłączyć się do reszty rodziców na kolacji w „Carnegie Deli”, kolacji, na której jadło się pastrami, befsztyki i hot dogi. Jediną rodziną, którą znali, byli Mathisowie — ich córka Barbara była jedną z najlepszych przyjaciółek Harleigh. Jej rodzice pracowali w waszyngtońskiej policji. Kilka matek, w tym dwie ładne, samotne, rozpoznało w Paulu byłego burmistrza Los Angeles. Uśmiechały się do niego, jakby był gwiazdą i pytały, jak to jest

„rządzić Hollywood”. Hood odpowiadał szczerze, że nie wie i że to pytanie należałoby raczej zadać Związkowi Aktorów Filmowych i innym związkom zawodowym operującym w królestwie filmu.

To wszystko — jedzenie i uwaga, jaką poświęcono jej mężowi — spieszyło Sharon lub, być może, tylko uwidocznilo tę niepewność, z jaką rozpoczynała podróż. Paul postanowił, że porozmawia z nią,

kiedy dzieci pójdą spać.

Pod jednym względem niewątpliwie miała rację: za często ostatnio przebywał poza domem. Obserwując Harleigh rozmawiającą z koleżankami i kolegami oraz z ich rodzicami, zdał sobie sprawę z tego, że nie patrzy na dziewczynkę, lecz na młodą kobietę. Nie miał

pojęcia, kiedy zaszła ta zmiana, nie było jednak wątpliwości, że zaszła. Był dumny z córki, choć inaczej niż z syna. Miała wdzięk matki połączony ze swobodą bycia muzyka.

Alexander skupił się na plackach ziemniaczanych. Przyciskał je grzbietem widelca, obserwował wypływający tłuszcz, a następnie sprawdzał, w jakim tempie wsiąknie. Matka upomniała go, by nie bawił się jedzeniem.

Paul zarezerwował im apartament na jednym z wyższych pięter. Alexander obejrzał

sobie jeszcze miasto przez lornetkę, zdumiony tym, co można zobaczyć na ulicach i w oknach 31

innych budynków, a potem dzieci zasnęły na łóżkach w pokoju dziennym, on zaś i żona mieli wreszcie czas dla siebie.

Noc, samotność, pokój hotelowy... w dawnych czasach automatycznie oznaczało to seks, nie rozmowę lub żenującą ciszę. Paul Hood z niepokojem uświadomił sobie, że zbyt wiele uczuć zostało w ostatnich latach zmarnowane. Jakim cudem sytuacja mogła pogorszyć się aż tak? I jakim cudem mają teraz doprowadzić wszystko do porządku? Paul miał pomysł, lecz zdawał sobie sprawę z tego, jak trudno będzie przekonać do niego żonę.

Sharon wślizgnęła się do łóżka, skuliła pod kołdrą i spojrzała na męża.

— Czuję się strasznie — powiedziała.

— Wiem. — Dotknął jej policzka i uśmiechnął się lekko. — Jakoś przez to przejdziemy.

— Nie teraz, kiedy wszystko mnie denerwuje.

— Nie licząc jedzenia, co jeszcze cię denerwowało?

— Rodzice, których spotkaliśmy, zachowanie ich dzieci przy stole, samochody przejeżdżające na czerwonym świetle albo zatrzymujące się na pasach. Wszystko wyprowadzało mnie z równowagi. Wszystko!

— Każdemu z nas zdarza się taki dzień.

— Paul, ja po prostu nie pamiętam innego dnia! Wszystko się we mnie gotuje, a przecież nie chcę zepsuć tej wycieczki Harleigh i Alexandrowi.

— Ostatnio nie było ci najłatwiej — przyznał Paul. — Mnie też. Ale nasze dzieci nie są głupie. Wiedzą, co się między nami dzieje. Chciałem... miałem nadzieję... że nie damy się sprowokować niczym, póki tu jesteśmy.

Sharon smutno pokręciła głową.

— Jakim cudem?

— Przecież wcale się nam nie śpieszy, prawda? Przez następne kilka dni powinniśmy po prostu zachowywać się tak, żeby dzieciom pozostały po tej wycieczce dobre wspomnienia.

Żebyśmy jakoś wyciągnęli się z tego cholernego bagna. Czy możemy skupić się na tym?

Sharon położyła na jego dłoni swoją dłoń. Poczł lekki zapach czosnku – wczoraj wieczorem gotowała. Musiał przyznać, że na uczucia nie działało to najlepiej. Rutyna codzienności. Zapachy kuchenne, mocniejsze niż zapamiętany z dawnych czasów cudowny zapach kobiecych włosów.

— Chcę, żeby wszystko się zmieniło... tam, w samochodzie, czułam coś...

— Wiem. Ja też to czułem. Było miło.

Sharon spojrzała na niego. W oczach miała łzy.

32

— Nie — powiedziała. — To, co czułam, było przerażające.

— Przerazające? — zdumiał się Paul. — Jak to?

— Przez cały czas miałam w pamięci nasze wyjazdy, kiedy dzieci były jeszcze małe. Do Palm Springs, Big Bear Lake, na wybrzeże. Byliśmy wtedy tacy inni.

— Byliśmy młodszy.

— Nie tylko o to chodzi.

— Mieliśmy cel — tłumaczył jej Paul. — Dzieci potrzebowały nas bardziej niż potrzebują nas dziś. To jak z drabinkami, muszą być małe, żeby dziecko mogło się na nie wspinać. Inaczej spadną.

— Wiem. — Sharon rozplakała się. — Ale chciałam czuć tę... tę wspólnotę dziś, a jej nie czułam. Chcę, żeby wróciły te dobre stare czasy, dobre stare uczucia.

— Przecież mogą wrócić, choćby dziś.

— Ale w środku jest całe to bagno! Niechęć, gorycz, rozczarowanie. Chcę cofnąć czas, żebyśmy

zbliżali się do siebie, a nie oddalali.

Paul Hood spojrział na żonę. Znał jej zwyczaje — ilekroć była zmieszana, odwracała wzrok, ilekroć była pewna siebie, patrzyła mu wprost w oczy. Tym razem patrzyła mu wprost w oczy.

— Nie cofniemy czasu — przyznał — ale możemy zacząć naprawiać to, co złe. Krok po kroku.

Przytulił ją. Sharon przesunęła się na jego stronę, ale nie znalazł w niej ciepła. Nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Dawał jej to, czego chciała, to czego potrzebowała, a ona nadal się przed nim cofała. Być może odreagowywała po prostu to, co było złe. Do tej pory nie miała okazji. Trzymał ją w ramionach przez kilka minut, nie mówiąc nic.

— Kochanie — powiedział w końcu — wiem, że przedtem tego nie chciałaś, ale może jednak dobrze by było, gdybyśmy z kimś porozmawiali. Liz Gordon powiedziała, że jeśli będziesz zainteresowana, poda mi kilka nazwisk psychoterapeutów.

Sharon nie odpowiedziała. Tulił ją i słyszał, jak oddycha coraz wolniej, coraz głębiej.

Odchylił się lekko i spojrział jej w twarz. Patrzyła w przestrzeń, walcząc ze łzami.

— Mamy takie dobre dzieci — powiedziała. — Przynajmniej to się nam udało.

Przynajmniej tego nie zmarnowaliśmy.

— Sharon, przecież nie tylko to się nam udało. Żyliśmy razem. Może nie było to idealne życie, ale i tak lepsze niż większości ludzi. A będzie jeszcze lepsze.

Znów ją przytulił, a ona znów się rozplakała. I objęła go mocno.

33

— Nie o tym marzy dziewczyna, kiedy myśli o przyszłości — powiedziała.

— Wiem. Obiecuję ci, że będzie lepiej.

Nie mówił nic więcej. Tulił ją, zdając sobie sprawę z uczuć, które wywołały w niej ten żal. Pograży się w żalu, a jutro rano, oboje podejmą wysiłek, by wypłynąć jakoś na powierzchnię.

Trudno mu będzie zachować spokój i cierpliwość, które jej obiecał. Miał jednak dług wobec żony. Nie chodziło o to, że poświęcił się karierze i żył rytmem, który dyktowała, lecz o uczucia, którymi obdarzył Nancy Bosworth i Ann Farris. Nie zdobyły jego ciała, ale zdobyły myśli, marzenia, nawet sny. To, co dał im, powinien poświęcić na ratowanie rodziny.

Sharon zasnęła, wtulona w jego ramiona. Nie takiej jej bliskości pożądał, ale lepsze to niż nic. Kiedy był już pewien, że jej nie obudzi, wypuścił ją z objęć, po czym sięgnął do nocnego stolika i zgasił

lampkę. Leżał na wznak, wpatrując się w sufit i czując do siebie ten rodzaj niewybaczalnego obrzydzenia, jaki mężczyzna może czuć do siebie wyłącznie w nocy.

Próbował także wymyślić jakiś sposób, by uczynić ten weekend czymś wyjątkowym dla trójki ludzi, których w jakiś, nie do końca dla siebie zrozumiały, sposób zawiódł.

v Nowy Jork, sobota 04.57

Porucznikowi Bernardo Barone'owi, widok zniszczonego, piętrowego ceglanego budynku stojącego nad brzegiem rzeki Hudson, przypomniawszy rodzinne Montevideo.

Przypomniał mu o nim nie tylko warsztat blacharski wyglądający raczej na ruinę warsztatu, jakże charakterystyczną dla slumsów, w których dorastał. Po pierwsze, z południa wiał rzeński wiatr, pachnący Atlantykiem oraz spalinami samochodów, jadących pobliską West Side Highway. W Montevideo zapach morza i spalin był wszechobecny. W górze jeden po drugim przelatywały samoloty lecące wzdłuż rzeki na północ, by potem, po zwrocie na wschód, podchodzić do lądowania na La Guardia. Nad jego ojczystym miastem zawsze pełno było samolotów.

A jednak dom przypominał mu jeszcze coś zupełnie innego. Zapach morza i spalin czuł

w każdym porcie, który odwiedził jak świat długi i szeroki. Tu, w Nowym Jork był także samotny. A samotność kojarzyła mu się właśnie z Montevideo; ilekroć tam wracał, zawsze był

samotny.

Nie wolno ci o tym myśleć, powiedział sobie stanowczo. W tej chwili gniew i przygnębienie mogły mu tylko przeszkodzić. W tej chwili musiał zachować absolutną koncentrację.

Cofnął się pod drzwi, chłodzące jego spocone plecy. Drzwi były drewniane, obite po obu stronach arkuszami stalowej blachy. Od zewnątrz zabezpieczone były trzema zamkami, od wewnątrz dwoma wielkimi ryglami. Wyblakły szyld nad drzwiami głosił: WARSZTAT

BLACHARSKI VIKI. Właścicielem zakładu był członek mafii rosyjskiej, niejaki Leonid Łapkin. Ten niewysoki, chudy, odpalający papierosa od papierosa mężczyzna należał niegdyś do wyższego dowództwa armii rosyjskiej. Georgijewa poznał przez Czerwonych Khmerów.

Powiedział Barone'owi, że w Nowym Jorku nie ma warsztatu blacharskiego, który byłby wyłącznie warszatem blacharskim. W nocy, kiedy wokół nie było ruchu i dawało się z łatwością zauważyć lub usłyszeć każdego podchodzącego człowieka, warsztaty blacharskie albo sprzedawały kradzione samochody, albo narkotyki, albo broń, albo ludzi. W tej działalności specjalizowali się Rosjanie i Tajowie. Wysyłali ze Stanów porwane dzieci, sprowadzali do Stanów młode kobiety. Niektóre z dziewczyn pracujących dla Georgijewa w Kambodży przeszły właśnie przez ręce Łapkina i skończyły w Ameryce. Sama wielkość skrzyni, w których transportowano „części zamienne” oraz z natury międzynarodowy charakter tego rodzaju działalności, czyniły z niej doskonałą przykrywkę dla wszelkiego rodzaju nielegalnego procederu.

Leonid Łapkin handlował bronią. Sprowadzał ją z byłych republik Związku Radzieckiego do Kanady lub na Kubę, zazwyczaj statkami handlowymi. Stamtąd przemycano ją do portów Wschodniego Wybrzeża albo na Florydę i sąsiadujących z nią stanów nad Zatoką Meksykańską. Najczęściej

małych miasteczkach lub warsztatów takich jak ten. W ten sposób nie tracono całego ładunku, jeśli na jego trop wpadło FBI lub wywiad nowojorskiej policji. Obie organizacje śledziły powiązania i działania osób należących do narodów znanych z popierania nielegalnego handlu lub terroryzmu: Rosji, Libii i Północnej Korei. Policja regularnie zmieniała znaki drogowe w rejonach nadbrzeżnych i dzielnicach magazynów, oznaczenia parkingowe, zakazy i nakazy skrętów na szczególnie ruchliwych skrzyżowaniach, dzięki czemu miała okazję zatrzymywać samochody i z ukrycia fotografować kierowców.

Łapkin polecił mu zwracać szczególną uwagę na samochody zjeżdżające z autostrady lub wyjeżdżające z którejs z bocznych uliczek. Gdyby ktoś podjechał do magazynu lub choćby zwolnił przejeżdżając obok, Barone miał trzy razy zapukać w drzwi. Zawsze gdy dokonywano transakcji wyznaczano kogoś, kto wyszedłby do policji i zażądał okazania nakazu rewizji. W tym czasie znajdujący się w środku ludzie mogli spokojnie uciec dachami do sąsiednich budynków.

Łapkin nie spodziewał się jednak żadnych problemów. Dwa miesiące temu dokonano wielu nalotów na lokale rosyjskiej mafii, a władze miasta nie marzyły o tym, by oskarżono je o dyskryminowanie jakiejś grupy narodowościowej.

— Teraz kolej na Wietnamczyków — zażartował, kiedy przyjechali do niego z hotelu.

Nagle Barone'owi wydało się, że usłyszał jakiś dźwięk dobiegający zza budynku. Wyjął

pistolet spod wiatrówki. Ostrożnie przeszedł parę kroków ciemną alejką. Za wysokim ogrodzeniem z siatki znajdował się tu klub „The Dungeon”. Drzwi, okna i ceglane ściany pomalowane miał na czarno. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co działo się w tym klubie.

Dziwne. W Kambodży sprzedawali dziewczęta za pieniądze w sekrecie, a tu podobny proceder odbywał się zupełnie jawnie. Kraj, który na piedestale stawia wolność, pomyślał, musi pogodzić się także z jej nadużyciami.

Klub był już zamknięty. Za siatką biegał pies, z pewnością to jego usłyszał przed drzwiami. Wsunął pistolet do wiszącej pod pachą kabury i powrócił na posterunek.

Wyjął z kieszeni własnoręcznie skręconego papierosa.

Zapalił. Myślał o tym, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Naprawdę w to wierzył. Cała piątka znalazła się w Hiszpanii bez najmniejszych problemów. Rozdzielili się na wypadek, gdyby któryś z nich został

zidentyfikowany i w ciągu kolejnych dwóch dni przylecieli z Madrytu do Stanów. Spotkali się w hotelu przy Times Square. Jako pierwszy zameldował się w nim Georgijew. Zdążył już nawiązać kontakty konieczne do dokonania zakupów broni. Barone pilnował magazynu, w którym toczyły się negocjacje.

Urugwajczyk odrzucił niedopałek papierosa. Skoncentrował się na planach na jutro.

Myślał o sprzymierzeńcu Georgijewa, którego znał tylko on sam. Wiedzieli tylko, że to Amerykanin, którego Bułgar zna od dziesięciu lat, a więc mniej więcej od czasu, gdy oni wszyscy poznali się w Kambodży. Ciekawe na kogo tam trafił i jaką rolę przyjdzie mu odegrać w jutrzejszej akcji.

36

Nie zastanawiał się nad tym długo. Barone'owi często zdarzało się myśleć o tym, o czym nie chciał myśleć, w tej chwili zaś nie chciał myśleć o Georgijewie i operacji, ale z uporem wracał do dawnych czasów. Wracał do domu.

Tam byłem samotny, pomyślał gorzko Urugwajczyk. Znam samotność i dziwnie dobrze czuję się sam.

Nie zawsze tak było. Choć rodzinie zawsze brakowało pieniędzy, przez pewien czas Montevideo wydawało mu się rajem. Rozłożona nad brzegiem Atlantyku stolica Urugwaju szczyli się najszybszymi i najpiękniejszymi na świecie plażami. Dorastający tam w latach sześćdziesiątych Bernardo Barone uważał się za najszczęśliwsze dziecko na świecie. Po szkole i po wypełnieniu obowiązków domowych chodził na plażę w towarzystwie starszego o dwanaście lat brata, Eduarda. Dwaj młodzi ludzie niechętnie schodzili z plaży; pozostawali na niej do późna w nocy, a często przez całą noc palili ognisko, budując zamki z piasku, pływając w oceanie.

— Dziś śpimy w stajni ze wspaniałymi końmi — mawiał Eduardo. — Czujesz ich zapach?

Bernardo nie czuł zapachu koni, lecz tylko zapach oceanu i spalin samochodowych oraz z silników łodzi. Wierzył jednak, że jego brat czuje konie. Też chciał je czuć, kiedy dorośnie.

Bardzo chciał być taki jak Eduardo. Na niedzielnej mszy, na którą zawsze chodził z matką, modlił się właśnie o to. Żeby, kiedy dorośnie, być jak brat.

Bernardo nigdy nie był szczęśliwszy. Eduardo zawsze był wobec niego cierpliwy, miał

mnóstwo przyjaciół i znajdował sobie nowych wśród ludzi, którzy zatrzymywali się, by podziwiać wielkie zamki z piasku, ich mury z blankami otoczone szerokimi fosami.

Dziewczyny kochały wysokiego, przystojnego Eduarda i kochały jego ślicznego małego braciszka, a Bernardo oczywiście odpłacał im wielką miłością.

Ich matka pracowała w piekarni, ojciec, Martin, był zawodowym bokserem. Marzeniem jego życia było oszczędzenie pieniędzy wystarczających na otwarcie własnej sali treningowej, dzięki czemu jego żona nie musiałaby pracować i mogłaby żyć jak wielka pani. Od piętnastego roku życia Eduardo wielokrotnie wyjeżdżał z ojcem i podczas walk był jego asystentem w narożniku. Wyjeżdżali na kilka tygodni jako część grupy Rio de la Plata. Grupy bokserów podróżowały autobusem z Mercedes przez Paysandu do Salto, walcząc między sobą lub z ambitnymi miejscowymi młodymi ludźmi. Płacono im

udział w dochodach z biletów minus opieka lekarza, który towarzyszył bokserom. Eduardo nauczył się podstawowych zasad pierwszej pomocy, dzięki czemu mogli oszczędzić na lekarzu.

Nie było to lekkie życie, a największy jego ciężar dźwigała matka. Przez wiele godzin pracowała przy piekielnie gorącym piecu i pewnego ranka, kiedy jej męża i najstarszego syna nie było w domu, zginęła w pożarze piekarni. Rodzina była biedna, więc ciało przyniesiono po prostu do mieszkania Barone'ów i Bernard czuwał przy nim, póki nie skontaktowano się z jego ojcem i nie poczyniono przygotowań do pogrzebu.

Miał wówczas dziewięć lat.

Podczas podróży z ojcem Eduardo nauczył się nie tylko podstaw medycyny. Przez przypadek, w małej gospodzie w San Javier, dowiedział się o komunistycznej organizacji 37

Movimento de Liberacion Nacional – Tupamaros. Tę partyzancką grupę sformował w 1962

Raul Antonaccio Sendic, przywódca robotników pracujących na polach trzciny cukrowej w północnym Urugwaju. Rząd nie kontrolował już inflacji osiągającej trzydziestu pięciu procent, co szczególnie mocno uderzyło w robotników. W agresywnym ruchu społecznym Sendica Eduardo dostrzegł szansę dla ludzi takich jak jego ojciec, ludzi, którzy utracili wszystko co kochali i nie umieli już nawet marzyć. Grupa dostrzegła w Eduardzie młodego człowieka zdolnego nie tylko do walki, lecz umiającego także opatrywać rany. Pasowali do siebie doskonale.

W 1972 roku prezydentem Urugwaju wybrany został despotyczny Juan Maria Bordaberry Arocena, cieszący się poparciem dobrze wyćwiczonej i dobrze uzbrojonej armii.

Jako jeden z pierwszych wydał rozkaz zmiążdżenia opozycji, a przede wszystkim Tupamaros, do których dołączył właśnie Eduardo. W kwietniu doszło do krwawego starcia z armią, a pod koniec roku niemal wszyscy członkowie ruchu byli albo martwi, albo w więzieniu. Eduardo trafił do więzienia i tam zmarł „z nieznanых przyczyn”. Ojciec Bernarda żył jeszcze dwa lata. Zmarł na ringu na skutek wylewu. Bernardo zawsze wierzył, że ojciec chciał umrzeć.

Nie miał po co żyć po tym, jak stracił najbliższych sobie ludzi.

Śmierć w rodzinie zmieniła Bernarda Barone w gniewnego młodego zapaleńca, śmiertelnie nienawidzącego rządów prezydenta Bordaberry'ego. Paradoksalnie, prezydent rozczarował wojsko, które w lutym 1973 przeprowadziło własny zamach stanu, ustanawiając Consejo de Seguridad Nacional. Bernardo wstąpił do wojska w 1979 roku, mając nadzieję, że stanie się cegiełką w budowie nowego porządku w ojczyźnie.

Po dwunastu latach zmagania się z problemami ekonomicznymi, z którymi nie potrafili sobie poradzić, wojskowi oddali władzę cywilom i znikli ze sceny. Sytuacja gospodarcza nie zmieniła się znacząco.

I znów Bernardo poczuł się zdradzony. Pozostał w wojsku. Z szacunku dla ojca stał się specjalistą w

walce wręcz, do której miał wyjątkowy talent. Nie stracił jednak nadziei, że pewnego dnia będzie w stanie ożywić ducha Tupamaros. Że będzie pracował dla ludu Urugwaju, a nie dla jego władców. Służąc w siłach pokojowych ONZ w Kambodży znalazł

swoją szansę. Szansę na zdobycie pieniędzy i zainteresowanie międzynarodowej prasy.

Dopalił papierosa. Przydeptał go na chodniku i zapatrzył się na samochody, jadące West Side Highway. Dostrzegł różnicę między Nowym Jorkiem a Montevideo. W Montevideo po zachodzie słońca czynne były wyłącznie hotele i hotelowe bary, tu nawet wczesnym rankiem na ulicach było pełno samochodów. W związku z tym władze nie miały możliwości śledzenia takiego ruchu, nie były w stanie ustalić, kto jedzie, gdzie i co wiozą ciężarówki oraz samochody dostawcze.

Na nasze szczęście, pomyślał.

Policja nie była także w stanie kontrolować wszystkich samolotów lądujących na otaczających miasto małych lotniskach. Tego rodzaju lotniska, a nawet płaskie pola obrzeży stanu Nowy Jork, a także Connecticut, New Jersey i Pensylwanii, wręcz idealnie służyły awionetkom, które przekraczały nielegalnie granice USA. Podobną rolę pełniły także rzeki.

Opuszczona zatoczka lub plaża we wczesnych godzinach porannych, paki sprawnie i cicho przeładowywane z łodzi i hydroplanów na ciężarówki, nic łatwiejszego i w dodatku tak blisko Nowego Jorku. Pod tym względem ich zespół także miał szczęście.

38

Minęła kolejna godzina, a po niej jeszcze jedna. Barone wiedział, że negocjacje będą trwały długo, bowiem Downer musiał sprawdzić każdą sztukę broni z osobna. Handlarze broni zazwyczaj znajdowali klientowi to, czego potrzebował, nie zawsze znaczyło to jednak, że spełniająca jego wymagania broń jest w dobrym stanie. Podobnie jak uciekinierzy, nielegalna broń nigdy nie podróżowała pierwszą klasą. Oczekiwanie nie przykrzyło się Urugwajczykowi. Liczyło się tylko to, by broń działała, kiedy wyceluje ją i ściągnie spust.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej. Obrócił się. Stojąca przy ujściu rzeki Statua Wolności oświetlona była pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Barone nie zdawał

sobie sprawy z tego, że posąg stoi właśnie tam; jego widok najpierw go zaskoczył, a potem zdenerwował. Nie miał nic wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi i amerykańskimi przekonaniem o wolności i równości wszystkich ludzi. Tutaj, w porcie, stał jednak ten gigantyczny posąg, wdrażający te właśnie idee. Wydawało mu się to czymś w rodzaju świętokradztwa. Wychowanie nauczyło go, że równość i wolność to rzeczy bardzo pływalne, że czci się je w sercu, nie w porcie.

Nieco przed siódmą otworzyły się wreszcie drzwi magazynu. Wyjrzał przez nie Downer.

— Podejdz od tyłu — powiedział Australijczyk i znikł.

Barone nie miał ochoty żartować sobie z jego akcentu. Od czasu incydentu, do którego doszło w lecącym nad Paryżem helikopterze, w ogóle nie miał ochoty na rozmowę z Downerem.

Ruszył w lewo i obszedł magazyn. Jego nowe buty na głęboko rzeźbionych gumowych podszewkach skrzypiały po asfalcie, kiedy szedł w stronę podjazdu. Po prawej miał warsztat wulkanizacyjny otoczony wysokim ogrodzeniem z siatki. W cieniu smacznie spał strzegący go pies. Nieco wcześniej, nad ranem, rzucił mu kawałek hamburgera — amerykańskie mięso nie bardzo smakowało Urugwajczykowi — i od tej pory zyskał w nim najlepszego przyjaciela.

Minął dwa zielone pojemniki na śmieci i znalazł się przy zaparkowanej obok, wynajętej furgonetce. Kupowali siedemnaście sztuk broni: po trzy sztuki broni ręcznej na każdego oraz dwa granatniki — a także amunicję i kamizelki kuloodporne. Wszystkie opakowane były w gruby plastik. Sazanaka i Vandal wynosili je już z warsztatu. Barone wskoczył do furgonetki.

Podawali mu broń, a on układał ją starannie w sześciu kartonowych pudłach. Downer, stojący w drzwiach warsztatu, obserwował ich uważnie pilnując, czy żaden z pakunków nie został upuszczony. Barone po raz pierwszy widział Australijczyka równie cichego i skupionego.

Podczas pracy Urugwajczyka opuściło poczucie osamotnienia. Bynajmniej nie dlatego, że znalazł się wśród przyjaciół, lecz dlatego, że znów coś robił. Byli już blisko celu. Barone zawsze wierzył w plan, teraz jednak uwierzył także, że można go zrealizować. Pozostało tylko parę drobnych kroków.

Przed kilkoma miesiącami Georgijew zdobył fałszywe nowojorskie prawo jazdy.

Ponieważ firmy wynajmujące samochody rutynowo sprawdzały właściciela w aktach policyjnych, nim pozwoliły mu wsiąść do któregoś z swoich samochodów, Bułgar musiał zapłacić ekstra za wpisanie go w pamięć komputera systemu wydziału ruchu drogowego. Wpisał weń nawet mandat sprzed roku — nie tylko po to, by udowodnić gdzie 39

mieszka, lecz także dlatego, że kierowcy z wielkich miast na ogół prędzej czy później łapią mandaty. Czyste akta mogłyby wzbudzić podejrzenia.

Teraz zespół musiał tylko pilnować, by wracając do hotelu nie przejechać skrzyżowania na czerwonym świetle i nie spowodować głupiego wypadku. Wcześniej przeprowadzili losowanie, w wyniku którego w samochodzie miał spać Vandal, podczas gry reszta mogła wypocząć w łózkach. Nie mieli zamiaru dać Łapkinowi szansy na ukradzenie im samochodu.

O siódmej wieczorem mieli opuścić hotel i pojechać na Czterdziestą Drugą Ulicę.

Przejadą Manhattanem na wschód i na Pierwszej Alei skręcą na północ. I Georgijew znowu będzie prowadził ostrożnie.

A potem przyspieszy. Podjedzie do celu z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Cel nie będzie w stanie bronić się dłużej niż dziesięć minut.

Opanują siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych, a wówczas rozpoczną trzecią, ostatnią fazę akcji.

v Nowy Jork, sobota 18.45

Liga Narodów powstała po I wojnie światowej by, według słów aktu założycielskiego –

„popierać współpracę międzynarodową w celu osiągnięcia powszechnego pokoju i bezpieczeństwa”. Prezydent Woodrow Wilson był wielkim zwolennikiem Ligi, lecz amerykański Kongres nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Protestował przede wszystkim przeciw możliwości użycia żołnierzy amerykańskich do utrzymania integralności terytorialnej i niezależności politycznej innych krajów, a także przyznaniu jej pewnej władzy w sprawach dotyczących Północnej, Środkowej i Południowej Ameryki.

Liga miała swą siedzibę w wybudowanym za sześć milionów dolarów imponującym pałacu w Genewie, ale mimo szlachetnych intencji okazała się nieskuteczna. Nie zdołała zapobiec japońskiej okupacji Mandżurii w 1931 roku, zagarnięciu Abisynii przez Włochy w 1935 roku, niemieckiemu wchłonięciu Austrii w 1938 roku. Nie zdołała zapobiec wybuchowi II wojny światowej. Historycy nadal dyskutują, czy udział Amerykanów w Lidze byłby w stanie odwrócić bieg wydarzeń.

Organizacja Narodów Zjednoczonych powstała w 1945 roku. Jej celem było dokonanie tego, czego nie udało się dokonać Lidze Narodów. Tym razem jednak sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Stany Zjednoczone uznały, że obrona niezależności innych państw leży w ich interesie. Komunizm traktowany był jako największe zagrożenie amerykańskiego stylu życia; każdy kolejny opanowany przez komunistów kraj wzmacniał przeciwnika.

Za gospodarza ONZ wybrała sobie Stany Zjednoczone. Nie tylko dlatego, że z II wojny światowej USA wyszły jako dominujące pod względem ekonomicznym i militarnym mocarstwo światowe, lecz także dlatego, że zobowiązały się pokryć jedną czwartą jej rocznego budżetu. A poza tym większość krajów europejskich nie mogła pochwalić się tradycjami demokratycznymi, Europę więc uznano za niedobre miejsce dla organizacji, której celem było zaprowadzenie światowego pokoju i porozumienia. Zdecydowano się w końcu na Nowy Jork, ponieważ błyskawicznie stał się on światowym centrum finansów, a poza tym zawsze uważany był za miejsce, w którym Nowy Świat najczęściej styka się ze Starym Światem. Dwie inne propozycje odrzucono z różnych względów. San Francisco odpowiadało wprawdzie Australijczykom i Azjatom, jednak zawetowali je Rosjanie, którzy nie mieli zamiaru ułatwiać podróży zniechęconym Chińczykom i Japończykom. Kandydatura sielskiego hrabstwa Fairfield nad brzegami cieśniny Long Island w Connecticut upadła z powodu sprzeciwu mieszkańców, którzy nie życzyli sobie mieć nic wspólnego z tym, co uważali za rząd światowy i obrzucili kamieniami geodetów, szukających najlepszego miejsca na siedzibę ONZ.

Duża działka pod wieżowiec ONZ, gdzie niegdyś mieściła się rzeźnia przy East River, kupiona została za osiem i pół miliona dolarów, podarowanych na ten cel przez Rockefellerów. W zamian za ten dar rodzina uzyskała odpowiednią ulgę podatkową, a poza tym dobrze zarobiła na działkach wokół, ponieważ w okolicy natychmiast rozpoczęło się 41

budowlane szaleństwo. Biura, domy, restauracje, centra handlowe i rozrywkowe powstawały jak grzyby po deszczu w marnej niegdyś dzielnicy, wszystko nastawione na obsługę tysięcy delegatów i pracowników Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ograniczony teren, na którym powstała siedziba ONZ, wymusił dwie rzeczy. Po pierwsze, trzeba ją było zaprojektować w formie drapacza chmur. Drapacze chmur były wynalazkiem typowo amerykańskim, powstały, by do maksimum wykorzystać niewielki Manhattan; przez to ONZ stało się jeszcze bardziej amerykańskie. Po drugie, sprzyjało to intencjom założycieli organizacji, ponieważ umożliwiło jej decentralizację, oddzielenie między innymi Trybunału Międzynarodowego i Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Zastępczą siedzibę ONZ zlokalizowano w starym pałacu Ligi Narodów w Genewie, dając Stanom Zjednoczonym do zrozumienia, że raz już próbowano powołać organizację, której zadaniem było strzeżenie pokoju na świecie i jej wysiłki spełzły na niczym, ponieważ nie wszystkie kraje chciały współpracować ze sobą w jej ramach.

Niektóre z tych faktów Paul Hood pamiętał jeszcze z gimnazjum. Z gimnazjum zapamiętał zresztą coś jeszcze, coś co na zawsze ukształtowało sposób, w jaki widział ten budynek. Podczas Bożego Narodzenia przyjechał z Los Angeles do Nowego Jorku z wycieczką, zorganizowaną dla najlepszych uczniów szkoły. Z lotniska Kennedy'go jechali do miasta autobusem; kiedy spojrzął przez okno za drugi brzeg East River zobaczył siedzibę Narodów Zjednoczonych o zmierzchu. Wszystkie inne widoczne z tego miejsca wieżowce usytuowane były na osi północ-południe: Empire State Building, gmach Chryslera, Pan-Am.

Trzydziestośmiopiętrowy, marmurowo-szklany wieżowiec Sekretariatu ONZ zbudowano jednak na osi wschód-zachód. Wspomniał o tym Jamesowi LaVigne, który siedział akurat obok niego.

Chudy, spięty chłopak w okularach oderwał wzrok od komiksu „The Mighty Thor”, ukrytego w okładce „Scientific American”.

— Wiesz, co mi przypomina ten budynek? — spytał.

Paul przyznał, że nie ma pojęcia.

— Wygląda zupełnie jak znak na piersi Batmana.

— Jak to? — zdziwił się szczerze. W życiu nie przejrzał żadnego komiksu z Batmanem, tylko raz obejrzał odcinek serialu w telewizji, wyłącznie po to, by wiedzieć, o czym rozmawiają koledzy.

— Batman nosi na piersi jaskrawy, czarno—złoty znak przedstawiający nietoperza —

wyjaśnił LaVinge. — A wiesz dlaczego?

Paul Hood nie miał pojęcia.

— Ponieważ pod kostiumem ma kamizelkę kuloodporną. Kiedy przeciwnik w niego strzela, chce, żeby strzelał właśnie tam. W pierś.

Po czym powrócił do lektury komiksu, a dwunastoletni Paul Hood do podziwiania wieżowca ONZ. LaVigne często wypowiadał takie dziwne opinie, z których najdziwniejszą było chyba twierdzenie, że historia Supermana to opowiedziany na nowo Nowy Testament. Ta 42

jednak wydawała się sensowna. Być może nowojorczyki specjalnie wybudowali ONZ w ten sposób? Gdyby jacyś Kubańczycy lub Chińczycy chcieli ją zaatakować do strony rzeki lub lotniska, mieli przed sobą wielki cel, w który nie sposób było nie trafić.

Przez to żywe wspomnienie z dzieciństwa Paul Hood zawsze myślał o gmachu ONZ

jako o dziesiątce na tarczy Nowego Jorku. A teraz, gdy znalazł się wewnątrz, poczuł się dziwnie odsłonięty. Oczywiście wiedział, że uczucie to nie ma żadnego sensu. Teren na którym stał wieżowiec miał status eksterytorialny. Gdyby terroryści chcieli zaatakować Stany Zjednoczone, zaatakowałyby ich infrastrukturę: koleje, mosty, tunele tak jak ci, którzy wysadzili w powietrze tunel Queensland–Midtown i zmusili Centrum do współpracy z jego rosyjskim odpowiednikiem. Mogliby także wysadzić w powietrze pomnik, na przykład Statuę Wolności. Podczas odwiedzin na Liberty Island zaważył, jak łatwo byłoby zaatakować statuę z morza lub z powietrza. Już na promie zdawał sobie sprawę z tego, jak łatwo byłoby wysłać dwóch pilotów–samobójców w samolotach wyładowanych materiałami wybuchowymi i obrócić statuę w gruzy. W centrum administracyjnym znajdowały się wprawdzie radary, ale wodny komisarz policji miasta Nowy Jork dysponował zaledwie jedną kanonierką, zakotwiczoną przy pobliskiej Governor's Island. Dwa samoloty nadlatujące z przeciwnych kierunków, sama Statua blokująca ogień z kanonierki... jednemu z nich z pewnością udałoby się dolecieć do celu.

Za długo pracowałeś w Centrum, powiedział sobie. Nawet na wycieczce rysujesz scenariusze możliwych kryzysów.

Potrząsnął głową i rozejrzał się dookoła. Przyjechali z Sharon wcześniej i poszli do sklepu z pamiątkami, by kupić Alexandrowi podkoszulek. Potem pojechali windą do wielkiego holu budynku Zgromadzenia Narodowego, obok brązowego posągu Zeusa, by poczekać na przedstawiciela Młodych Artystów ONZ. O czwartej zamknięto hol dla publiczności, by pracownicy mogli go przygotować na doroczne przyjęcie poświęcone światowemu pokojowi. Ponieważ noc zapowiadała się pogodna, goście mogli zjeść coś pod dachem, a porozmawiać na zewnątrz. Oddano im do dyspozycji północny dziedziniec. Mogli podziwiać ogród i rzeźby lub spacerować promenadą wzdłuż East River. O dziewiętnastej trzydzieści Mala Chatterjee, Hinduska, nowa pani sekretarz generalna Organizacji Narodów Zjednoczonych, zjawi się w salach Rady Bezpieczeństwa z przedstawicielami narodów zasiadających w Radzie. Pani Chatterjee oraz ambasador Hiszpanii podziękują członkom sił

pokojowych ONZ za ich wysiłki w udaremnieniu zamachu stanu w Hiszpanii. Następnie Harleigh i inni skrzypkowie odegrają „Pieśń Pokoju”. Skomponował ją Hiszpan celem uczczenia ofiar hiszpańskiej wojny domowej sprzed sześćdziesięciu lat. Wybrano wykonawców z Ameryki, co wydawało się słuszne, bowiem to Amerykanka, Martha Macall, stała się pierwszą ofiarą nieudanej próby zamachu stanu. To, że w grupie ośmiu skrzypków znalazła się córka Paula Hooda, było

wyłącznie kwestią przypadku.

Dwunastka rodziców pojawiła się w komplecie. Sharon znikła w poszukiwaniu łazienki.

W kilka chwil po jej wyjściu pojawili się wykonawcy. Harleigh wyglądała tak dorośle w białej atlasowej sukni i naszyjniku z pereł. Barbara Mathis, stojąca obok niej, także była spokojna i pewna siebie, prawdziwa artystka świadoma własnej wartości. Paul Hood wiedział

doskonale, że żona znikła właśnie dlatego, że na sali miała pojawić się jej córka — Sharon nie zносиła płakać publicznie. Harleigh uczyła się grać na skrzypcach od czwartego roku życia, gdy jeszcze nosiła śliniaczek. Taki jej wygląd zapamiętał, zapamiętał ją także w dresie, podczas występów gimnastycznych i lekkoatletycznych, w których celowała. Teraz widział ją w sukni, widział kobietę, skrzypaczkę i było w tym coś oszołamiającego. Spytał ją, czy jest 43

zdeenerwowana. Odpowiedziała, że nie i że to kompozytor wykonał najtrudniejszą pracę. Nie dość, że pewna siebie, Harleigh była także bardzo mądra.

Dopiero teraz Paul Hood zdał sobie sprawę z tego, że to nie wyniesiony jeszcze z dzieciństwa widok gmachu Narodów Zjednoczonych sprawił, że czuł się niepewnie, lecz ta właśnie chwila. Ten jeden jedyne moment w czasie.

Stojący w otwartym, wysokim na cztery piętra holu Hood czuł się bardzo samotny. Tak wiele rzeczy już od niego nie zależało. Jego dzieci dorosły, rzucił pracę, nie miał

porozumienia z żoną, już nigdy nie zobaczy ludzi, z którymi przez przeszło dwa lata współpracował tak blisko. Czy, przeżywszy przeciw połowę życia, powinien czuć to, co czuje? Czy powinien być niepewny siebie, zagubiony?

Nie miał pojęcia. Jego współpracownicy z Centrum: Bob Herbert, Mike Rodgers, Darrell McCaskey, geniusz komputerowy Matt Stoll, nawet Martha Macall, która niedawno zginęła tragicznie w Hiszpanii, wszyscy byli samotni. Żyli w pracy. Podobnie jak Brett August, dowódca Iglicy. Czy współpracując z nimi stał się takim jak oni? Czy może przyciągnęli go do siebie, bo pragnął takiego życia?

Jeśli prawdziwe było to ostatnie stwierdzenie, będzie miał wielkie kłopoty z naprawieniem tego, co chciał naprawić w stosunkach z Sharon. Być może powinien porozmawiać z Liz Gordon, póki jeszcze przysługiwały mu przywileje związane z zajmowanym stanowiskiem? Z drugiej strony Liz Gordon też była samotna i pracowała przez dobre sześćdziesiąt godzin w tygodniu.

Dostrzegł Sharon wspinającą się po kręconych schodach po przeciwnej stronie holu.

Miała na sobie śliczne, beżowe spodnium i wyglądała w nim doprawdy olśniewająco.

Powiedział jej to w hotelu i widział, że od razu poczuła się pewniej. Uśmiechnęła się do niego; odpowiedział jej uśmiechem i nagle uświadomił sobie, że nie czuje się już aż tak samotny.

Podeszła do nich młoda Japonka w granatowej bluzie, z wielkim identyfikatorem i szerokim powitalnym uśmiechem na ustach. Wyszła z niewielkiej sali znajdującej się po wschodniej stronie budynku Zgromadzenia Ogólnego. W odróżnieniu od sali głównej, znajdującej się w wysuniętej najbardziej na północ części gmachu, ta mniejsza przylegała do głównego dziedzińca przed wielkim gmachem Sekretariatu. Poza biurami zajmowanymi przez przedstawicieli narodów zrzeszonych w ONZ, gmach Sekretariatu mieścił także sale Rady Bezpieczeństwa, Rady Gospodarczo–Społecznej oraz Rady Powierniczej. Zmierzali właśnie w tym kierunku. Te trzy wspaniałe audytoria ulokowano obok siebie, z widokiem na East River Klub Korespondentów Organizacji Narodów Zjednoczonych, do którego miano zaprowadzić rodziców, mieścił się naprzeciw sali Rady Bezpieczeństwa.

Ich młoda przewodniczka nazywała się Kako Nogami. Rodzice poszli za nią, ich przewodniczka wygłosiła przy okazji skróconą wersję tekstu dla turystów.

— Kto z państwa był już kiedyś w gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych? —

spytała. Kilkoro rodziców podniosło ręce, ale nie Paul Hood. Nie chciał, żeby Kako zapytała o poprzednią wizytę, obawiał się, że powie jej wówczas o Jamesie LaVigne i Batmanie.

44

— By odświeżyć państwa pamięć, a także z myślą o naszych nowych gościach, opowiem państwu teraz o tej części budynku, którą odwiedzimy.

Następnie wyjaśniła, że Rada Bezpieczeństwa jest najpotężniejszym, po Zgromadzeniu Ogólnym, ciałem ONZ, odpowiedzialnym za utrzymanie światowego pokoju i bezpieczeństwa.

— Stałymi członkami Rady jest pięć krajów, w tym Stany Zjednoczone — tłumaczyła

— a także dziesięć innych, wybieranych na dwuletnie kadencje. Dziś wasze dzieci wystąpią przed ambasadorami tych krajów przy ONZ oraz wyższymi urzędnikami ambasad.

— Rada Gospodarczo–Społeczna, jak wskazuje jej nazwa, służy jako forum do dyskusji problemów ekonomicznych i społecznych — mówiła dalej przewodniczka. — Dbą także o prawa człowieka i podstawowe wolności. Rada Powiernicza, która zawiesiła swe działanie w 1994 roku, wspomagała narody na całym świecie, pragnące samorządności lub niepodległości, zarówno jako niezależne państwa, a także w ramach innych państw.

Paul Hood zamyślił się na chwilę. Kierowanie tę instytucją musiało być czymś fascynującym. Niedopuszczanie do sporów między delegatami to zadanie z pewnością równie fascynujące, co niedopuszczanie do walk między narodami.

Przeszli obok wielkiego okna na parterze, wychodzącego na główny dziedziniec.

Widzieli stąd szintoistyczną świątynię, w której znajdował się japoński Dzwon Pokoju, odlany z monet — daru obywateli sześćdziesięciu narodów. W tym miejscu sala przechodziła w szeroki

korytarz. Przed sobą mieli windy, których używali delegaci ONZ i ich pracownicy.

Po prawej stał szereg gablot, do których podprowadziła ich przewodniczka. Zamknięto w nich przedmioty pozostałe po zrzuconiu bomby atomowej na Hiroszimę: stopione puszki, spalone dziecinne szkolne fartuszki i dachówki, stopione butelki, mały, kieszonkowy posążek świętej Agnieszki. Ich przewodniczka, Japonka, ze szczegółami opisała moc i niszczycielską siłę wybuchu.

Ta część wystawy nie poruszyła ani Paula, ani ojca Barbary Mathis, którego ojciec zginął na Okinawie. Paul pożałował, że nie ma przy nim Boba Herberta i Mike'a Rodgersa.

Mike poprosiłby o pokazanie pamiątek po ataku na Pearl Harbor. Ataku, który nastąpił

przecież gdy Ameryka i Japonia nie znajdowały się w stanie wojny. Być może ich najwyżej dwudziestotrzyletnia przewodniczka nie zrozumiałaby pytania? Bob Herbert wściekłby się jeszcze wcześniej. Szef wywiadu Centrum stracił żonę — i nogi — w ataku terrorystycznym na ambasadę amerykańską w Bejrucie w 1983 roku. Ułożył sobie jakoś życie, ale nie należał

do ludzi, którym zapomnienie przychodzi z łatwością i w tym przypadku Hood nie miał

najmniejszego zamiaru go winić. W jednej z publikacji Narodów Zjednoczonych, którą przejrzał w sklepie z pamiątkami, o Pearl Harbor pisano jako o „ataku Hirohito”, jawnie zwalniając Japończyków od odpowiedzialności za to, co wówczas zaszło. Znacznie bardziej poprawny niż jego niegdyś szef wywiadu, Paul Hood mimo to uznał rozpowszechnianie takiej wersji historii za niepokojące.

Skończywszy z wystawą poświęconą Hiroszimie, grupa wjechała dwa piętra po ruchomych schodach. Po lewej mieli trzy audytoria, z których najdalszym było audytorium Rady Bezpieczeństwa. Poprowadzono ich do starego centrum prasowego. Stał przed nimi czarnoskóry strażnik, służący w Służbie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Murzyn miał na sobie szaroniebieską koszulę z krótkimi rękawami, 45

szarogranatowe spodnie z czarnymi lampasami i granatową czapkę. Z identyfikatora można było odczytać jego nazwisko: Dillon. Otworzył przed nimi drzwi do starej sali prasowej.

Weszli do środka.

Obecnie dziennikarze pracują na ogół w wyposażonych we wszystkie cuda najnowszej techniki długich przeszklonych boksach, usytuowanych po obu stronach audytorium Rady Bezpieczeństwa. Można do nich wejść z korytarza dzielącego sale Rady Bezpieczeństwa oraz Rady Gospodarczo-Społecznej. W latach pięćdziesiątych to obszerne, pozbawione okien pomieszczenie mające kształt litery L mieściło centrum prasowe ONZ. Jego pierwszą i mniejszą część zajmowały stare biurka, telefony, kilka terminali komputerowych i parę faksów. W drugiej, większej części, w dłuższym ramieniu L, stały obite plastikiem kanapy, była tam też toaleta, szafka i cztery wmontowane w ścianę telewizory. Obserwowano na nich zazwyczaj to wszystko, co działo się w Radzie Bezpieczeństwa

lub Radzie Gospodarczo-

Społecznej. Po nałożeniu słuchawek i wybraniu kanałów, obserwatorzy mogli przysłuchiwać się obradom w dowolnym języku. Dziś mieli śledzić dzięki nim przemowę pani Chatterjee, a potem występy młodych muzyków. Pod ścianą ustawiono dwa niskie stoliki z kanapkami i ekspresem do kawy. Mała lodówka wypełniona była napojami.

Kako podziękowała rodzicom za uwagę, po czym uprzejmie przypomniała im, że ze względów bezpieczeństwa całą uroczystość mogą obserwować wyłącznie z tego miejsca. O

wpół do dziewiątej dołączą do nich dzieci. Paul Hood zastanawiał się, czy zadaniem ich strażnika było nie dopuszczenie do centrum prasowego turystów, czy też raczej nie wypuszczenie rodziców z centrum prasowego.

Razem z Sharon podeszli do stolików z kanapkami. Ojciec Barbary Mathis wskazał na plastikowe talerzyki i widelce.

— Aż tak z nimi źle, od kiedy Ameryka nie płaci składek? — zażartował.

Funkcjonariusz waszyngtońskiej policji miał na myśli miliardowy dług Ameryki wobec ONZ powstały z woli Kongresu, któremu nie podobało się to, co nazwał „chronicznym marnotrawstwem, oszustwem i nadużyciami finansowymi”, jakże charakterystycznymi dla ONZ. Najpoważniejszy z tych zarzutów dotyczył środków przeznaczonych na utrzymanie sił

pokojowych, które przekazywano podobno siłom militarnym skontaktowanych państw.

Paul Hood uśmiechnął się uprzejmie. Nie miał ochoty myśleć w tej chwili o wielkich budżetach i rządach demokracji pieniądza. Dla niego i żony był to po prostu dobry dzień. Po pierwszej, pełnej napięcia nowojorskiej nocy Sharon wyraźnie się rozluźniła. Cieszyła się ślicznym jesiennym zachodem słońca na Liberty Island i nie dopuściła do tego, by zdenerwowały ją wszechobecne tłumy. Bawił ją entuzjazm, z jakim Alexander chłonał

wszystkie dane techniczne dotyczące Statui Wolności i z jakim dał się pochłonać grze wideo i nie całkiem zdrowemu obiadowi z baru sałatkowego przy Siódmej Alei. Paul nie miał

zamiaru dopuścić do tego, by plastikowa zastawa zrujnowała mu ten dzień.

Harleigh była zapewne katalizatorem wszystkiego co dobre, ale ani ona, ani Alexander nie byli w stanie skleić tego, co pękło.

Możemy mieć nadzieję, powiedział sobie Hood, kiedy nakładali jedzenie na talerze, a później usiedli na jednej ze starych, obitych skajem kanap, by czekać na nowojorski debiut ich córki.

v Nowy Jork, sobota 19.27

W soboty po siódmej wieczorem ruch na Times Square gęstniał – to z przedmieść przyjeżdżali bywalcy teatrów. Limuzyny korkowały przyległe ulice, przed parkingami tworzyły się kolejki, a autobusy i taksówki poruszały się przez dzielnicę teatrów w ślimaczym tempie.

Planując tę fazę operacji Georgijew wziął oczywiście pod uwagę korki. Kiedy wreszcie skręcili w Czterdziestą Drugą i ruszyli nią nieco szybciej w kierunku Bryant Park, był

rozluźniony i pewny siebie. Podobnie jak wszyscy członkowie jego zespołu. Oczywiście, gdyby nie służył wraz z nimi i na własne oczy nie widział, jak spokojnie zachowują się w trudnych sytuacjach, nigdy nie wybrałby ich do przeprowadzenia tej misji.

Oprócz Reynolda Downera to właśnie Georgijew, czterdziestoosmioletni były pułkownik Bułgarskiej Armii Ludowej, był jedynym prawdziwym najemnikiem w całym zespole. Barone potrzebował pieniędzy, by wspomóc walczących w ojczyźnie przyjaciół.

Sazanaka i Vandal mieli do spłacenia długi honorowe datujące się jeszcze z czasów II wojny światowej, długi, które mogli spłacić pieniędzmi. Georgijew miał inny problem. Przez niemal dziesięć lat należał do finansowanego przez CIA bułgarskiego podziemia. Robił to tak długo, że nie potrafił już przystosować się do czasów, w których nie miał przeciwnika. Nie znał

innego zawodu niż żołnierka, armia przestała wypłacać regularnie żołd i przez to był teraz znacznie biedniejszy niż wówczas, gdy dostawał amerykańskie dolary i żył w cieniu sowieckiego giganta. Chciał otworzyć biznes: wydobywanie ropy i gazu ziemnego. Udział w zyskach z dzisiejszej operacji z pewnością mu to umożliwi.

Ponieważ Georgijew znał taktykę działania CIA i mówił z doskonałym nowojorskim akcentem, członkowie zespołu bez wahania przekazali mu dowodzenie tą fazą operacji. Poza tym organizując biznes z prostytutkami w Kambodży udowodnił, że jest urodzonym przywódcą.

Bułgar prowadził spokojnie, rozważnie. Zwracał uwagę na śpieszących się przechodniów. Nie podjeżdżał za blisko jadących przed nim samochodów. Nie wrzeszczał na taksówkarzy, którzy zajeżdżali mu drogę. Nie ryzykował zatrzymania przez policję. Co za ironia! Miał właśnie popełnić mord, o którym świat długo nie będzie w stanie zapomnieć, a tymczasem siedział za kierownicą spokojny i skupiony, prawdziwy dżentelmen jezdni.

Dawno temu, dorastając, marzył o tym, by zostać filozofem. Być może kiedy skończy to, co robi, wróci do filozofii? Zawsze fascynowały go paradoksy.

Kiedy przejeżdżał tę drogę wczoraj, zauważył kamerę kontroli ruchu drogowego zainstalowaną na słupie sygnalizacji ulicznej na południowo-zachodnim rogu skrzyżowania Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei. Jej obiektyw skierowany był na północ. Druga znajdowała się na rogu

Czterdziestej Drugiej i Trzeciej, skierowana na południe. Zarówno siedzący obok kierowcy Vandal, jak i on sam opuścili osłony przeciwsłoneczne na przedniej 47

szybie. W gmachu ONZ mieli nosić kominiarki. Nowojorska policja przejrzy prawdopodobnie nagrania ze wszystkich kamer w okolicy, a nie chcieli, by komukolwiek udało się zdobyć fotografie ludzi jadących furgonetką. Z kamery ruchu ulicznego nie dowiedzą się niczego. Policja mogła wprawdzie znaleźć kilku turystów, którzy sfilmowali ich samochód i dlatego właśnie Georgijew zbliżał się do celu od strony zachodzącego słońca; na każdej taśmie wideo widoczny będzie wyłącznie odbłask promieni słonecznych. Niech Bóg błogosławi CIA za to, czego się od niej nauczył.

Minęli Bibliotekę Publiczną Miasta Nowy Jork, dworzec Grand Central i budynek Chryslera. Bez przeszkód dojechali do Pierwszej Alei. Georgijew zwolnił, podjeżdżając do skrzyżowania, by zatrzymać się na światłach. Zjechał też na prawy pas. Po skręcie w lewo znajdzie się po tej samej stronie co gmach ONZ. Spojrzał na północ. Od celu dzieliły go jeszcze dwie przecznice. Niemal na wprost znajdował się gmach Sekretariatu, który od ulicy oddzielał okrągły plac z fontanną. Całość, zajmująca cztery przecznice, ogrodzona była przeszło dwumetrowym ogrodzeniem ze stalowych prętów. Przy bramach, za ogrodzeniem, stały trzy budki wartownicze. Ulicę patrolowali policjanci z nowojorskiej komendy policji. Po drugiej stronie Pierwszej Alei, na rogu Czterdziestej Piątej Ulicy, stała policyjna budka pełniąca rolę punktu dowodzenia.

Georgijew sprawdził to po raz ostatni zaledwie wczoraj. Jeszcze wczoraj studiował

zdjęcia i filmy, które zrobił przed wieloma miesiącami. Doskonale znał teren, wiedział, gdzie znajduje się każda latarnia, każdy hydrant.

Odczekał, aż po lewej zaczęło migać żółte światło. Oznaczało to, że mają sześć sekund do zmiany świateł. Swoją kominiarkę Bułgar trzymał do tej pory między nogami. Kiedy pojawił się napis NIE PRZECHODZIĆ, wyjął ją i założył, podobnie jak siedzący obok niego Vandal. Obaj mieli na rękach cienkie białe rękawiczki, dzięki którym nie pozostawiali odcisków palców.

Zabłyśło zielone światło.

Ruszyli.

v Nowy Jork, sobota 19.30

Etienne Vandal nałożył kominiarkę. Obrócił się i wziął broń od Sazanaki, który znajdował się w budzie furgonetki z Barone'em i Downerem. Siedzenia usunęli i zostawili w hotelowym garażu. Okna zamalowali. Przygotowań dokonano w całkowitej tajemnicy.

Barone schował do kabur dwa pistolety i wziął do ręki swoje *Uzi*. Miał także nosić plecak z gazem i maskami. Gdyby musieli torować sobie siłą drogę odwrotu, będą mieli zarówno zakładników, jak i gaz.

Niełatwo mu było obrócić się z powodu kamizelki kuloodpornej, ale Vandal wolał niewygodę od ryzyka. Japończyk wręczył mu dwa pistolety i *Uzi*.

Downer klęczał przy drzwiach od strony kierowcy. Na podłodze samochodu leżała jego broń. Na ramię zarzucił szwajcarską ręczną wyrzutnię rakiet *B-77*. Wolałby amerykańską *M-*

47 Dragon, ale jej nie udało się Łapkinowi dostać. Vandal wraz z innymi miał tylko nadzieję, że Australijczyk trafi za pierwszym razem. Bez rakiet przeciwpancernych nie mieli szans.

Barone przyklęknął przy bocznych drzwiach, gotów otworzyć je w każdej chwili.

Francuz sprawdził swoją broń jeszcze w hotelu. Siedział teraz i czekał, podczas gdy furgonetka przyśpieszała. Nareszcie byli na miejscu. Rozpoczęło się odliczanie.

Przygotowania zajęły im rok. On sam oczekiwał na tę chwilę znacznie dłużej. Patrząc na zbliżający się cel był spokojny, czuł nawet ulgę.

Inni także sprawiali wrażenie spokojnych, zwłaszcza Georgijew, on jednak zawsze bardziej przypominał maszynę, niż człowieka. Vandal wiedział o nim bardzo niewiele, a to, co wiedział, nie budziło ani szacunku, ani sympatii. Aż do przyjęcia nowej konstytucji w 1991

roku, Bułgaria była jednym z najbardziej zniewolonych państw w bloku sowieckim.

Georgijew pomagał CIA werbować informatorów w sferach rządowych. Vandal rozumiałby, gdyby robił to z powodów ideologicznych. Georgijew jednak pracował dla CIA tylko dlatego, że dobrze płaciła. Mimo iż cel się nie zmienił, w tym tkwiła różnica między patriotą a zdrajcą.

Francuz był pewien, że człowiek zdrażający swą ojczyznę dla pieniędzy z całą pewnością był w stanie zdradzić współników. Z tego doskonale zdawał sobie sprawę. Jego dziadek kolaborował z Niemcami. I nie chodziło tylko o to, że zdradził swój kraj. Był członkiem grupy ruchu oporu Mulota, która kradła i ukrywała dzieła sztuki z muzeów, nim zdołali dotrzeć do nich Niemcy. Charles Vandal nie tylko wydał Mulota i jego przyjaciół gestapo, lecz także doprowadził ich do wykorzystywanych

przez grupę kryjówek.

Mieli do przejechania jeszcze przecnicę. Kilku turystów, którzy byli jeszcze na ulicy mimo późnej pory, obejrzało się za przyśpieszającą furgonetką. Minęli bibliotekę ONZ, mieszczącą się po południowej stronie placu. Georgijew docisnął pedał gazu do podłogi i przemknął koło budki wartowniczej z jej zielonkawymi, kuloodpornymi szybami, za którymi widać było znudzonych strażników. Budka stała za ogrodzeniem z czarnych żelaznych

prętów, który od ulicy dzielił dwudziestometrowej szerokości chodnik. Ze względu na dzisiejszą uroczystość zamknięto bramę i zwiększono liczbę strażników, co zresztą nie miało najmniejszego znaczenia. Ich cel leżał zaledwie siedemnaście metrów dalej w kierunku północnym.

Furgonetka minęła drugą budkę strażniczą i ominęła znajdujący się tuż za nią hydrant.

Przeskoczyli przez chodnik, potracając kilku przechodniów; jeden z nich dostał się pod koła od strony kierowcy. W chwilę później furgonetka sforsowała metrowej wysokości ogrodzenie z siatki. Zgrzyt metalu zagłuszył krzyki rannych. Jechali teraz przez mały ogródek porośnięty drzewami i krzewami. Georgijew z daleka objeżdżał większe drzewa znajdujące się po południowej stronie ogrodu. Zwisające nisko gałęzie uderzyły w przednią szybę i dach –

niektóre złamały się, inne, uwolnione przez szybko jadący samochód, odskakiwały do tyłu.

Służba Bezpieczeństwa ONZ, policjanci z komendy nowojorskiej oraz grupka agentów z Departamentu Stanu w białych koszulach dopiero zaczynała reagować. Policjanci wyjmowali broń, chwyтали za radia i wybiegali z trzech budek wartowniczych stojących przy Pierwszej Alei.

Furgonetka w niespełna dwie sekundy przejechała przez ogródek i sforsowała żywopłoty po jego przeciwnej stronie. Pasażerowie chwyтали się czego tylko się dało, a Georgijew z całej siły nacisnął na hamulec. Ogród oddzielała od okrągłego dziedzińca betonowa bariera blisko metrowej wysokości, gruba na niemal trzydzieści centymetrów. Za nią stały w rzędzie maszty flag stu osiemdziesięciu państw członkowskich ONZ.

Georgijew i Vandal pochylili się nisko – oczekiwali, że lada chwila może wylecieć szyba. Barone odsunął boczne drzwi samochodu. Sazanaka, leżący na podłodze, gotów był do otwarcia ognia osłaniającego, gdyby okazało się to konieczne. Downer wychylił się ponad nim i wycelował wyrzutnię w grubą ścianę. Celował nisko, nie chciał, by pozostało z niej cokolwiek powyżej poziomu ziemi. Wystrzelił.

Rozległ się ogłuszający ryk i szeroka na blisko dwa metry część muru zniknęła w kłębach dymu. Kilka fragmentów betonu przeleciało przez plac niczym kule armatnie; niektóre wylądowały w fontannie, niektóre rozbiły się na podjeździe, większość jednak uniosła się wachlarzem białego gruzu na wysokość niemal dwudziestu metrów, a potem spadła na ziemię niczym grad. Pięć wielkich masztów złamało się przy ziemi i z głośnym brzękiem upadło ciężko na asfalt. Vandal słyszał ten dźwięk, choć w uszach nadal dzwoniło mu od eksplozji.

Kawałki gruzu jeszcze leciały z nieba, kiedy Georgijew docisnął gaz. Najważniejsze było teraz utrzymanie się w czasie. Musieli poruszać się tak szybko, jak to tylko możliwe.

Przejechali przez dziurę w murze, ocierając się lewą stroną o kawałek betonu, ale nieszkodliwie. Downer cofnął się do środka, Sazanaka jednak nadal leżał w otwartych drzwiach, gotów strzelać do każdego, kto otworzyłby do nich ogień. Ale nikt nie strzelał.

Kiedy jeszcze wszyscy byli członkami Sił Pokojowych i po raz pierwszy wpadli na ten pomysł, bez trudu otrzymali oficjalne wytyczne ONZ dla Służby Bezpieczeństwa. Stało w nich czarno na białym, że żadnemu funkcjonariuszowi nie wolno działać w pojedynkę przeciwko grupie. Interweniować mieli ci funkcjonariusze, którzy byli na miejscu incydentu, zabronione było jednak rzucanie napastnikom wyzwania, póki nie zgromadzono na miejscu jednostek w odpowiedniej sile. Doktryna ONZ w stanie czystym, nie sprawdzająca się w stosunkach międzynarodowych, nie miała także sprawdzić się tutaj.

50

Georgijew jechał przez plac na północny wschód. Szyba, choć stłuczona, nadal trzymała się ramy. Furgonetka wjechała na trawnik prowadzący do budynku Zgromadzenia Ogólnego.

Okrążyli od wschodu japoński Dzwon Pokoju. Vandal znów się pochylił. Przez wielkie okno wjechali z dziedzińca do małego holu. Uderzyli posąg El Abraso de Paz, przedstawiający stylizowaną postać ludzką, przewrócili go i przejechali po nim. Furgonetka osiągnęła kres swej drogi, ale dalej jechać już nie musiała. Nim strażnicy i obecni na przyjęciu dla delegatów goście zorientowali się, co się dzieje, pięciu napastników wyskoczyło z samochodu.

Georgijew położył krótką serią strażnika, stojącego u wlotu korytarza prowadzącego do wind dla personelu. Strażnik okręcił się i padł – pierwsza ofiara z grona personelu ONZ. Vandal zastanowił się przelotnie, czy i jemu poświęcą jakiś posąg symbolizujący pokój.

Przebiegli korytarzem i dotarli do wind. Okazało się, że zostały one wyłączone przez Służbę Bezpieczeństwa. Tego nie przewidzieli, ale wyłączenie wind nie miało żadnego praktycznego znaczenia. Szybko wbiegli po schodach na piętro i skręcili w lewo. Nieczynne windy były jedyną formą oporu, z jaką się spotkali. Saddam Husajn udowodnił w Kuwejcie w 1990 roku, że nie ma skutecznej obrony przeciwko dobrze zaplanowanemu błyskawicznemu natarciu, można tylko cofnąć się, a potem kontratakować. W tym wypadku zaś ani jedno, ani drugie nie miało sensu.

W niespełna dziewięćdziesiąt sekund po zjechaniu z Pierwszej Alei, pięciu terrorystów znalazło się w sercu budynku Sekretariatu ONZ. Biegli wzdłuż wysokich okien wychodzących na dziedziniec. Fontannę wyłączyli, by nie zasłaniała widoku na okna Sekretariatu. Ruch na ulicy zamarł, turystów kierowano w sąsiednie uliczki. Wszędzie było już pełno policji i strażników.

Odciać budynek, ograniczyć zagrożenie, pomyślał Vandal. Nie ma nic łatwiejszego niż przewidzieć, co zrobią.

Kilku strażników biegło w ich kierunku. Trzech mężczyzn i jedna kobieta; wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne. W dłoniach trzymali broń. Kierowali się w stronę sali Rady Bezpieczeństwa, która znajdowała się po ich prawej stronie. Prawdopodobnie wysłano ich po delegatów na wypadek, gdyby to oni byli celem.

Jakiegolwiek otrzymali zadanie, nigdy go nie wykonali. Widząc napastników zatrzymali się, a potem, jak każdy żołnierz lub policjant, który nigdy nie przeszedł chrztu bojowego, odwołali się do tego, w co kazano im ufać: do szkolenia. Z podręcznika dla Służby Bezpieczeństwa ONZ Vandal wiedział doskonale, czego ich nauczono. Jeśli dojdzie do konfrontacji, mieli przede wszystkim rozbiec się, by nie tworzyć skoncentrowanego celu, następnie — o ile to możliwe — znaleźć ukrycie, aż wreszcie próbować obezwładnić napastnika.

Georgijew i Sazanaka nie dali im najmniejszej szansy. Strzelali z *Uzi* z biodra, mierząc w uda. Broń i radiotelefony upadły na podłogę. Wszyscy ranni, jęczący z bólu i szoku, dobici zostali strzałami w głowę. Georgijew pochylił się i podniósł dwa radiotelefony, które poślizgnęły się po podłodze do jego stóp. Pozostali przystanęli metr przed ciałami.

— Idziemy — polecił Vandal.

Dołączyli do nich Barone i Downer, i cała piątka ruszyła przed siebie. Od pomieszczeń Rady Bezpieczeństwa dzieliły ich tylko cztery trupy i śliska od krwi posadzka.

v **Nowy Jork, sobota 19.34**

Wszyscy znajdujący się w pomieszczeniach prasowych rodzice usłyszeli i odczuli dobiegający z dołu huk i wstrząs. Ponieważ tam, gdzie się znajdowali, nie było okien, nie mogli wiedzieć, co się stało.

Paul Hood pomyślał najpierw, że doszło do jakiegoś wybuchu. Do podobnego wniosku doszło także kilkoro rodziców — chcieli wyjść i sprawdzić, czy nic nie stało się dzieciom. W

tym momencie pojawił się strażnik, Dillon, prosząc ich, by zostali na miejscu i zachowali spokój.

— Przed chwilą byłem w Radzie Bezpieczeństwa — powiedział. — Z dziećmi wszystko w porządku. Jest tam też większość delegatów, czekających na sekretarz generalną. Strażnicy są już w drodze. Najpierw ewakuują dzieci, delegatów, a potem państwa. Jeśli zachowacie spokój, nikomu nic się nie stanie.

— Wie pan, co się w ogóle stało? — spytał jakiś rodzic.

— Nie jestem pewny. Wygląda na to, że jakaś furgonetka sforsowała barierę i dostała się na dziedziniec. Widziałem ją przez okno. Ale nikt nie wie...

Przerwały mu dobiegające z dołu trzaski, bardzo przypominające strzały. Dillon natychmiast złapał radiotelefon.

— Wolność Siedem do Bazy, co się dzieje?

Przez radio usłyszeli hałas i krzyki. Nagle odezwał się jakiś głos.

— Mamy na terenie intruzów, Wolność Siedem. Nic o nich nie wiemy. Idź do Everest Sześć, Kod Czerwony. Zrozumiałeś?

— Everest Sześć, Kod Czerwony — powtórzył Dillon. — Już idę. — Wyłączył radio i ruszył w stronę drzwi. — Wracam do pomieszczeń Rady Bezpieczeństwa. Bardzo państwa proszę, nie ruszajcie się stąd.

— Kiedy pojawią się inni strażnicy? — krzyknął któryś z ojców.

— Za kilka minut.

Dillon wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem. W budynku gdzieś ktoś krzyczał, ale poza tym nie słyszeli nic.

Nagle ku drzwiom ruszył jeden z ojców.

— Idę po córkę! — oznajmił.

Hood zastąpił mu drogę. Mężczyzna był znacznie potężniejszy od niego.

— Niech pan tego nie robi — powiedział.

— Dlaczego?

— Ponieważ strażnikom, sanitariuszom i strażakom jedno z całą pewnością nie jest potrzebne: postronni ludzie pętający się im pod nogami. Poza tym przez radio określono to, co się stało, jako Kod Czerwony. To oznacza, że doszło do poważnego naruszenie bezpieczeństwa.

— To kolejny powód, żeby wydostać nasze dzieciaki — wtrącił inny ojciec.

— Nie. ONZ jest eksterytorialne. Strażnicy będą strzelać nawet do niezidentyfikowanego celu.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Po wyjeździe z Los Angeles pracowałem dla federalnej agencji wywiadowczej.

Widziałem ludzi, którzy ginęli tylko dlatego, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Do pierwszego mężczyzny podeszła żona i ujęła go pod ramię.

— Charlie, proszę — powiedziała. — Pan Hood ma rację. Niech władze się tym zajmą.

— Przecież tam jest nasza córka!

— Moja też — odparł Paul. — Jeśli dam się zabić, w niczym jej już nie pomogę.

Mówiąc te słowa nagle uświadomił sobie, że jest tam jego Harleigh, i że grozi jej niebezpieczeństwo. Spojrzał na stojącą w kącie żonę, podszedł i objął ją mocno.

— Paul — szepnęła Sharon — ja naprawdę myślę, że... że powinniśmy być przy niej.

— Wkrótce będziemy, kochanie.

W korytarzu usłyszeli kroki, charakterystyczny trzask serii z pistoletu maszynowego, a potem brzęk, krzyki i jęki. Później znów usłyszeli kroki, które ucichły i powróciła cisza.

— Ciekawe, która strona wygrała — rzucił w powietrze Charlie.

Paul wiedział tyle co inni, czyli nic. Pozostawił Sharon w kącie, podszedł do drzwi, przykucnął na wypadek, gdyby ktoś miał do niego strzelić i gestem nakazał innym cofnąć się i rozsunąć na boki. Potem powoli przekręcił srebrną klamkę.

W korytarzu, pomiędzy salą prasową a pomieszczeniami Rady Bezpieczeństwa leżały ciała czterech strażników ONZ. Ktokolwiek ich zastrzelił, odszedł, pozostawiając po sobie krwawe ślady prowadzące do pomieszczeń Rady.

Paul Hood zmarł. Nagle poczuł się w skórze Thomasa Daviesa, strażaka, z którym grywał w softball w Los Angeles. Pewnego dnia Davies dostał informację, że pali się jego dom. Wiedział, co się dzieje, wiedział, co powinien zrobić, ale po prostu nie był w stanie zareagować.

Zamknął drzwi i podszedł do jednego z biur.

— Co się dzieje? — spytał go Charlie.

Nie odpowiedział mu. Próbował otrząsnąć się z szoku.

— Do jasnej cholery, co się dzieje?!

— Czwórka strażników nie żyje, a ci, którzy ich zastrzelili, poszli do sal Rady Bezpieczeństwa — odpowiedział w końcu.

— Moje dziecko! — rozplakała się jedna z matek.

— Jestem pewien, że na razie nic nie stało się dzieciom.

— Jasne! I byłeś pewien, że wszystko będzie dobrze, jeśli tu zostaniemy! — krzychał

Charlie. Jego krzyk wyrwał Hooda z odrętwienia.

— Gdyby wyszedł pan z tej sali, już by pan nie żył — powiedział spokojnie. — Dillon nie wpuściłby pana do pomieszczeń Rady i zginąłby pan razem ze strażnikami. — Wziął

głęboki oddech, próbując się uspokoić. Z kieszeni sportowej marynarki wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer.

— Do kogo dzwonisz? — spytała Sharon.

Paul przyłożył telefon do ucha. Spojrzał na żonę i delikatnie dotknął jej policzka.

— Do kogoś, kogo nie obchodzi, że jesteśmy na terytorium międzynarodowym — powiedział. — Do kogoś, kto może nam pomóc.

v Bethesda, Maryland, sobota 19.46

Mike Rodgers właśnie przechodził przez fazę Gary'ego Coopera. Nie w prawdziwym, lecz w filmowym życiu, choć w tej chwili oba splotły się w jedność.

Czterdziestopięcioletni były zastępca, a teraz pełniący obowiązki dyrektora Centrum, nie znał do tej pory uczucia wątpliwości, zawsze był pewny siebie. Kiedy studiował, czterokrotnie złamano mu nos na boisku do koszykówki, bowiem widział tylko kosz, miał

zamiar włożyć do niego piłkę i niech szlag trafi Torpedy, a także Szopy, Żelaznych i Siłaczy, czy jakieś inne drużyny, przeciwko którym przyszło mu grać. Odsłużył dwie tury w Wietnamie, dowodził brygadą zmechanizowaną podczas wojny w Zatoce; wyznaczano mu cele, a on zawsze je osiągał. Wszystkie! Podczas pierwszej misji Iglicy, w Korei Północnej, powstrzymał oficera–fanatyka przed wystrzeleniem na Japonię rakiety balistycznej z głowicą jądrową. Po powrocie z Wietnamu znalazł nawet czas, by zrobić doktorat z historii współczesnej. Ale teraz...

Przygnębiła go nie tylko rezygnacja Paula Hooda, choć była to, oczywiście, część problemu. Co za ironia. Dwa i pół roku temu trudno mu było współpracować z tym człowiekiem, z cywilem, których chodził na bale dobroczynne w towarzystwie gwiazd filmowych, kiedy on szalał po pustyni, wyganiając Irakijczyków z Kuwejtu. Okazało się jednak, że Hood jest dobrym, doskonale poruszającym się w świecie polityki dyrektorem Centrum. Będzie mu brakować tego człowieka i jego przywództwa.

Rodgers, ubrany w luźny szary dres i tenisówki, ostrożnie przesunął się na skórzanej kanapie. Zaledwie dwa tygodnie temu został porwany przez terrorystów w dolinie Bekaa w Libanie. Oparzenia drugiego i trzeciego stopnia, zadane mu podczas tortur, nie zdążyły się jeszcze wygoić. Nie wygoiły się także rany duchowe.

Uświadomił sobie, że patrzy w sufit i skupił wzrok na telewizorze. Oglądał „Vera Cruz”, jeden z ostatnich filmów z Cooperem. Grał w nim oficera z czasów wojny secesyjnej, który udał się na południe, nad granicę, by walczyć jako najemnik i skończył jako zwolennik miejscowych rewolucjonistów. Gary Cooper: siła, godność, honor.

Taki był i Mike Rodgers, przypominał sobie ze smutkiem. W Libanie stracił coś więcej niż spaloną skórę i wolność. Uwięziony w jaskini, związany, przypalany lampą lutowniczą, stracił pewność siebie. Bynajmniej nie dlatego, że obawiał się śmierci; całym sercem wierzył

w etos Wikingów, według którego proces umierania rozpoczyna się w chwili narodzin, a śmierć w walce jest najbardziej honorowym sposobem dotarcia do nieuniknionego końca.

Jednak omal mu tego nie odebrano. Nieznośny ból czyni ludzki mózg niezorganizowanym.

Spokojni, logiczni kaci stali się w jego świadomości głosem rozsądku, tłumaczącym umysłowi,

dlatego powinien się poddać. I Rodgers omal się nie poddał, omal nie powiedział terrorystom, jak obsługiwać Centrum Regionalne, które udało im się opanować.

55

Dlatego właśnie generał Mike Rodgers potrzebował Gary'ego Coopera. Nie miał wyleczyć jego duszy, prawdopodobnie było to niemożliwe. Poznał granice swej wytrzymałości i świadomość ich istnienia miała mu towarzyszyć do końca życia.

Przypomniały mu się czasy młodości. Podczas meczu koszykówki skręcił niegdyś kostkę i kontuzja nie ustąpiła następnego dnia. Po tym już nigdy nie czuł się nietykalny.

Złamana dusza była znacznie gorsza niż złamana noga.

Mike Rodgers potrzebował teraz jednego: w jakiś sposób musiał odbudować tę pewność siebie, którą czuł, nim dostał się do niewoli terrorystów. Przynajmniej na tyle, by kierować Centrum, nim prezydent wyznaczy nowego dyrektora na miejsce Paula Hooda. Potem sam podejmie decyzje dotyczące przyszłości.

Siedział wpatrzony w telewizor. Filmy zawsze były dla niego oazą, zawsze ożywiały jego ducha. Kiedy ojciec–alkoholik bił go, i to nie gołymi rękami – zawsze miał na palcu sygnet absolwenta Yale – mały Mike Rodgers wskakiwał na rower, jechał do najbliższego kina, płacił dwadzieścia pięć centów i pogrążał się po uszy w westernie, filmie wojennym lub historycznej epopei. Przez lata kształtował swój charakter, życie i karierę na wzór bohaterów granych przez Johna Wayne'a, Charltona Hestona i Burta Lancastera.

Nie pamiętał jednak sceny, w której jeden z nich niemal załamuje się pod ciężarem tortur.

Gary Cooper właśnie uratował meksykańską dziewczynę, napastowaną przez żołnierzy–renegatów, kiedy zadzwonił telefon bezprzewodowy.

— Słucham.

— Mike! Dzięki Bogu złapałem cię w domu!

— Paul?

— Tak. Słuchaj. Jestem w sali prasowej ONZ, naprzeciwko Rady Bezpieczeństwa. Na korytarzu zastrzelono właśnie czterech strażników.

— Kto zastrzelił? — Rodgers nagle wyprostował się w fotelu.

— Nie wiem. Ale wygląda na to, że ludzie, którzy to zrobili, weszli do sali Rady.

— Gdzie jest Harleigh?

— Właśnie tam. Większość członków Rady Bezpieczeństwa i cała orkiestra była właśnie w pomieszczeniach Rady.

Rodgers złapał pilota, wyłączył DVD i przełączył telewizor na CNN. Nadawano program na żywo sprzed Sekretariatu ONZ. Nie wyglądało na to, by dziennikarze wiedzieli, o co chodzi.

— Mike, wiesz, jak wyglądają tu kwestie bezpieczeństwa — mówił dalej Hood. — Jeśli mamy do czynienia z międzynarodowym aktem terroryzmu połączonym z więzieniem 56

zakładników, a to zależy wyłącznie od tego, kim są napastnicy, ONZ może godzinami dyskutować o kwestiach prawnych i nigdy nie dojść do punktu, w którym zaczniesz mówić o uwolnieniu ludzi.

— Jasne — potwierdził Rodgers. — Zadzwoń do Boba i posadzę go nad tą sprawą.

Dzwonisz z komórki, tak?

— Owszem.

— Podawaj mi nowe fakty, kiedy tylko czegoś się dowiesz.

— Jasne. I, Mike...

— Paul, już my się wszystkim zajmujemy — zapewnił go Rodgers. — Doskonale wiesz, że po ataku następuje coś w rodzaju chwili spokoju. Terroryci podają swoje żądania, próbuje się negocjacji. Nie zmarnujemy ani chwili z tego czasu. Starajcie się z Sharon nie stracić spokoju.

Paul podziękował mu i przerwał połączenie. Generał podgłośnił dźwięk w telewizorze i wstał powoli. Dziennikarz przedstawiający wiadomości nie miał pojęcia, kto prowadził

furgonetkę i dlaczego zaatakował gmach ONZ. Nie podano żadnego oficjalnego oświadczenia, nie było też łączności z pięcioma mężczyznami, którzy najwyraźniej opanowali salę Rady Bezpieczeństwa.

Wyłączył telewizor i zadzwonił z telefonu komórkowego do Boba Herberta. Szef wywiadu Centrum jadł kolację z Andream Fortelini, zastępczynią sekretarza stanu. Herbert rzadko spotykał się z kobietami po śmierci żony w Bejrucie, ale był namiętym kolekcjonerem wszelkich danych wywiadowczych. Jak o tym świadczył japoński film

„Rashomon” – poza nim, sushi i „Siedmioma samurajami” Rodgers nie znosił niczego japońskiego — w polityce niemal nigdy nie spotykało się czegoś takiego jak prawda, istniały tylko różne punkty widzenia. Zawodowiec, jakim był niewątpliwie Herbert, chciał poznać tyle punktów widzenia, na ile

to tylko możliwe.

Bob Herbert był także ślepo oddany przyjaciołom i współpracownikom. Kiedy Rodgers poinformował go, co się stało, obiecał, że stawi się w Centrum w ciągu pół godziny. Generał

kazał mu także wezwać Matta Stolla, niezrównanego programistę i hakera; być może będą musieli włamać się do komputerów ONZ. Poinformował go także, że zawiadomi Iglicę i ogłosi Alarm Żółty na wypadek, gdyby żołnierze okazali się potrzebni. Podobnie jak całość Centrum, elitarna, dwudziestojednosobowa jednostka szybkiego reagowania stacjonowała na terenie Akademii FBI w Quantico. W razie potrzeby pod gmachem ONZ mogła znaleźć się w ciągu niespełna godziny.

Rodgers miał nadzieję, że przesadza z ostrożnością. Niestety, terroryści, którzy zaczęli od mordowania ludzi, niewiele mieli do stracenia. Ostatnie pięć wieków dobitnie wykazało, że terroryzm jest wyjątkowo odporny na politykę porozumienia, uprawianą z takim zapałem przez ONZ.

Skończył się ubierać, wybiegł w zapadający szybko zmrok i wskoczył do samochodu.

Jadąc na południe George Washington Memorial Parkway, zapomniał o wszystkich swych troskach. Musiał teraz wyrwać młodą dziewczynę z łap bandytów.

v Baza Sił Powietrznych Andrews, Maryland, sobota 20.37

Czterdzieści lat temu, w szczytowym okresie zimnej wojny, ten zwykły, szary, piętrowy budynek w północno-wschodnim rogu bazy mieścił salę odpraw pilotów z elitarnej jednostki lotniczej znanej jako „Kruki”. W przypadku ataku atomowego na Waszyngton, ich zadaniem było ewakuowanie najwyższych rangą urzędników cywilnych i wojskowych oraz przetransportowanie ich do podziemnych schronów w górach Blue Ridge.

Dziś ten dom koloru kości słoniowej nie był bynajmniej zabytkiem minionej epoki. Na spłachetkach ziemi, gdzie dawniej ćwiczili żołnierze, zasadzono kwiaty, a z siedemdziesięciu ośmiu pracujących tutaj osób nie wszystkie nosiły mundury.

Personel tego budynku stanowili starannie dobrani wojskowi, dyplomaci, analitycy wywiadu, czarodzieje komputerowi, psychologowie, eksperci zwiadu, specjaliści w dziedzinie środowiska naturalnego, prawnicy i łącznicy ze środkami masowego przekazu, pracujący dla Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym.

Po dwóch latach ciężkiej pracy, nadzorowanej przez tymczasowego dyrektora Boba Herberta, były budynek dywizjonu „Kruków” przekształcił się najnowocześniejsze pod względem technicznym Centrum, którego zadaniem była współpraca i pomoc Białemu Domowi, Narodowemu Biuru Zwiadu, Centralnej Agencji Wywiadowczej, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Departamentowi Stanu, Wywiadowi Departamentu Obrony, Federalnemu Biuru Śledczemu, Interpolowi i licznym zagranicznym agencjom wywiadowczym w rozwiązywaniu wewnętrznych oraz międzynarodowych kryzysów.

Samodzielnie rozwiązując kryzysy w Korei Północnej i Rosji, Centrum Operacyjne udowodniło też, że ma kwalifikacje do monitorowania, inicjowania lub nadzorowania operacji na skalę światową.

Wszystko to zdarzyło się, gdy jego dyrektorem został Paul Hood.

Generał Rodgers zatrzymał swego dżipa przed posterunkiem wartowniczym przy bramie. Z budki wyszedł wartownik Sił Powietrznych. Choć generał nie nosił munduru, żołnierz zsalutował mu i podniósł szlaban.

Mimo że Centrum rządził Paul Hood, Rodgers brał udział bezpośrednio w podejmowaniu każdej decyzji i w większości akcji militarnych. Bez wahania uczestniczył w rozwiązywaniu każdego kryzysu, zwłaszcza jeśli mógł przy tym działać w sposób, który znał

najlepiej: tajnie i niezależnie.

Zaparkował samochód i pobiegł do budynku tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to mocno zaciśnięte bandaże. Wystukał kod na klawiaturze drzwi i wszedł na parter Centrum.

krokiem przeszedł przez korytarz centrum administracyjnego. Prawdziwa działalność Centrum koncentrowała się na bezpiecznych, podziemnych poziomach.

Wysiadł z windy w sercu Centrum, znanym pod nazwą „Zagrody”. Idąc korytarzem mijał małe gabinety, umieszczone w półokręgu, które zajmowały całą północną część budynku. Skierował się bezpośrednio do sali konferencyjnej, którą prawnik Centrum, Lowell Coffey III, nazywał „Czołgiem”.

Ściany, podłoga i sufit „Czołgu” pokryte były pasami wchłaniającego głos, ciemnoszarego i czarnego Acoustixu, pod nim znajdowało się kilka warstw korka, pod korkiem zaś kolejna warstwa Acoustixu. Zarówno w podłodze, suficie, jak i w ścianach umieszczono metalową siatkę emitującą oscylujące fale radiowe. Pomieszczenie było doskonale zabezpieczone elektronicznie, nic nie mogło się do niego dostać ani z niego wyjść.

By móc odbierać rozmowy na telefon komórkowy, Rodgers musiał zaprogramować go na przekazywanie rozmów do centrali; dopiero stamtąd mogły docierać do „Czołgu”.

Czekali już na niego Bob Herbert, Coffey, Ann Farris, Liz Gordon i Matt Stoll. Nikt z nich nie był w tej chwili na służbie, ale przyjechali wszyscy, umożliwiając tym samym weekendowemu zespołowi nocnemu utrzymanie bez przeszkód bieżącej działalności Centrum. Niepokój wszystkich obecnych był wyczuwalny.

— Dziękuję, że przyszliście — powiedział generał, wchodząc do sali. Zamknął za sobą drzwi i usiadł u szczytu długiego prostokątnego stołu. Po obu jego stronach znajdowały się terminale komputerowe, na stole przy każdym z dwunastu krzeseł stał telefon.

— Mike, rozmawiałeś z Paulem? — spytała Ann.

— Rozmawiałem.

— Jak się czuje?

— Oboje z Sharon są mocno przestraszeni — odpowiedział krótko Rodgers. Z zasady ucinął rozmowy z Ann i z zasady nie patrzył jej w oczy. Nie kochał prasy i nie kochał

dostarczania im sensacyjnych informacji. Uważał, że w kontaktach z prasą należy albo mówić prawdę, albo w ogóle nic nie mówić. Przed wszystkim jednak nie podobało mu się to, że Ann jest do tego stopnia zafascynowana Paulem. W części chodziło o kwestie moralne – Paul Hood był żonaty – a w części o praktyczne. Wszyscy członkowie Centrum skazani byli na ścisłą współpracę. Napięcia seksualne musiały powstawać i powstawały, ale pani „doktor”

Farris umiała zadbać o to, by w obecności Paula zawsze mieć na sobie biały fartuch.

Jeśli Ann zdawała sobie sprawę z jego dezaprobaty, nie dała tego po sobie poznać.

— Powiedziałem Paulowi, że damy mu znać, kiedy się czegoś dowiemy — mówił

Rodgers. — Ale nie chcę do niego dzwonić, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Jeśli nie zostanie ewakuowany, być może będzie się starał dotrzeć bliżej terrorystów. Nie chcę, żeby telefon zaczął dzwonić akurat wtedy, kiedy będzie siedział z uchem przytkniętym do zamkniętych drzwi.

— A poza tym — powiedział Stoll — ta linia nie jest bezpieczna.

59

Generał skinął głową. Spojrzał na Boba Herberta.

— Po drodze dzwoniłem do pułkownika Augusta. Postawił Iglicę w stan Alarmu Żółtego. Sprawdzają teraz bazę danych Departamentu Obrony w poszukiwaniu wszystkiego, co mają tam o ONZ.

— CIA sporządziło całkiem niezłe plany gmachu podczas jego budowy — zauważył

Herbert. — Jestem pewien, że mnóstwo danych znajdziemy w komputerze.

Po lewej stronie Rodgersa siedział jak zwykle nienagannie ubrany prawnik Centrum, Lowell Coffey III.

— Jestem pewien, że wiesz, Mike, iż Stany Zjednoczone nie mają żadnej władzy na terenach należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych — powiedział. — Nawet nowojorska policja nie może tam wejść, jeśli nie otrzyma zaproszenia.

— Wiem — przytaknął generał.

— A masz zamiar wziąć to pod uwagę? — spytała Liz Gordon.

Rodgers spojrzał na psycholog, siedzącą obok Coffeya.

— Biorę pod uwagę wyłącznie bezpieczeństwo Harleigh i innych dzieci, znajdujących się w tej chwili w salach Rady Bezpieczeństwa.

Liz sprawiała wrażenie takie, jakby chciała coś powiedzieć, jednak zachowała milczenie. Nie musiała nic mówić, Rodgers widział przecież dezaprobatę w jej oczach. Kiedy wrócił z Bliskiego Wschodu, tłumaczyła mu, że nie powinien kierować swego gniewu i rozpaczy na cele trzecie. On nie miał jednak wrażenia, że postępuje w ten sposób. Terrorysty, obojętnie kim byli, zasługiwali na jego gniew niezależnie od okoliczności.

Spojrzał na Herberta, siedzącego po jego prawej ręce.

— Mamy jakieś informacje o tym, kto to mógł zrobić?

Herbert, łysiejący szef wywiadu, wyprostował się w swym wózku inwalidzkim.

— Nic — powiedział. — Sprawcy wjechali na teren ONZ w furgonetce. Wzięliśmy numer rejestracyjny z relacji telewizyjnej i dotarliśmy po nim do wypożyczalni samochodów.

Człowiek, któremu ją wynajęli, Ilya Gaft, nigdy nie istniał.

— Musiał pokazać prawo jazdy facetowi w wypożyczalni — zaprotestował Rodgers.

Bob Herbert skinął głową.

— I zgodziło się z danymi z wydziału komunikacji, dopóki nie poprosiliśmy ich o jego akta. Okazało się, że nie ma żadnych akt.

Mike Rodgers tylko skinął głową.

60

— Doroczny koncert młodych muzyków zabezpieczony był potrójną liczbą strażników

— mówił dalej Herbert. — Przyjrzałem się porównywalnym liczbom z zeszłorocznego koncertu. Problem w tym, że strażnicy są skoncentrowani przy trzech punktach kontrolnych na podjazdach i na placu na północ od gmachu ONZ. Sprawcy najwidoczniej rozwalili mur zabezpieczający pociskiem przeciwpancernym, przejechali przez dziedziniec i wjechali do tego cholernego gmachu. Strzelali do wszystkich, których napotkali po drodze, a potem zamknęli się w sali Rady Bezpieczeństwa.

— Nie odezwali się?

— Ani słowem. Zadzwoniłem do Darrella. Jest w Hiszpanii. On z kolei skontaktował się z kimś z Interpolu w Madrycie, kto jest blisko ludzi ze Służby Bezpieczeństwa ONZ.

Natychmiast skontaktowali się ze swymi ludźmi na miejscu. Kiedy tylko zorientują się, co było w tej furgonetce albo jaką bronią dysponują sprawcy, natychmiast się o tym dowiemy.

— A co z Narodami Zjednoczonymi? Czy wypowiedziały się publicznie w sprawie tego ataku? — Generał zwrócił się do Ann Farris.

— Nie. Nikt nikogo o niczym nie informował.

— Nie wydano oświadczenia dla prasy?

Ann pokręciła głową.

— Służby prasowe ONZ nie są siłami szybkiego reagowania — powiedziała tylko.

— Nic w ONZ nie nadaje się do szybkiego reagowania. — Bob Herbert z obrzydzeniem pokręcił głową. — Ten facet, do którego zadzwonił przyjaciel Darrella z Interpolu, jest osobistym adiutantem pułkownika Ricka Motta, szefa Służby Bezpieczeństwa ONZ.

Powiedział, że nie zebrali nawet łusek spod sali Rady Bezpieczeństwa, nie mówiąc już o tym, by sprawdzili ich pochodzenie albo choćby odciski palców. Było to w jakieś trzydzieści pięć minut po ataku. Zbierali się dopiero w sobie, by przejrzeć taśmy z kamer wewnętrznej telewizji, a potem poszli na spotkanie z sekretarzem generalną.

— Spotkania to oni umieją organizować — zakpił Rodgers. — A co z innymi taśmami?

— spytał Ann. — Dziennikarze znaleźli już chyba każdego turystę, który mógł przypadkiem sfilmować atak.

— Słuszna uwaga. Poproszę Mary, żeby zadzwoniła w parę miejsc, choć o tej porze na ulicach nie było chyba wielu turystów. — Ann Farris podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła asystentkę, by sprawdziła, co udało się zdobyć sieciom informacyjnym i telewizjom kablowym.

— Wiecie co? — wtrącił Coffey. — Jestem pewien, że na niektórych nowojorskich ulicach policja ma kamery filmujące ruch. Zadzwonię do prokuratora okręgowego i sprawdzę.

— Z kieszeni marynarki wyjął elektroniczny notes z adresami i telefonami.

Rodgers wpatrywał się w stół. Ann i Coffey wisieli na telefonach, ale działo się zdecydowanie za mało. Musieli zrobić coś więcej.

61

— Matt — powiedział — sprawcy musieli w którymś momencie włamać się do komputera wydziału komunikacji, żeby umieścić w aktach fałszywe prawo jazdy.

— Nie ma nic łatwiejszego — odpowiedział Stoll.

— Doskonale. Czy jest sposób, żeby prześledzić tę ingerencję wstecz, dostać się do kogoś, kto ją przeprowadził?

— Nie — odparł Matt Stoll. — Hakera da się wyśledzić, jeśli się na niego czeka.

Czekasz, kiedy wykona swój ruch, a potem idziesz za sygnałem. Nawet wówczas dobry fachowiec przeprowadzi ingerencję przez terminale w różnych miastach. Cholera, może się nawet odbić od paru satelitów, jeśli będzie mu na tym zależało. Poza tym wygląda na to, że mieli kogoś w środku.

— To prawda — przytaknął Herbert.

Mike Rodgers nadal wpatrywał się w stół. Potrzebował faktów, wzoru, czegoś, z czego dałoby się

zbudować model. I potrzebował tego natychmiast.

— Takie przyjęcia dobywają się co roku od pięciu lat — powiedział Herbert. — Może zaplanowali to przed rokiem? Być może powinniśmy przejrzeć listę gości, sprawdzić, czy jakieś nazwiska...

W tym momencie zadzwonił telefon Rodgersa. Generał sięgnął po niego pośpiesznie, krzywiąc się, kiedy naciągnięte bandażę otarły mu skórę po prawej stronie ciała.

— Rodgers — rzucił w słuchawkę.

— Tu Paul.

Generał gestem nakazał zgromadzonym ciszę i wcisnął guzik interkomu.

— Jesteśmy w „Czołgu” — powiedział.

— Dowiedzieliście się czegoś?

— Nie, niczego. Terroryci nie odezwali się ani słowem, nie przedstawili żadnych żądań. Co u ciebie?

— Przed chwilą zadzwonił telefon. Przysyłają zespół ewakuacyjny. Przedtem chciałbym sprawdzić... co się właściwie dzieje.

Rodgersowi nie podobało się, że Paul będzie wędrował po gmachu, nikogo o tym nie zawiadamiając. Nerwowi strażnicy, którzy dopiero co pojawili się na miejscu, mogli wziąć go za terrorystę. Ale przecież Paul zdawał sobie z tego sprawę. Zdawał sobie także sprawę z tego, że jeśli Iglica ma w jakiś sposób pomóc Harleigh i innym dzieciakom, musi dysponować danymi o charakterze wywiadowczym.

— Jestem przy drzwiach... — meldował Paul. — Słyszę kroki na korytarzu...

otwieram...

62

Zapadła cisza. Rodgers przyglądał się twarzom siedzących przy stole współpracowników. Wszyscy byli skupieni, wszyscy mieli opuszczony wzrok. Ann wyraźnie pobladła. Musiała wiedzieć, że wszyscy zastanawiają się, jak ona reaguje na tę sytuację.

Wszyscy z wyjątkiem Mike'a. On pragnął być teraz z Paulem, w centrum tego, co się działo.

Jakim cudem świat tak nagle obrócił się do góry nogami? Dyrektor był na pierwszej linii, żołnierz za biurkiem.

— Czekajcie — odezwał się w słuchawce głos Hooda. — Coś się dzieje.

I znów zapadła cisza, tym razem jednak trwała znacznie krócej.

— Mike, widzę kogoś wychodzącego z sali Rady Bezpieczeństwa — powiedział Hood.

— Jezu Chryste! — szepnął w chwilę później. — O, Chryste!

v Nowy Jork, sobota 21.01

Reynold Downer stał w drzwiach — jednych z dwu, które wychodziły z sali Rady Bezpieczeństwa na korytarz. Podwójne, dębowe, umieszczone były w północnym krańcu długiej, czarnej ściany. Na zewnątrz, tuż za nimi, stykała się z nią po kątem prostym inna ściana. Downer otworzył tylko jedno skrzydło drzwi. Australijczyk nadal miał na głowie kominiarkę.

Przed nim stał szczupły mężczyzna w średnim wieku w czarnym garniturze. Był nim ambasador Szwecji przy ONZ, Leif Johanson. W trzęsących się dłoniach trzymał wyrwaną z bloku kartkę. Downer trzymał go za jasne włosy. Lufę pistoletu przyciskał do podstawy czaszki jeńca. Obrócił go tak, by stał plecami do rogu, w którym spotykały się ściany.

Naprzeciw ich zgromadzili się funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa ONZ. Jej członkowie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mieli na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy z opuszczanymi, grubymi przyłbicami. W rękach trzymali odbezpieczoną broń. Ich sylwetki emanowały gniewem. I nic dziwnego — choć ciała ich towarzyszy usunięto, krwi wciąż nie zmyto z podłogi.

— Mów — powiedział Downer do ucha Szweda, który spojrzał na kartkę i zaczął czytać, trzęsąc się cały.

— Rozkazano mi przekazać wam, co następuje — powiedział cicho, z wyraźnym akcentem.

— Głośniej — przerwał mu Australijczyk.

— Macie dziewięćdziesiąt minut na dostarczenie dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów na rachunek Zürich Confederated Finance, VEB-9167681-EPB. Rachunek otworzony został na fałszywe nazwisko i każda próba dotarcia do niego spowoduje kolejne ofiary. Dostarczycie także na dziedziniec helikopter z kabiną dla dziesięciu pasażerów, zatankowany i w pełni sprawny. Zabierzemy z nami pasażerów, by mieć zapewnioną waszą stałą i szczerą współpracę. Gdy pieniądze i helikopter znajdą się na miejscu, poinformujecie nas o tym przez radio na kanale Służby Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Nie ma mowy o jakichkolwiek negocjacjach. Jeśli nie spełnicie tych żądań, zabijemy zakładnika, a potem zaczniemy zabijać jedną osobę na godzinę. Pierwszą ofiarą będę... ja. — Szwed przerwał, czekając, aż kartka przestanie trząść mu się w dłoniach i będzie mógł z niej znowu czytać. — Każda próba odbicia zakładników spowoduje uwolnienie gazu paraliżująco-

drgawkowego, który zabije wszystkich znajdujących się we wnętrzu.

Downer szybko pociągnął Johansona w stronę otwartych drzwi. Kazał mu też rzucić na podłogę kartkę, na której zapisany był numer konta. Kiedy weszli do sali, rozkazał Szwedowi 64

zamknąć za nimi drzwi. Następnie wypuścił z dłoni jego włosy. Szwed stał z trudem, chwiając się na nogach.

— Powinienem... powinienem próbować uciec — szepnął.

Spojrzał na zamknięte drzwi. Najwyraźniej rozważał szanse wydostania się z powrotem na korytarz.

— Ręce na głowę i ruszaj się — warknął Australijczyk.

— A niby dlaczego mam cię słuchać? — Johanson spojrzał mu w oczy. — Przecież zastrzelicie mnie niezależnie od tego, co zrobię.

— Nie, jeśli dostaniemy pieniądze.

— Przecież ich nie dostaniecie! Nie dadzą wam tak po prostu ćwierć miliarda dolarów!

Downer uniósł lufę pistoletu.

— Byłoby szkoda, gdyby jednak dali... po tym, jak cię już zastrzeliłem, i szkoda by było, gdybym zastrzelił ciebie, bo przecież za półtorej godziny musiałbym zastrzelić kogoś innego.

Szwed przestał się opierać. Położył dłonie na głowie i ruszył w kierunku schodów, biegnących przy południowej ścianie galerii.

Downer szedł kilka kroków za nim. Po lewej miał obite zielonym aksamitem krzesła, ustawione na dwóch poziomach, po pięć w rzędzie. Nim wprowadzono ostrzejsze reguły bezpieczeństwa, na krzesłach tych siadała publiczność obserwująca prace Rady Bezpieczeństwa. Dolny rząd oddzielała od reszty sali drewniana, wysoka na mniej więcej metr barierka. Znajdował się przy niej pojedynczy rząd krzeseł, zarezerwowany dla delegatów krajów nie będących członkami Rady Bezpieczeństwa. Dalej znajdowała się najważniejsza część sali, w której uwagę zwracał przede wszystkim wielki stół w kształcie podkowy.

Między jego ramionami stał wąski, prostokątny stół. Podczas obrad Rady Bezpieczeństwa, delegaci siadali przy większym, a tłumacze przy mniejszym stole. Dzieci siedziały na końcu większego stołu. Delegatów posadzono na podłodze między ramionami większego stołu.

Kiedy Szwed do nich dołączył, jego towarzyszką, piękna młoda kobieta, spojrzała na niego zza stołu, przy którym siedziała. Skinął głową, dając jej znać, że wszystko jest w porządku.

Za stołem znajdowały się dwa wielkie, sięgające od podłogi do sufitu okna, przez które delegaci mogli spoglądać na East River. Kuloodporne szyby zasłonięte były teraz zielonymi zasłonami. Między oknami wisiał obraz, przedstawiający powstającego z popiołów Feniksa, symbolizującego Europę wstającą z popiołów II wojny światowej. Po obu stronach sali, piętro wyżej, umieszczono przeszklone boksy dla dziennikarzy, które zastąpiły stare centrum prasowe.

Barone i Vandal stali w rogach sali, pod oknami. Sazanaka zajął miejsce przy północnych drzwiach,

Georgijew obserwował pozostałe pięć drzwi na głównej kondygnacji.

W tej chwili stał obok stołu. Podobnie jak Downer, reszta terrorystów także nie zdjęła kominiarek.

65

Gdy tylko Szwed zajął swoje miejsce, Downer podszedł do Georgijewa.

— Kto tam był? — spytał Bułgar.

— W korytarzu mieli kilkanaście gospodyń — odparł Downer. „Gospodyniami”

nazywano zwykłych strażników ONZ, którzy przeważnie stali w grupkach i plotkowali. —

Nie było ludzi z oddziałów specjalnych. Nie potrafią działać energicznie nawet wówczas, kiedy dostają kopa w tyłek.

— To coś, czego dzisiaj nauczają się z pewnością — powiedział Georgijew. Skinął głową w kierunku Johansona. — Odczytał ultimatum tak, jak je napisałem?

Australijczyk przytaknął.

Bułgar spojrział na zegarek.

— Za osiemdziesiąt cztery minuty zaczniemy wysyłać im ciała — powiedział.

— Myślisz, że się zgodzą? — spytał cicho Downer.

— Nie od razu. Będzie dokładnie tak, jak przewidziałem. — Obrzucił wzrokiem siedzących przy stołach ludzi. — Ale w końcu się zgodzą — dodał beznamiętnie. — Będą liczyć trupy i w końcu uświadomią sobie, że jesteśmy coraz bliżej dzieciaków. Wtedy się zgodzą.

66

v Nowy Jork, sobota 21.33

Paul Hood doznał uczucia rozdwojenia jaźni.

Słuchając żądań terrorystów przestał oddychać. Żyjący w nim w każdej sytuacji specjalista od zapobiegania kryzysom, nie mógł pozwolić sobie na to, by przegapić jedno słowo, jakikolwiek akcent, cokolwiek co mogłoby pomóc mu znaleźć tę odrobinę rozluźnienia po ataku, o którym wspomniał Mike Rodgers. Nie znalazł. Żądania były szczegółowe, granice czasowe precyzyjnie określone.

Teraz, kiedy skończyło się odczytywanie ultimatum, wciąż nie mógł oddychać.

Zawodowca zastąpił ojciec, który właśnie dowiedział się, jak nieprawdopodobną cenę wyznaczono za życie jego córki.

Nieprawdopodobna nie była suma dwustu pięćdziesięciu milionów. Z czasów, gdy pracował jeszcze w instytucjach finansowych, Hood wiedział, że banki komercyjne dysponują płynną gotówką do wysokości miliarda dolarów, podobnie jak oddziały Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku czy Bostonie. Nawet terminu udałoby się pewnie dotrzymać, gdyby ONZ i Biały Dom zechciały przyłożyć się do sprawy. Tyle że z całą pewnością się nie przyłożą. By zapewnić sobie współpracę lokalnych banków i Banku Rezerw Federalnych, rząd Stanów Zjednoczonych musiałby zagwarantować pożyczkę, co mógłby uczynić na wniosek sekretarz generalnej po uzyskaniu od niej zapewnienia, że dług zostanie pokryty z aktywów ONZ. Sekretarz generalna zapewne wahałaby się jednak z przedstawieniem prośby w obawie, że uraziłaby te kraje członkowskie, które już buntowały się przeciw nadmiernemu ich zdaniem wpływowi Stanów Zjednoczonych na Organizację Narodów Zjednoczonych. A nawet gdyby USA zgodziły się wypłacić okup jako część długu wobec ONZ, wydatek ten musiałby zaaprobować Kongres, a jego posiedzenia, nawet w trybie nadzwyczajnym, nie udałoby się zorganizować tak szybko. No i oczywiście po wypłaceniu im pieniędzy, terroryści zawsze mogli przeprowadzić wiele elektronicznych transferów na inne konta w tym samym banku lub nawet konta w bankach współpracujących i funduszach inwestycyjnych. Nie istniał

żaden sposób na prześledzenie tego rodzaju transakcji lub ich zablokowanie. Nie było także żadnego sposobu na uniemożliwienie napastnikom ucieczki. Zażądali dziesięciomiejscowego helikoptera, ponieważ mieli zamiar wziąć ze sobą zakładników. Jednego zakładnika na każdego z nich, wyłączając pilota. Co oznaczało, że jest ich czterech lub pięciu.

Hood myślał o tym wszystkim, zamykając drzwi. Odwrócił się do nich plecami i spazmatycznie zaczerpnął powietrza. Reszta rodziców także słyszała ultimatum i zapewne nadal próbowała je zrozumieć. Sharon stanęła za nim, po policzkach ciekły jej łzy. I nagle Paul znów stał się kimś innym, tym razem mężem. Mężem, który musi wytrwać przy żonie, dodać jej sił.

Obrócił się, słysząc, że ktoś otwiera drzwi. Stał w nich strażnik; drugi, trzymając w ręku broń, pozostał na korytarzu.

— Chodźcie ze mną — warknął ten, który wszedł do środka. — Szybko i spokojnie —
dodał, poganiając ich gestem.

Paul Hood przepuścił przed sobą resztę rodziców. Podeszła do niego Sharon. Ujął jej dłoń lewą ręką i dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że w prawej trzyma telefon komórkowy. Podniósł go do ucha.

— Mike? — spytał. — Jesteś tam jeszcze?

— Jestem, Paul — odparł Rodgers. — Wszystko słyszeliśmy.

— Przyszli po nas. Odezwę się.

— Będziemy czekać — zapewnił go Rodgers.

Hood złożył telefon i wsunął go do kieszeni. Reszta rodziców wyszła już z sali.

Delikatnie pociągnął Sharon za rękę.

Poszli w kierunku windy. Paul zauważył wchodzących po nich strażników, ukrytych za niemal dwumetrowymi tarczami z przezroczystego tworzywa, wyposażonych w radiotelefony i coś, co wyglądało na aparaturę do transmisji danych po światłowodach. Najwyraźniej mieli zamiar sprawdzić w jakiej sytuacji są zakładnicy, a także – w miarę możliwości – podsłuchać fragment rozmów, które mogłyby powiedzieć im coś o porywaczach. Paul Hood doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że nie przywróci mu to córki. ONZ nie dysponowała zarówno wiedzą, jak i sprzętem oraz ludźmi, którzy byliby w stanie tego dokonać. ONZ było zawsze organizacją negocjacji, nigdy – działania.

— Powiedz mi, że masz plan — powiedziała cicho Sharon. Winda właśnie ruszyła w dół. Sharon płakała i nie ukrywała łez. Nie ona jedna.

— Z pewnością coś wymyślimy.

— To za mało. Harleigh jest moją córką, a teraz zostawiam ją samotną i przerażoną tam, na górze. Muszę wiedzieć, że robię to, co powinnam zrobić.

— Obiecuję ci, że ją stamtąd wyciągniemy.

Gdy tylko znaleźli się w głównym holu, natychmiast zabrano ich na dół. Tymczasowe centrum dowodzenia organizowano w tym właśnie głównym holu, tam, gdzie znajdował się sklep z pamiątkami i restauracja. Miało to sens. Jeśli ktoś pomagał terrorystom, miałby wielki problem z monitorowaniem tego, co tu się działo. Dziennikarzom niełatwo byłoby dotrzeć do głównego holu, co

zapewne także należało zaliczyć na plus. Biorąc pod uwagę, że to, co właśnie się działo, miało wymiar międzynarodowy, należało się liczyć z zainteresowaniem mediów. ONZ zależało oczywiście, by w holu znalazło się możliwie jak najmniej ludzi, należało więc przypuszczać, że dopuści do tajemnicy względnie niewielką liczbę dziennikarzy.

Rodziców zaprowadzono do kafeterii i posadzono przy stolikach najdalszych od holu głównego. Zaproponowano im kanapki, wodę mineralną i kawę. Jeden z ojców zapalił

papierosa i nikt nie kazał mu go zgasić. W chwilę później pojawili się oficerowie Służby 68

Bezpieczeństwa ONZ i przesłuchali obecnych, próbując dowiedzieć się, co widzieli lub słyszeli, gdy przebywali jeszcze w starym centrum prasowym. Psycholog i lekarz zaoferowali im pomoc.

Paulowi Hoodowi nie potrzebni byli ani jeden, ani drugi. Spojrzał znacząco na jednego ze strażników, po czym powiedział głośno, że musi pójść do toalety. Wstał, z wysiłkiem uśmiechnął się do Sharon, i wyszedł z baru, lawirując między stolikami. Ukrył się w toalecie, w kabinie najdalszej od wejścia.

— Mike — szepnął do telefonu.

— Jestem.

— Ochrona ONZ wchodzi ze sprzętem audiowizualnym. Nas sprowadzono na dół; odpowiadamy na pytania i możemy ewentualnie skorzystać z pomocy medycznej.

— Typowa reakcja — odparł natychmiast Rodgers. — Przygotowują się do oblężenia.

— Przecież to żadne wyjście z sytuacji! Terrorysty nie oczekują negocjacji, nie żądają uwolnienia kogokolwiek z więzienia. Chcą wyłącznie pieniędzy. Czy ONZ dysponuje oddziałem szybkiego reagowania?

— A owszem — odpowiedział Rodgers. — Oddział szybkiego reagowania ONZ to dziewięcioosobowa jednostka wyodrębniona spośród ich Służby Bezpieczeństwa. Powstał w 1977 roku, ćwiczył z nowojorskim SWAT—em1 taktyki stosowane przy odbijaniu zakładników, nigdy nie brał udziału w akcji.

— Jezu Chryste!

— No właśnie. Bo i po co ktoś miałby atakować ONZ? ONZ nikomu krzywdy nie uczyni. Na drugiej linii mamy Darrella. Twierdzi, że zasadą nowojorskiej policji jest opanowanie sytuacji, niedopuszczenie do eskalacji i prowadzenie rokowań. Wygląda na to, że Służba Bezpieczeństwa ONZ szykuje się na taki właśnie scenariusz.

Paul poczuł bryłę lodu w żołądku. Gra idzie o życie mojej córki, a oni mówią o

„rokowaniach”?

— Darrell nawiązał też łączność ze swoim kontaktem w biurze sekretarza generalnej —

mówił dalej Rodgers. — Chatterjee spotka się wkrótce z przedstawicielami krajów, których dotyczy ten kryzys.

— Po co?

— W tej chwili po nic. Na razie nic nie świadczy o intencji dostosowania się do żądań terrorystów. Nadal próbują dowiedzieć się, kim oni są. Mają kartkę pozostawioną przez Szweda, ale on tylko napisał podyktowane mu ultimatum. Nie dowiedzą się z niego wiele o sprawcach.

— Więc będą siedzieć i nic nie robić?

69

— Na razie tak — przyznał generał. — Typowe dla ONZ.

Smutek, który Paul czuł poprzednio, zmienił się teraz w gniew. Miał ochotę sam pójść do sali Rady Bezpieczeństwa i osobiście wystrzelać terrorystów, ale tylko uderzył pięścią w ścianę.

— Paul...?

Hood nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Oparł głowę o ścianę.

— Paul... postawiłem Iglicę w stan Alarmu Żółtego.

— Jeśli ich tu wyślesz, to nie tylko nasz rząd, ale cały świat przeżuje cię i wypluje do rynsztoka.

— Powiem ci tylko jedno słowo: Entebbe. Oficjalnie wszyscy potępili izraelskich komandosów, którzy polecili do Ugandy i uwolnili pasażerów Air France, przetrzymywanych przez palestyńskich terrorystów, ale – prywatnie – każdy samodzielnie myślący człowiek spokojnie spał tej nocy. Słuchaj, gówno mnie obchodzi, co myślą o mnie Chiny, Albania albo prezydent Stanów Zjednoczonych. Chcę uratować te dzieci.

Paul Hood nie wiedział, co powinien mu odpowiedzieć. Nie miał prawa nawet podjąć decyzji o przejściu Iglicy z Alarmu Żółtego na Czerwony, a jednak Mike szukał jego aprobaty. Był tym głęboko wzruszony.

— Jestem z tobą — powiedział w końcu. — Jestem z tobą i niech cię Bóg błogosławi.

— Wracaj do Sharon... i trzymajcie się. Obiecuję, że wyciągnę Harleigh z tego bagna.

Hood podziękował mu, zamknął telefon i schował go do kieszeni. Słowa Mike'a Rodgersa wyzwoliły

łzy, z którymi walczył od początku tego koszmaru. Płakał z głową przyciśniętą do chłodnych kafelków. Po dłuższej chwili ktoś wszedł do toalety. Opanował się, wyprostował, urwał kawałek papieru toaletowego i osuszył nim oczy.

Dziwne. Powiedział Sharon to, co chciała usłyszeć, powiedział jej, że uratuje Harleigh, choć sam w to do końca nie wierzył. Mike'owi, który użył niemal tych samych słów, zaufał

jednak bez zastrzeżeń. Ciekawe, czy każdą wiarą można tak łatwo manipulować? Czy w sprzyjających okolicznościach każdy człowiek jest w stanie uwierzyć we wszystko?

Wydmuchał nos i spłukał papier w toalecie. Wychodząc myślał o tym, że wiara to wiara, a Mike Rodgers to Mike Rodgers. Mike Rodgers nigdy go nie zawiódł.

v Quantico, Wirginia, sobota 21.57

Baza Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico zajmuje ogromny teren, na którym stacjonuje kilka różnych jednostek: począwszy od Ośrodka Dowodzenia Taktycznego Piechoty Morskiej po tajny Ośrodek Badawczy Współczesnego Pola Walki, czyli wojskową grupę naukowców. Baza traktowana jest jako intelektualne centrum *Marines*, gdzie zespoły

„specjalistów w dziedzinie prowadzenia wojny” studiują zagadnienia taktyczne, a następnie przekładają je na realia walki. Są tam także najlepsze w Stanach Zjednoczonych strzelnice dla broni strzeleckiej, poligony, w tym do ćwiczeń z udziałem lekkiej broni pancernej, oraz tory przeszkód wyrabiające sprawność żołnierzy.

Większość głównych zadań bazy realizuje się tak naprawdę w Camp Upshur, obozie położonym o czterdzieści kilometrów na północny zachód, na terenie Poligonu 17. Tam właśnie żołnierze kompanii Delta, 4. batalionu zwiadowczego 4. Dywizji Piechoty Morskiej, Iglicy Centrum i Rezerwowych Jednostek Wsparcia Piechoty Morskiej doskonalą techniki, które opanowali w macierzystych jednostkach. Na Camp Upshur składa się dwadzieścia jeden budynków, począwszy od sal wykładowych, a skończywszy na barakach. Może tam stacjonować jednocześnie do pięciuset żołnierzy.

Pułkownik Brett August lubił Quantico, a już szczególnie lubił Upshur. Czas swój dzielił po równo na ćwiczenia z Iglicą oraz wykłady z historii wojskowości, strategii i teorii. Z przyjemnością przeprowadzał także między swymi żołnierzami trudne zawody sportowe.

Jego zdaniem był to trening zarówno psychologiczny, jak i fizyczny. Zwycięzcy otrzymywali w nagrodę dodatkową służbę w kuchni lub sprzątanie latryn – a jednak nikt nigdy nie próbował przegrać meczu koszykówki lub futbolu, nawet weekendowych walk w basenie z noszonymi na barana dziećmi. Prawdę mówiąc, August nie widział wcześniej żołnierzy tak entuzjastycznie wykonujących nieprzyjemne prace. Liz Gordon miała nawet zamiar napisać na ten temat pracę pod roboczym tytułem „Masochizm zwycięstwa”.

W tej chwili jednak cierpiał on sam. Po powrocie z Hiszpanii awanse i przeniesienia spowodowane przepisami o długości służby kosztowały go kilku kluczowych członków Iglicy. Przez kilka ostatnich dni ciężko pracował z nowymi. Koncentrowali się właśnie na nocnym strzelaniu z haubic kalibru 105 mm, kiedy od generała Rodgersa przyszedł rozkaz postawienia jednostki w stan Alarmu Żółtego. August wolałby, żeby nowi mieli więcej czasu na integrację z oddziałem, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Nie wątpił, że są gotowi do akcji. Podporucznicy piechoty morskiej John Friendly i Judy Quinn należeli do najtwardszych żołnierzy, jakich widział kiedykolwiek, podobnie jak dwaj szeregowi z Deltą, Tim Lucas, ekspert w dziedzinie łączności, i Moe Longwood, specjalista od walki wręcz. Pomiedzy tymi dwiema formacjami istniała naturalna rywalizacja, co należało, oczywiście, uznać za korzystne. Tego rodzaju różnice znikwały w ogniu walki – wówczas

wszyscy byli jednym zespołem. Dobrzy specjaliści w swoich dziedzinach, doskonale pasowali do doświadczonych żołnierzy Iglicy: sierżanta Chicka Greya, kaprala Pata Prementine'a – młodego geniusza w taktyce walki piechoty – szeregowej Sandry DeVonne, 71

potężnego szeregowego Waltera Pupshawa oraz szeregowych Jasona Scotta i Terrence'a Niewmeyera.

Alarm Żółty oznaczał przygotowanie wyposażenia i czekanie w sali gotowości na kolejny rozkaz. W tejże sali znajdowało się metalowe biurko, przy którym dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurowali sierżanci, drewniane krzesła ustawione w rzędy niczym w szkole (były niewygodne, bowiem dowódcy nie pragnęli, by któryś z żołnierzy zasnął podczas oczekiwania) stara tablica i stojący na biurku naprzeciw niej terminal komputerowy. Na wypadek gdyby mieli wyruszyć do akcji, czekał na nich gotowy do startu piętnastomiejscowy *Bell LongRanger 205A-1*, którym w ciągu pół godziny mieli dolecieć do Bazy Sił

Powietrznych Andrews. Stamtąd *C-130* przelecieliby na LaGuardię, do Marine Air Terminal.

Rodgers powiedział, że potencjalnym celem Iglicy jest gmach ONZ. *C-130* nie potrzebował

długiego pasa do lądowania, a LaGuardia, choć nie lądowały na niej regularnie samoloty wojskowe, była lotniskiem najbliższym gmachowi ONZ.

Jeśli wysoki, szczupły, o chudej twarzy pułkownik August czegoś nie znosił, tym czymś było z pewnością oczekiwanie. Pozostało mu to po służbie w Wietnamie; kiedy czekał miał

wrażenie, że nie kontroluje sytuacji. Jako jeńiec wojenny w obozie oczekiwał zawsze kolejnego nocnego przesłuchania, kolejnego katowania, kolejnej śmierci kogoś, z kim służył i walczył. Czekał na informacje, przekazywane ostrożnym szeptem, czekał na kolejnych przywożonych przez Wietnamczyków jeńców. Najgorsze było jednak oczekiwanie wówczas, gdy zdecydował się na ucieczkę. Musiał zrezygnować, gdy jego kolega został ranny i potrzebował opieki medycznej. Druga taka szansa się nie nadarzyła, strażnicy już o to zadbali.

Musiał czekać aż powolni, niemrawi, zainteresowani wyłącznie zachowaniem twarzy dyplomaci wynegocjują w Paryżu jego zwolnienie. Nauczyło go to, że czekają wyłącznie ludzie, którzy nie mają innego wyjścia. Powiedział kiedyś Liz Gordon, że oczekiwanie to jedyna prawdziwa definicja masochizmu.

Gmach ONZ przylegał do rzeki, więc August rozkazał żołnierzom przygotować sprzęt do walki z wody, a ponieważ udawali się na Manhattan, wszyscy ubrani byli po cywilnemu.

Podczas gdy sprawdzali wyposażenie, pułkownik skorzystał z komputera, by odwiedzić stronę Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nigdy nie był w jej siedzibie, więc chciał się dowiedzieć, jak mniej więcej wygląda. Przeglądał kolejne podstrony, a tymczasem sieciowe serwisy informacyjne podawały właściwie bez przerwy wiadomości o wzięciu zakładników.

Sam ten fakt nie przestawał go zdumiewać; nie dziwił się jednak wyłącznie temu, iż terroryści zaatakowali cel nie mający nic wspólnego z działalnością wojskową. O wiele dziwniejsze wydawało się, że na pomoc wezwano żołnierzy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Nawet w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie scenariusza, w którym wezwano by ich w podobnej sytuacji.

Studiował opcje strony, kiedy stanęli za nim Sandra DeVonne i Chick Grey. Znalazł

ikony kierujące na podstrony takie jak: „Pokój i bezpieczeństwo”, „Zagadnienia humanitarne”, „Prawa człowieka” i tym podobne propagandowe tematy. Sprawdził „Bazy danych”, szukając planów tego cholernego budynku. Nie tylko nigdy go nie odwiedził, ale wcale nie miał ochoty go odwiedzać. Mimo wszystkich peanów na cześć pokoju i praw człowieka, ONZ nie zawahało się pozostawić go na łasce Wietnamczyków przez ponad dwa lata.

W bazach danych znalazł mnóstwo dodatkowych informacji. Nagrania wideo z obrad Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego. Informacje o statusie eksterytorialnym.

72

Listę traktatów międzynarodowych. Układ o minach lądowych. Była też baza danych o kursach treningowych dla żołnierzy sił pokojowych. Ba, była nawet lista symboli dokumentów ONZ, sama opisana skrótem: UN-I-QUE od UN Info Ouest.

— Mam nadzieję, że Bob Herbert ma więcej szczęścia — powiedział. — Nie znalazłem ani jednej mapy.

— Być może zakazano ich publikowania ze względów bezpieczeństwa? — podsunęła Sandra DeVonne. W Iglicy ta śliczna Murzynka specjalizowała się w wywiadzie geograficznym, który służył dziś nie tylko planowaniu misji rozpoznawczych, lecz także do programowania inteligentnych pocisków manewrujących. — Gdyby dokładne plany były powszechnie dostępne, można byłoby, na przykład, zaplanować i przeprowadzić atak raketowy, nie ruszając się nawet z miejsca.

— Wiesz, na tym właśnie polega dziś problem bezpieczeństwa — wtrącił Grey. —

Można zafundować sobie najlepsze i najdroższe zabezpieczenia przeciwko terrorystom, lecz nim nie broni się przed staroświeckimi metodami. Wariat z plastikowym nożem albo damską spinką do kapelusza zawsze może złapać stewardesę i porwać samolot.

— Co nie oznacza, że należy im tę zabawę ułatwiać — zaprotestowała DeVonne.

— Oczywiście, że nie. Tylko nie oszukujmy się, że te zabezpieczenia mają jakiegokolwiek praktyczne znaczenie. Terroryści nadal lecą sobie spokojnie tam, gdzie chcą dolecieć, a zdecydowany zamachowiec ciągle jest w stanie przedostać się w pobliże znanego polityka.

Zadzwoił telefon. Podoficer dyżurny odebrał rozmowę, po czym wezwał Augusta.

Pułkownik natychmiast wziął od niego słuchawkę. Po wyjściu z sali gotowości, w przypadku otrzymania pozwolenia na akcję, żołnierze Iglicy mieli korzystać wyłącznie z przenośnych telefonów satelitarnych *TAC-SAT*, w bazie używali jednak zabezpieczonej linii.

— Pułkownik August.

— Brett, tu Mike. — Przy świadkach oficerowie przestrzegali form, w rozmowach prywatnych byli jednak przyjaciółmi, znającymi się od dziecka. — Wchodźcie do akcji.

— Rozumiem, wchodzimy do akcji. — Spojrzał na żołnierzy. Już wstawali z krzeseł i zbierali ekwipunek.

— Szczegóły misji przekażę wam, kiedy przylecicie na miejsce.

— Do zobaczenia za pół godziny — odparł August i odłożył słuchawkę.

W niespełna trzy minuty później żołnierze Iglicy zapinali pasy w hałaśliwym helikopterze, szykującym się do lotu do Andrews. Pułkownik August zastanawiał się podczas startu nad pewną niepokojącą anomalią. Zwykle szczegóły misji przekazywano do komputerów maszyny przez bezpieczny modem łączności ziemia–powietrze. Oszczędzało to czas i dawało żołnierzom coś do roboty podczas lotu. Tymczasem Rodgers powiedział, że przekaże je na miejscu. Jeśli oznaczało to to, co jego zdaniem oznaczało, wieczór miał być bardziej interesujący i niezwykły niż się spodziewał.

v Nowy Jork, sobota 22.08

Kiedy młode skrzypaczki weszły do sali Rady Bezpieczeństwa, zebrały się za stołem w kształcie podkowy, stojącym na głównym poziomie pomieszczenia. Czekala już na nich pani Dorn, ich opiekunka. Ta dwudziestosześcioletnia dziewczyna poprzedniego wieczoru dała recital w Waszyngtonie, po czym następnego dnia przyleciała do Nowego Jorku. Właśnie przeglądała partyturę, kiedy do jednego z zasłoniętych okien podeszła Harleigh Hood.

Wyjrzała na pogrążającą się w mroku rzekę i uśmiechnęła, widząc błyszczące światełka.

Jaskrawe i kolorowe, przypominały jej nuty. Ciekawe, pomyślała, dlaczego zapisów nutowych nie drukuje się w kolorze, każda oktawa innej barwy...

Słyszając dziwne odgłosy na korytarzu odwróciła się, puszczając zasłonę. W chwilę później podwójne drzwi po północnej stronie sali otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadli zamaskowani mężczyźni.

Delegaci i ich goście nie poruszyli się; stali jak wmurowani. Zareagowała tylko pani Dorn – natychmiast stanęła między napastnikami i dziećmi, jakby zamierzała ich bronić.

Zamaskowani mężczyźni byli jednak zbyt zajęci, by zwrócić na nią uwagę. Rozstawili się po bokach sali, okrążając delegatów. Żaden nie powiedział ani słowa, póki jeden z nich nie złapał

któregoś z delegatów i odciągnął go na bok. Ten mężczyzna, który został im wcześniej przedstawiony jak wszyscy inni, Szwed – Harleigh nie pamiętała jego nazwiska – powiedział

potem głośno, że nikomu nic się nie stanie, jeśli wszyscy będą się zachowywać cicho i bez zwłoki wykonywać polecenia. Dziewczynki jednak nie przekonał. Kołnierzyk koszuli już miał przepocony, cały czas biegał oczami dookoła, jakby szukał drogi ucieczki.

Potem napastnik coś mu powiedział, wręczył także papier i długopis. Usiedli przy stole.

Dwaj inni tymczasem sprawdzali okna, otwierali drzwi do bocznych pomieszczeń, a potem ustawili się pod ścianami. Kiedy jeden z nich zatrzymał się przy oknie, przy którym stała, Harleigh z wysiłkiem opanowała chęć odezwania się do niego. Chciała go spytać, co tu właściwie robi? Ojciec tłumaczył jej, że rozsądne pytanie zadane spokojnym głosem bardzo rzadko wywołuje gniewną odpowiedź.

Tylko że czuła ostry zapach spalonego prochu – bo to był chyba proch – a jego źródłem była broń tego człowieka. A na rękawiczkach dostrzegła krople czegoś, co mogło być krwią.

Strach zacisnął jej gardło. Nogi miała miękkie, ale nie w kolanach tylko w udach. Nie powiedziała nic, a po chwili bardzo się na siebie rozzłościła z powodu tego panicznego strachu. Gdyby się

odezwała, ten człowiek mógłby ją wprawdzie zastrzelić, ale z drugiej strony mógłby także poczuć do niej sympatię. Może też wybrałoby ją przedstawicielką grupy; miałyby coś do roboty i nie myślałyby już o strachu. A jeśli wszyscy zostaną zabici później?

Może niekoniecznie akurat przez tych ludzi, ale, na przykład, przez kogoś, kto będzie próbował ich odbić? Będzie umierała, myśląc o tym, że powinna coś jednak powiedzieć.

74

Mężczyzna odszedł od okna, ale widziała go i chciała się do niego odezwać, nie zdołała jednak wydobyć żadnego dźwięku z zaciśniętego gardła.

Nieco później jeden z napastników, mówiący bardzo cicho z akcentem, który był chyba australijski, zaczął zbierać zakładników dookoła stołu. Najpierw wezwał dzieci. Kazał im zostawić instrumenty tam, gdzie leżały, na podłodze, i podejść. Harleigh zdążyła już wyjąć swoje skrzypce; teraz, ostrożnie, włożyła je do futerału. Nie był to z jej strony akt sprzeciwu, choćby drobny i nieważny, nie pragnęła nawet sprawdzić, w jakim stopniu napastnicy skłonni są tolerować opór. Skrzypce dostała od rodziców i nie pozwoli, by stało się im coś złego. Na szczęście wydający polecenia mężczyzna nie zauważył chyba jej zachowania, ale jeśli nawet zauważył, postanowił je zignorować.

Kiedy usiadła przy okrągłym stole, poczuła się bezbronna, ze wszystkich stron wystawiona na zagrożenie. O wiele lepiej czuła się w kącie, przy oknie. Jej strach, początkowo niezdefiniowany, nieokreślony, stał się teraz czymś jak najbardziej rzeczywistym.

Dostała dreszczy i niemal z radością dostrzegła, że siedząca obok niej dziewczyna drży jeszcze bardziej. Biedna Laura Sabia. Laura była jej najlepszą przyjaciółką, ale, biedaczka, zachowywała się tak strachliwie. Wyglądała zupełnie tak, jakby miała zamiar zaraz zacząć krzyczeć. Harleigh wzięła przyjaciółkę za rękę, spojrzała jej w oczy i postarała się dodać dziewczynie odwagi uśmiechem.

Laura nie zareagowała na uśmiech, zaś natychmiastową reakcję wzbudził w niej widok podchodzącego bliżej zamaskowanego mężczyzny. Nie musiał nawet otworzyć ust, nie podszedł nawet naprawdę blisko. Wystarczyło, że zwrócił na nią uwagę, a sparaliżowało ją tak, że aż zeszywniała i z całą pewnością nie była w stanie krzyknąć. Harleigh poklepała ją jeszcze po dłoni i szybko cofnęła rękę. Splotła ramiona przed sobą. Odetchnęła głęboko przez nos, uspokoiła się i dreszcze minęły. Siedząca naprzeciw dziewczyna za jej przykładem również wzięła głęboki oddech. Uśmiechnęły się do siebie. Harleigh stwierdziła nagle, że ze strachem to trochę tak, jak kiedy człowiekowi jest bardzo zimno. Najlepiej się odprężyć, wtedy mniej dokucza.

W wielkiej sali panowała cisza. Siedzący przy stole zakładnicy byli napięci, ale zarazem zrezygnowani. Sprawiali wrażenie świadomych tego, że otaczające ich cisza i spokój są sztuczne i mogą zniknąć lada chwila. Siedzący pomiędzy ramionami stołu dyplomaci zachowywali się mniej spokojnie od muzyków, prawdopodobnie świadomi tego, że są znacznie bardziej od nich zagrożeni. Napastnicy bez wątplenia byli wściekli, że kogoś wśród nich nie ma, prawdopodobnie chodziło im o sekretarz generalną, która się spóźniła.

Pani Dorn siedziała u szczytu stołu. Przyjrzała się wszystkim swym podopiecznym po kolei, sprawdzając, jak znoszą sytuację. Każda dziewczynka po kolei odpowiadała na jej spojrzenie lekkim skinieniem głowy. Popisywały się, Harleigh nie miała co do tego nawet najmniejszych wątpliwości, przecież nikt tu nie czuł się dobrze. Niemniej w tak groźnej sytuacji demonstracja typu: „wszyscy jedziemy na jednym wózku” była w jakiś sposób pocieszająca.

Nagle wydało się jej, że słyszy kroki za drzwiami. Lada chwila powinni pojawić się strażnicy zabezpieczający gmach ONZ. Rozejrzała się dookoła, szukając jakiejś kryjówki przydatnej na wypadek, gdyby rozpoczęła się strzelanina. Najbezpieczniej byłoby chyba skryć się za stołem. Wystarczyło jej przebiec kilka kroków, skulić się i już byłaby bezpieczna.

Bardzo powoli i delikatnie uniosła kolana i oparła je o blat; czasami robiła tak z ławką w 75

szkole, kiedy nudziła się na lekcji – podnosiła ją na kolanach nad podłogę. Stół też uniół się odrobinę. A więc nie był przymocowany do podłogi! Jeśli zajdzie taka konieczność, może go przewrócić i ukryć się za nim.

Nagle Harleigh poczuła nagłe ukłucie strachu. A co, jeśli ten atak ma coś wspólnego z jej ojcem i Centrum? Tata nigdy nie mówił o pracy w domu, nawet wówczas, gdy kłócił się z mamą. Czy to możliwe, że Centrum w jakiś sposób zagroziło tym ludziom? Z lekcji wychowania obywatelskiego zapamiętała, że obok Izraela to właśnie Stany Zjednoczone są najbardziej narażone na ataki terrorystów. Skrzypaczki były tu jedynymi Amerykankami. Czy tym ludziom nie zależy przypadkiem na niej? Może nie wiedzą, że tata zrezygnował z pracy?

Może chcą go do czegoś zmusić, biorąc ją jako zakładniczkę?

Poczuła, jak robi się jej gorąco. Zaczęła się pocić. Suknia, która wydawała się jej taka elegancka, taka nowa, teraz opinała jej ciało niczym kostium kąpielowy.

Przecież to się nie dzieje naprawdę, pomyślała. Coś takiego ogląda się w telewizji, kiedy przydarza się innym ludziom. Przecież powinny tu być jakieś zabezpieczenia, prawda?

Wykrywacze metalu, strażnicy przy drzwiach, kamery...

Nagle mężczyzna, który przedtem rozmawiał z ambasadorem Szwecji, przywołał do siebie Australijczyka. Po krótkiej rozmowie Australijczyk złapał Szweda za kołnierz, poderwał go na nogi i, przytykając pistolet do potylicy, poprowadził schodami do drzwi.

Harleigh żałowała, że nie ma skrzypiec, które mogłaby przytulić. Żałowała, że nie ma matki, do której mogłaby się przytulić. Mama pewnie strasznie się teraz denerwowała, chyba że usiłowała udawać spokój i pocieszała inne zdenerwowane matki. Prawdopodobnie próbowała. Tę cechę pewnie odziedziczyła po niej jej córka. Ale teraz dziewczynka myślała przede wszystkim o ojcu. Kiedy mama zabrała ją i Alexandra z wizytą do dziadków, żeby postanowić co będzie dalej, tata zdecydował się raczej rzucić pracę niż ich stracić. Ciekawe, czy będzie w stanie potraktować to, co

się dzieje, jako jeszcze jeden kryzys i zachować spokój, mimo że to jego córka jest w niebezpieczeństwie?

Australijczyk wrócił do sali. Powiedział do Szweda kilka gniewnych słów, odebrał mu kartkę i popchnął go na schody. Harleigh domyśliła się, że napastnicy właśnie wręczyli komuś listę żądań. Już nie myślała, że może im chodzić właśnie o nią. Uspokoila się. Przestała się pocić. Przecież przeżyją to, co się dzieje. Jakoś.

Szweda posadzono razem z innymi delegatami; siedział na podłodze z rękami założonymi na głowę. Dziewczynka uznała, że teraz trzeba po prostu przeczekać. Wszystko będzie dobrze. Tata powiedział kiedyś, że ludzie, którzy rozmawiają, nie strzelają. Miała nadzieję, że się nie mylił.

Postanowiła, że nie będzie więcej o tym myśleć. Zaczęła cicho nucić „Pieśń pokoju”.

v **Baza Sił Powietrznych Andrews, Maryland, sobota 22.09**

Skończywszy rozmowę z pułkownikiem Augustem, Mike Rodgers spojrzął na zegar na monitorze komputera. *Long-Ranger* powinien dotrzeć do Andrews za dwadzieścia pięć minut. W tym czasie trzeba przygotować do lotu *C-130*.

Bob Herbert, szef wywiadu Centrum, patrzył na niego i krzywił się przeraźliwie.

— Mike? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Słucham, oczywiście, że słucham. Posadziłeś swoich ludzi, żeby sprawdzili przeszłość Mali Chatterjee, być może jest ktoś, kto chciałby ją upokorzyć, na przykład Hindus, któremu nie podoba się jej stanowisko w sprawie równouprawnienia kobiet.

Sprawdzasz także, co robią ludzie w Rosji i Hiszpanii, którym Paul przeszkodził w osiągnięciu ich celów. Na wypadek, gdyby chodziło właśnie o niego.

— Owszem.

Rodgers skinął głową i wstał powoli, te cholerne bandaże ograniczały mu swobodę ruchów.

— Bob, będziesz mi potrzebny — powiedział. — Chcę, żebyś przez jakiś czas pokierował tym cyrkiem.

— Dlaczego? — zdziwił się Herbert. — Żle się czujesz?

— Czuję się świetnie i polecę do Nowego Jorku z Iglicą. Potrzebna mi tam będzie baza operacyjna gdzieś blisko gmachu ONZ. CIA musi mieć w pobliżu coś takiego.

— Zdaje się, że ma. Po drugiej stronie ulicy. Wschodni wieżowiec z bliźniaków UN

Plaza. Nazywa się to chyba Doyle Shipping Agency. Polują przede wszystkim na szpiegów udających dyplomatów, prawdopodobnie gromadzą także dane wywiadu elektronicznego.

— Możesz nas tam wprowadzić?

— Prawdopodobnie. — Herbert skrzywił się i spojrzął przez stół na Lowella Coffeya.

Rodgers dostrzegł to jego spojrzenie.

— Coś nie tak? — spytał.

— Mike... — Bob Herbert zawahał się. — Jeśli chodzi o wprowadzenie do akcji Iglicy, stąpamy po bardzo cienkim lodzie.

— Jak to?

Herbert wzruszył ramionami.

— No, pod wieloma względami...

— Powiedz wreszcie, jakimi względami. Moralnymi? Prawnymi? Logistycznymi?

— Wszystkimi razem i każdym z osobna.

— Dobra, załóżmy, że jestem bardzo naiwny, ale jeśli o mnie chodzi, widzę w Iglicy grupę uderzeniową doskonale przygotowaną do działań antyterrorystycznych, zajmującą pozycję, z której będzie mogła najlepiej działać przeciw terrorystom. Gdzie tu jest ten moralny, prawny lub logistyczny cienki lód?

Nadszedł czas prawnika, Lowella Coffeya III.

— Po pierwsze, Mike, nikt nas nie prosił o udzielenie pomocy ONZ w sytuacji, w jakiej się obecnie znalazła. Samo to już świadczy mocno przeciwko tobie.

— Zgadzam się — przyznał generał. — Mam nadzieję, że ten problem uda mi się załatwić na miejscu. Zwłaszcza, jeśli terroryści zaczną nam wysyłać trupy. Darrell McCaskey już skontaktował się z przedstawicielami Służby Bezpieczeństwa przy Chatterjee, poprzez Interpol...

— Na bardzo niskim szczeblu — wtrącił Herbert. — Dowódca Służby Bezpieczeństwa ONZ nie postawi fortuny na to, co adiutant przekaże mu jako wiadomości z drugiej ręki, otrzymane od przedstawiciela Interpolu w Madrycie.

— Tego nie wiemy — stwierdził Rodgers. — Do diabła, przecież nawet o nim nie wiemy prawie nic.

— Moi ludzie sprawdzają jego akta. Do tej pory nie mieliśmy z nim żadnej styczności.

— Mimo wszystko facet znalazł się przecież w tej chwili w sytuacji, w której najprawdopodobniej będzie musiał poszukać pomocy z zewnątrz. Prawdziwej, rzeczowej, sensownej pomocy, niezależnie od tego, skąd będzie pochodziła.

— Mike, to nie jest jedyny problem — powiedział Coffey. Rodgers spojrział na zegar na monitorze komputera. Helikopter wylądował w bazie za niespełna dwadzieścia minut. Nie mieli czasu na te bzdury. — Kraje, które nie są bezpośrednio zainteresowane rozwiązaniem tego problemu, z pewnością nie zgodzą się na to, by przez Sekretariat ONZ przeszła jak burza amerykańska jednostka antyterrorystyczna.

— Przepraszam, ale od kiedy to boimy się urazić uczucia Irakijczyków czy innych Francuzów?

— Tu nie chodzi o uczucia, tylko o prawo międzynarodowe.

— Chryste, Lowell... przecież terroryści złamali to prawo!

78

— Co nie oznacza, że i nam wolno je łamać. A nawet jeśli się na to zdecydujemy, musimy pamiętać, że wszystkie dotychczasowe akcje Iglicy przeprowadzono zgodnie z kartą Centrum... z prawem Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim otrzymywaliśmy pozwolenie Kongresowej Komisji Nadzoru Wywiadu i...

— Lowell, ja się nie martwię tym, że ktoś postawi mnie przed trybunałem wojskowym!

— nie wytrzymał Rodgers.

— Nie chodzi o odpowiedzialność osobistą. Chodzi o przetrwanie Centrum.

— Oczywiście. Chodzi o przetrwanie Centrum jako skutecznej siły antyterrorystycznej...

— Nie. Jako organizacji będącej agendą rządu Stanów Zjednoczonych. Mamy prawo działać, cytuję: „Jeśli zagrożenie instytucji federalnych lub ich jakichkolwiek oddziałów, lub życia Amerykanów pozostających w służbie tychże instytucji, jest bezpośrednie”. Nie widzę tutaj takiej sytuacji. Widzę za to, że jeśli wejdziemy, bez różnicy czy uda się nam, czy nie...

— Dla Paula i innych rodziców będzie to cholernie wielka różnica.

— Nie chodzi o nich! — warknął zniecierpliwiony Coffey. — Chodzi o szerszy obraz sytuacji. Amerykanie będą nam bić brawo. Do jasnej cholery, ja będę nam bić brawo! Ale taka Francja, Irak czy jakiś inny kraj naciśnie na Departament Stanu i staniemy wobec zarzutu przekroczenia kompetencji.

— Zwłaszcza jeśli terroryści są cudzoziemcami i któryś z nich zginie — wtrącił Herbert.

— Jeśli amerykański żołnierz zabije cudzoziemca na terenie eksterytorialnym w obecności przedstawicieli wszystkich agencji prasowych świata, będziemy skończeni.

— A wykończy nas prawo amerykańskie, a nie międzynarodowe — uzupełnił Coffey.

— Kongres nie będzie miał wyboru, postawi nas wszystkich przed Komisją Nadzoru Wywiadu. Dobra, do diabła z naszymi karierami. Tylko że jeśli Komisja przegłosuje rozwiązanie Centrum, albo choćby tylko Iglicy, ilu ludzi zginie przez to w przyszłości? W ilu walkach, mających bezpośredni związek z bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych, nie będą w stanie walczyć specjalnie do tego celu przeszkoleni ludzie?

— Nie wierzę własnym uszom! — nie wytrzymał Rodgers. — Przecież rozmawiamy o dzieciach będących zakładnikami terrorystów!

— Niestety — powiedział Herbert — niezależnie od tego, jak bardzo nas to wkurza, zagrożenie życia delegatów ONZ i córki Paula Hooda nie ma bezpośredniego wpływu na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Uratowanie ich okazać się może luksusem, na który nie możemy sobie pozwolić.

— Luksusem? Jezu, Bob, mówisz jak jakaś cholerna panienka z drużyny skautingu!

Herbert spojrzał gniewnie na generała.

— Chyba chodzi ci raczej o moją żonę. Ona była panienką ze skautingu!

79

Rodgers spojrzał na niego i opuścił wzrok. Nagle wydało mu się, że wentylatory w suficie pracują znacznie głośniejsze niż przed chwilą.

— Skoro już poruszyliśmy ten temat — ciągnął Herbert — nie od rzeczy będzie przypomnieć, że moja żona padła ofiarą ataku terrorystów. Wiem, co czujesz, Mike —

bezradność. Wiem, co czują Paul i Sharon. Lecz wiem także, że Lowell ma rację. W tej walce miejsce Centrum jest poza boiskiem.

— A jego zadaniem nie robić nic?

— Obserwacja, wsparcie taktyczne i wsparcie moralne, jeśli będziemy w stanie ich udzielić — to nie jest nic.

— Służą także ci, którzy czekają z bronią u nogi — zadeklamował Rodgers.

— Czasami, tak. — Herbert poklepał oparcie inwalidzkiego wózka. — To i tak lepiej niż siedzieć bez broni. A grozi nam coś znacznie gorszego.

Rodgers zerknął na zegarek. Lowell Coffey zwrócił uwagę na ważne kwestie prawne. A pamięć o Ivonne Herbert dawała Bobowi prawo do wygłoszenia kazania. Ale nie oznaczało to przecież, że obaj mają rację!

— Za piętnaście minut przyleci Iglica — powiedział spokojnie. — Bob, przekazałem ci już dowództwo Centrum. Jeśli chcesz mnie powstrzymać, po prostu to powiedz. — Spojrzał

na Liz Gordon. — Liz, możesz postawić diagnozę, że jestem niezdolny do podejmowania decyzji, że cierpię na dolegliwości umysłowe spowodowane szokiem pourazowym, czy jak to się tam, do diabła, nazywa. Jeśli to zrobicie, nie będę się wam sprzeciwiał. Jeśli się jednak nie sprzeciwiacie, będę walczył. Nie mogę patrzeć bezradnie jak banda morderców zasłania się dziećmi!

Herbert pokręcił głową.

— Nie mamy do czynienia z aż tak czarno–białą sytuacją — zaprotestował.

— Nie jest to już tematem dyskusji. Macie zamiar mnie powstrzymać?

— Nie. Ja, nie. — Bob Herbert ponownie pokręcił głową.

— A mogę spytać, dlaczego? — wtrącił oburzony Coffey Lowell.

— Możesz — westchnął Herbert. — W CIA nazywano to szacunkiem. — Prawnik skrzywił się przeraźliwie. Szef wywiadu Centrum mówił dalej: — Jeśli przełożony chciał nagiąć zasady, to się je naginało.

— Czegoś takiego spodziewałem się po Cosa Nostra, a nie agendzie rządu Stanów Zjednoczonych.
— Lowell z godnością wyprostował się w krześle.

— Gdybyśmy wszyscy byli tacy cholernie praworzadni, nie potrzebne byłyby praworzadne rządy — zauważył Bob.

80

Rodgers spojrział na Liz Gordon. Psycholog także nie sprawiała wrażenia szczęśliwej.

— No i co?

— Co „co”? Nie jestem cegłą w murze milczenia Boba, ale także nie mam zamiaru cię powstrzymywać. W tej chwili demonstrujesz upór i niecierpliwość. Uważam, że bardzo chcesz wałnąć w coś jak najmocniej, żeby zrewanżować się za to, co terroryści zrobili ci w dolinie Bekaa. Ale żebyś był niezdolny do podejmowania decyzji? Z psychologicznego punktu widzenia muszę przyznać, że jesteś absolutnie zdolny do podejmowania decyzji.

Generał spojrział na Boba Herberta.

— Dasz radę załatwić mi ten lokal operacyjny CIA? — spytał.

Herbert skinął głową.

— Lowell, możesz połączyć się z Komisją Nadzoru Wywiadu? Sprawdzić, czy zgodzą się zebrać na sesji nadzwyczajnej?

Prawnik siedział z zaciśniętymi ustami, bębniąc wymanikiurowanymi palcami w blat stołu. Nie aprobował podjętych decyzji, ale był przede wszystkim zawodowcem. Spojrział na zegarek.

— Zadzwoń na telefon komórkowy do senatora Warrena — oznajmił. — On zawsze darzył nas największą sympatią. Ale tych ludzi z trudem daje się złapać nawet w dni robocze.

W sobotę wieczorem...

— Rozumiem — odetchnął Rodgers. — Dziękuję ci. I tobie też, Bob.

— Nie ma za co — uśmiechnął się Herbert.

Prawnik przeglądał notes elektroniczny w poszukiwaniu odpowiedniego numeru telefonu. Generał spojrzął na Matta Stolla i Ann Farris. Matt wpatrywał się z napięciem w złożone na blacie stołu dłonie. Ann, rzecznik prasowy Centrum, siedziała spokojnie z kamienną twarzą. Mike Rodgers miał wrażenie, że przekonał ją choćby dlatego, że starał się pomóc Paulowi Hoodowi, ale nie miał zamiaru o to pytać. Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

— Mike? — zatrzymał go Herbert.

— Tak? — Rodgers obejrzał się przez ramię.

— Jeśli będziesz czegoś potrzebował... wiedz, że wszyscy tu jesteśmy po twojej stronie.

— Wiem.

— Spróbuj nie wysadzić w powietrze całego budynku, dobrze? I jeszcze jedno...

— Tak?

81

— Nie mam najmniejszej ochoty rządzić tym cholernym cyrkiem. — Herbert uśmiechnął się lekko. — Więc postaraj się wrócić do nas cały, zdrowy, równie uparty, niecierpliwy i *macho* jak zawsze.

— Spróbuję. — Otwierając drzwi generał także uśmiechnął się.

Nie otrzymał poparcia takiego, jakiego się spodziewał, ale idąc korytarzem i mijając kolejne gabinety pomyślał, że nie jest przynajmniej tak osamotniony jak Gary Cooper we „W samo południe”. Na razie zupełnie mu to wystarczało.

82

v Nowy Jork, sobota 22.11

Obrosła legendą OSS – Biuro Służb Strategicznych – powstało w czerwcu 1942 roku.

Dowodził nim bohater I wojny światowej, William Joseph „Dziki Bill” Donovan. Zadaniem OSS było zbieranie danych wywiadu wojskowego. Po wojnie, w 1946 roku, prezydent Truman stworzył Central Intelligence Group, której zadaniem było zbieranie za granicą danych wywiadowczych, mających związek z bezpieczeństwem państwa. W rok później Ustawa o Bezpieczeństwie Narodowym przemianowała CIG na CIA. Rozszerzyła także jej uprawnienia, umożliwiając CIA prowadzenie działalności kontrwywiadowczej.

Trzydziestodwuletnią Susan „Susie” Hampton zawsze cieszyło to, że została szpiegiem.

Praca ta angażowała przecież na tak wielu poziomach intelektualnych i uczuciowych, dostarczała tak wielu emocji. Była niebezpieczna, lecz dawała satysfakcję proporcjonalną do niebezpieczeństwa. Czyniła człowieka niewidzialnym, póki nie został złapany, a wówczas dawała mu prawo do nagości takiej, jaka nie istnieje nigdzie. Dawała mu władzę nad innymi, za którą czasami płaciło się cenę najwyższą: śmierć. Zawód szpiega wymagał także dokładnego planowania, uczył cierpliwości, rozpoznawania, czy ktoś, kim warto się zająć, jest akurat we właściwym nastroju, dawał szansę dokonywania podbojów emocjonalnych... i nie tylko emocjonalnych.

Szpiegowanie w gruncie rzeczy bardzo przypomina seks, tylko jest znacznie lepsze, myślała. Jeśli się kim znudzisz, zawsze możesz doprowadzić do jego śmierci. Oczywiście, jeszcze nikogo nie zabiła. Jeszcze nie.

Susie lubiła zawód szpiega, ponieważ zawsze była samotniczką. Jako dziecko lubiła znajdować dziuple wiewiórek, obserwować składające jaja ptaki i, w zależności od humoru, albo pomagała zającym w ucieczce przed lisami albo lisom łapać zające. Lubiła podglądać ojca grającego w karty z przyjaciółmi, babcię podczas towarzyskich herbatek, brata na randkach. Zapisywała nawet w dzienniczku to, czego dowiedziała się szpiegując rodzinę: który sąsiad był „fiutem”, ciotka „nieznośną suką”, która teściowa powinna „nauczyć się trzymać język za zębami”. Matka znalazła kiedyś ten pamiętnik i zabrała go, ale Susie wcale to nie zmartwiło. Była wystarczająco sprytna, żeby sporządzić jego kopię.

Jej rodzice, Al i Ginny, prowadzili sklep z damską odzieżą w Roanoke, w Wirginii.

Susie pracowała w „Hampton's Fashion” po szkole i w weekendy. Gdy tylko było to możliwe, próbowała dowiedzieć się wszystkiego o ludziach, którzy wstępowali do sklepu.

Podśluchiwała ich rozmowy. Próbowała przewidzieć, która sukienka wzbudzi ich ciekawość na podstawie zachowania, stylu ubierania się i sposobu mówienia. Potem wkraczała jako sprzedawczyni. Udawało się jej, jeśli była sprytna i ostrożna. Na ogół była.

To szpiegowanie skończyło się, kiedy sklep rodziców zbankrutował, wyparty z rynku przez sieć sklepików z odzieżą z przeceny. Rodzice musieli podjąć pracę w jednym ze sklepów tej sieci. Susie nadal jednak fascynowało ostrożne manipulowanie ludźmi. Zdobyła 83

pełne stypendium na uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Ukończyła wydział nauk politycznych i jako drugi fakultet studia azjatyckie, ponieważ w owym czasie wyglądało na to, że to Japonia i kraje leżące po obu stronach Pacyfiku będą kształtować XXI wiek. Choć nadzieje jej rodziców umarły, nigdy nie widziała ich szczęśliwszych i bardziej dumnych niż na uroczystości, podczas której wręczono jej dyplom. Ukończyła studia z pierwszą lokatą na roku. Postawiła sobie wówczas za cel uczynienie ich jeszcze szczęśliwszymi i jeszcze bardziej dumnymi. Zdecydowała, że nie tylko zostanie oficerem CIA, ale przed czterdziestką będzie rządziła Firmą.

Natychmiast po studiach ta szczupła, mierząca metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu blondynka zgłosiła się do CIA. Została przyjęta, częściowo ze względu na znakomite wyniki na studiach, a częściowo – o czym dowiedziała się później – ze względu na prawo proporcjonalnego zatrudnienia kobiet, których za mało było w słynnej z męskiego szowinizmu agencji. Powody przyjęcia nic jej nie obchodziły, ważne było tylko to, że została przyjęta. Oficjalnie pracowała w wydziałach wizowych wielu amerykańskich ambasad w Azji. Nieoficjalnie wypracowywała sobie kontakty w świecie polityki i wojska. Wśród rozczarowanych polityków i rozczarowanych oficerów. Wśród mężczyzn i kobiet, których dotknął azjatycki kryzys połowy lat dziewięćdziesiątych. Wśród ludzi, których można było namówić do sprzedaży informacji za pieniądze.

Była wyjątkowo skuteczna w rekrutowaniu szpiegów. Może wydawać się to ironiczne, ale wprędce odkryła, że jej największą zaletą nie jest wiedza o azjatyckiej kulturze i sytuacji politycznej, i nawet nie to, że widziała jak rodziców zdradza Amerykańskie Marzenie, ale to, że umiała rozmawiać z ludźmi niezadowolonymi, rozczarowanymi. Równocześnie największą jej zaletą było to, że nie wiązała się uczuciowo z rekrutami. Bywały sytuacje, w których trzeba było poświęcić ludzi, by otrzymać informacje, i wówczas Susie nie wahała się nawet przez chwilę. W pewien sposób nie było to trudniejsze niż wmawianie kobietom, że bardzo im do twarzy w spodniach albo żakietach, w których w rzeczywistości wyglądały fatalnie. Sklep potrzebował pieniędzy, więc musiała te pieniądze zdobywać.

Na nieszczęście Susie odkryła wkrótce, że talent i zapał czasami nie wystarczają. Kiedy wykonała to, co po została wysłana za granicę, po powrocie nie dostała awansu, nie przyznano jej też dostępu do głębiej utajnionych materiałów, bowiem w agencji zapanował

nagle duch antyfeministyczny i najlepsze zadania przydzielano mężczyznom. Ją wysłano do Seulu, by zbierała informacje od szpiegów, których sama zwerbowała. Większość z nich przesyłana była drogą elektroniczną, nie interpretowała nawet tego, co do niej służyło, tym zajmowali się ludzie z działu wywiadu elektronicznego. Po sześciu miesiącach siedzenia przy komputerze i kierowania przepływem materiałów poprosiła o przeniesienie do Waszyngtonu.

Przeniesiono ją do Nowego Jorku. Nadal siedziała przy komputerze i kierowała przepływem informacji.

Ze względu na doświadczenie w pracy za granicą, skierowano ją do DSA – Doyle Shipping Agency. Ta prowadzona przez CIA firma–przykrywka operowała z biura na piątym piętrze budynku stojącego na United Nations Plaza pod numerem 866. Jej zadaniem było śledzenie kluczowych postaci ONZ. Samo biuro składało się z recepcji, w której urzędowała sekretarka, niepracująca w soboty, więc dziś nieobecna, gabinetu dyrektora biura terenowego Davida Battata i drugiego gabinetu Susie. Dwaj wywiadowcy, operując albo stąd, albo z biura w dzielnicy finansowej, także mieli swój pokój. Wywiadowcy śledzili dyplomatów, których podejrzewano o to, że mają zamiar spotkać się ze szpiegami lub potencjalnymi szpiegami. W

DSA gromadzono również broń, od pistoletów po materiał wybuchowy C-4, których mogli 84

potrzebować agenci terenowi. Prawdziwym centrum biura był mały gabinet Susie, z oknem wychodzącym na East River. Wypełniony był fałszywymi materiałami DSA, rozkładami kursowania statków i księgami przepisów podatkowych, stał tam także komputer z podłączonym do niego skomplikowanym sprzętem, ukrytym w szafce na szczotki, znajdującej się w końcu małego korytarzyka.

Susie Hampton zajmowała się monitorowaniem kilku wysoko postawionych w ONZ

osób. Posługiwała się pluskwami, będącymi dziełem Wydziału Badawczego CIA; tu właśnie po raz pierwszy testowano je w terenie. Ich zadaniem, jak to ujął Battat, było „tresowanie pluskw”. Te miniaturowe urządzenia podsłuchowe rzeczywiście miały coś wspólnego z pluskwami. Wielkości dużego żuka, zrobione z tytanu i bardzo lekkiej piezoelektrycznej ceramiki, materiału w wyjątkowo niewielkim stopniu wyczerpującego baterie, a więc mogące pracować praktycznie przez lata, pluskwy dostrojone były do brzmienia głosu „ofiary”.

Wypuszczone w gmachu ONZ nie wymagały żadnego naprowadzania. Szybkie, sześcionożne, docierały do każdego zakątka budynku w ciągu maksimum dwudziestu minut. Śledziły przypisane im osoby, poruszając się za ścianami, przez kanały wentylacyjne i rury kanalizacyjne. Zaopatrzone w haczyki łapy umożliwiały im wspinanie się po niemal każdej powierzchni. Przekazywały głos do urządzenia odbiorczego w komputerze, noszącego nieformalną nazwę „ula”. Susie na ogół słuchała ich ze słuchawkami na uszach, by odciąć się od dźwięków dochodzących z biura i z ulicy.

Siedem ruchomych pluskw, umieszczonych w gmachu ONZ, umożliwiło CIA śledzenie wpływowych ambasadorów, a także samej sekretarz generalnej. Ponieważ wszystkie operowały na tym samym, bardzo wąskim zakresie częstotliwości, Susie miała dostęp tylko do jednej z nich na raz; do „przeskakiwania” między nimi używała komputera.

W pluskwy wbudowano także generator dźwięków, wysyłający co kilka sekund ultradźwiękowy impuls, którego celem jest odstraszenie ewentualnych drapieżników, którym przyszłoby na nie ochota. Kosztowały dwa miliony dolarów sztuka, więc CIA wcale nie marzyła, by zostały pożarte, na przykład, przez nietoperze lub inne zwierzęta żywiące się owadami.

Choć Susie nie lubiła ani miejsca, w które została przeniesiona, ani ogłupiającej pracy, do której

wykonywania ją zmuszono, trzy rzeczy poprawiały jej samopoczucie. Po pierwsze, choć praca była nudna, tropiła swe ofiary w sposób tak tajny, jak to tylko możliwe; była rasową podglądaczką, więc ją to cieszyło. Po drugie, jej przełożony większość czasu spędzał

w Waszyngtonie lub w biurze CIA w amerykańskiej ambasadzie w Moskwie, więc praktycznie to ona rządziła w Nowym Jorku. Po trzecie wreszcie, sposób, w jaki potraktował

ją „Chauvinists Intitute of America2, przypomniał Susie, że niezależnie od tego, czy sprzedaje damskie ubrania czy informacje, kobieta musi sama znaleźć sobie coś, co da jej zadowolenie.

Po przybyciu do Nowego Jorku nauczyła się cenić sztukę i muzykę, dobrą kuchnię i drogie ciuchy, nauczyła się żyć dobrze i dogadzać sobie. Po raz pierwszy w życiu stawiała sobie cele, nie mające nic wspólnego z karierą i wprawieniem kogoś w dumę. Bardzo dobrze się z tym czuła.

Naprawdę bardzo dobrze.

Susie uważnie przysłuchiwała się spotkaniu. Rozczarowania rozczarowaniami, ale sytuację należało śledzić bardzo dokładnie. I mimo że podsłuchiwane rozmowy były nagrywane, szef wymagał, by sporządzała krótkie, treściwe raporty z podsłuchów.

85

Bardzo to było interesujące; tak znać ludzi wyłącznie z ich głosów. Nauczyła się słuchać rozłożenia akcentów, interpretować pauzy i tempo mówienia znacznie dokładniej niż wówczas, gdy prowadziła rzeczywistą konwersację. Dowiadywanie się różnych rzeczy o różnych ludziach też było ciekawe, zwłaszcza o Mali Chatterjee, jednej z zaledwie dwóch kobiet, którymi się zajmowała. Przeszło połowę czasu spędzała podsłuchując panią sekretarz generalną. Ta czterdziestotrzyletnia Hinduska z New Dehli była córką jednego z cieszących się największym powodzeniem w Indiach producenta filmowego. Z zawodu prawniczka, zasłynęła błyskotliwymi zwycięstwami na sali sądowej w sprawach dotyczących łamania praw człowieka. Potem pracowała jako konsultant w Centrum Badań nad Konfliktami w Londynie, następnie przyjęła stanowisko zastępcy specjalnego przedstawiciela sekretarz generalnej do spraw praw człowieka w Genewie. W 1997 roku przeniosła się do Nowego Jorku jako podsekretarz generalny do spraw humanitarnych. Mianowanie na stanowisko sekretarz generalnej zawdzięczała zarówno polityce, jak i sukcesom odniesionym podczas dotychczasowej kariery oraz temu, że dobrze wyglądała w telewizji. Było to w czasie, gdy rosło napięcie w stosunkach między Indiami i Pakistanem, grożące wręcz wybuchem wojny atomowej. Hindusi byli tak dumni z Chatterjee, iż wsparli ją, nawet kiedy pojechała do Islamabadu na rozmowy wstępne w sprawie rozbrojenia, mimo iż w artykule na pierwszej stronie pakistańskiej angielskojęzycznej gazety „Dawn” redaktor naczelny wykiął New Delhi

„...tchórzliwie zamykające oczy wobec nieuchronnej zagłady”.

Podczas swej krótkiej jeszcze kariery sekretarz generalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych Chatterjee stawiała czoło problemom osobiście, bez uników, polegając na inteligencji i

charyzmatycznej osobowości, dzięki którym udawało się jej zawierać kompromisy. Właśnie to czyniło obecną sytuację tak interesującą. Susie była świadoma, że gra toczy się o życie wielu osób, potrafiła się także nad nimi litować. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczęła jednak traktować Chatterjee jako przyjaciółkę i koleżankę. Bardzo interesowało ją, jak też pani sekretarz poradzi sobie teraz. Gdy tylko CIA dowiedziało się o wzięciu zakładników, Susie sprawdziła natychmiast, że nie było wśród nich żadnego z przypisaną do siebie pluskwą.

Chatterjee spotkała się z zastępcą sekretarza generalnej Takaharą z Japonii, dwoma podsekretarzami generalnymi i dowódcą Służby Bezpieczeństwa ONZ w dużej sali konferencyjnej przylegającej do jej prywatnego gabinetu. Obecni byli także; zastępca sekretarza generalnej do spraw administracyjnych oraz szef personelu. Szef personelu i jego ludzie telefonicznie informowali cały czas przedstawicieli rządów, których delegaci byli wśród porwanych, o rozwoju sytuacji. Na spotkaniu obecny był również Enzo Donati, osobisty doradca Mali Chatterjee.

Sprawa zapłaty okupu praktycznie nie została poruszona. Nawet gdyby udało się zebrać odpowiednią sumę, w co zresztą należało wątpić, sekretarza generalna nie miała żadnej możliwości jej doręczyć. W 1973 roku ONZ opracowała wytyczne dotyczące żądań okupu, gdyby doszło do porwania pracowników lub delegatów na jej terytorium. Rada Bezpieczeństwa zaproponowała, a Zgromadzenie Ogólne przegłosowało wymaganą większością dwóch trzecich głosów, że w przypadku porwania każdy zainteresowany kraj lub kraje kierują się zasadami własnej polityki wobec terrorystów. Rolą ONZ miało być wyłącznie prowadzenie negocjacji.

Na razie tylko jeden z zainteresowanych krajów, Francja, zaoferował udział w okupie.

Inne albo nie mogły złożyć podobnej oferty ze względów formalnych, albo prowadziły politykę nienegocjowania z terrorystami. Stany Zjednoczone, których ambasador przy ONZ, 86

Flora Meriwether, była wśród porwanych, odmówiły wypłacenia okupu, oferowały jednak współpracę w przypadku, gdyby doszło do negocjacji z terrorystami. Wszyscy zgromadzeni postanowili, że stanowisko zainteresowanych krajów należy sprawdzić powtórnie, gdy upłynie termin ultimatum.

Należało też jak najszybciej rozstrzygnąć, kto ma prawo podejmowania decyzji podczas tego kryzysu. Gdyby zakładnikami byli wyłącznie turyści, prawo decydowania miałaby Służba Bezpieczeństwa pułkownika Ricka Motta, przetrzymywano jednak nie tylko turystów.

Zgodnie z kartą Narodów Zjednoczonych decyzje dotyczące Rady Bezpieczeństwa podejmować może wyłącznie Rada Bezpieczeństwa lub Zgromadzenie Ogólne. Ponieważ aktualny przewodniczący Rady Bezpieczeństwa, Stanisław Ziętek z Polski, znajdował się wśród zakładników, a Zgromadzenie Ogólne nie mogło się zebrać, Chatterjee postanowiła, że to sekretarza generalna jako przywódca Zgromadzenia Ogólnego ma decydować o podejmowanych działaniach i inicjatywach.

Susie podejrzewała, że po raz pierwszy w historii ONZ zapadła decyzja podjęta nie w trybie głosowania. No i, oczywiście, tego cudu dokonała kobieta.

Następnie Mott poinformował zebranych, że większość policji Narodów Zjednoczonych zgromadzono wokół sali Rady Bezpieczeństwa, a także udzielił informacji o możliwości podjęcia ataku na terrorystów przy użyciu sił własnych ONZ i oddziałów specjalnych nowojorskiej policji, która już zgłosiła chęć pomocy.

— Nie jesteśmy w stanie opracować żadnego planu odbicia zakładników, póki nie będziemy wiedzieli, co się tam właściwie dzieje — powiedział. — Mamy dwóch funkcjonariuszy podsłuchujących pod podwójnymi drzwiami od strony sal Rady Powierniczej. Na nieszczęście terroryści umieścili wykrywacze ruchu w korytarzach prowadzących do łazienek, więc nie możemy ich wykorzystać. Unieszkodliwili także kamery telewizji wewnętrznej w sali Rady Bezpieczeństwa. Próbuje wykorzystać do obserwacji soczewki światłowodowe grubości włosa. Ręcznymi wiertarkami wywiercimy dwie niewielkie dziury przez podłogę, w schowkach, które znajdują się za salą. Dane wizualne otrzymamy jednak na długo po upływie dziewięćdziesięciminutowego ultimatum. Za pośrednictwem łączy satelitarnych rozśleliśmy materiały z kamer wideo do biur Interpolu w Londynie, Paryżu, Madrycie, Bonn, Tokio, Moskwie i Mexico City. Mamy nadzieję, że elementy tego ataku będą podobne do czegoś, co policje tych krajów widziały wcześniej.

— Podstawowe pytanie brzmi: „Czy terroryści zdecydują się na zamordowanie któregoś z delegatów?” — powiedziała Chatterjee.

— Moim zdaniem tak — odparł natychmiast Mott.

— Na jakich danych opiera pan swoje przekonanie? — spytał ktoś. Susie nie rozpoznała głosu ani akcentu.

— Na tych, których dostarcza mi własna inteligencja. — Słyszac ton jego głosu Susie wyobraziła sobie, jak Mott palcem wskazuje na swą głowę, jak potrząsa nią z gniewem. —

Zabijając kolejne ofiary, terroryści niczego nie tracą.

— Co możemy zrobić przed upływem terminu ultimatum? — spytała sekretarz generalna.

87

— Chodzi o rozwiązanie militarne? Moi ludzie są skłonni zaatakować, mimo że nie mają danych wizualnych.

— Czy pański zespół przygotowany jest do tego rodzaju akcji?

Susie sama mogła odpowiedzieć na pytanie Mali Chatterjee. Oddział uderzeniowy Służby Bezpieczeństwa ONZ nie był przygotowany do takiej akcji. Nie miał okazji sprawdzić się w walce i nie dysponował dostateczną siłą. Problem polegał na tym, że wraz z resztą personelu Sekretariatu Narodów Zjednoczonych, ochrona także przeszła przez dwudziestopięcioprocentowe cięcia. Co więcej, najlepsi ludzie przeszli do sektora prywatnego i ochrony wielkich korporacji, gdzie zarabiali więcej i mieli znacznie lepsze możliwości awansu zawodowego.

— Jesteśmy gotowi przeprowadzić akcję, by przerwać obecną patową sytuację —

powtórzył Mott — ale muszę być wobec pani szczery, pani sekretarz. Jeśli wkroczymy do sali z intencją wyeliminowania terrorystów, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo strat nie tylko wśród moich ludzi. Najprawdopodobniej zginą także delegaci i dzieci.

— Nie wolno nam podejmować takiego ryzyka — zareagowała natychmiast Chatterjee.

— Z pewnością mielibyśmy większe szanse, dysponując rozpoznaniem — przyznał

Mott.

— Czy przeciwko terrorystom nie można użyć gazu łzawiącego? — spytał Takahara.

— Sala Rady Bezpieczeństwa jest bardzo obszerna. Z tego powodu rozproszanie gazu systemem wentylacyjnym trwałoby około siedemdziesięciu sekund, nieco mniej gdybyśmy wrzucili granaty przez otwarte drzwi. Niezależnie od sposobu, terroryści mieliby czas na założenie masek, jeśli je mają lub wybicie okien celem rozproszenia gazu, oraz na spowodowane atakiem rozpoczęcie egzekucji zakładników lub przeniesienie się w inne miejsce za ich zasłoną. Jeśli, jak oznajmili, dysponują gazem bojowym, należy założyć, że mają maski gazowe.

— I tak przecież zabiją wszystkich zakładników — zaprotestował jeden z podsekretarzy generalnych, najprawdopodobniej Fernando Campos z Portugalii, jeden z niewielu ludzi uznających rozwiązania siłowe, a których sekretarz generalna skłonna była wysłuchać. —

Jeśli zareagujemy teraz, będziemy w stanie uratować życie przynajmniej kilku z nich.

Przy stole obrad rozległy się głośne szepty. Chatterjee zdecydowanie uciszyła zebranych i ponownie oddała głos Mottowi.

— Nadal radzę poczekać, póki nie uzyskamy obrazu z sali. Musimy wiedzieć, gdzie są terroryści, a gdzie zakładnicy — zakończył Mott.

— Dodatkowy czas oraz ten pański obraz okupiony będzie życiem zakładników —

powiedział głos, należący zapewne do Camposa. — Uważam, że powinniśmy wkroczyć teraz i zakończyć całą tę sprawę.

W tym momencie pani sekretarz zakończyła dyskusję o akcji wojskowej i spytała Motta, czy ma jakieś inne pomysły. Pułkownik wyjaśnił, że rozważano możliwość odcięcia dopływu 88

prądu i wentylacji w sali Rady Bezpieczeństwa lub podwyższenia tam temperatury, by opóźnić czas reakcji terrorystów. Sztab Służby Bezpieczeństwa ONZ uznał jednak, że tego rodzaju akcja raczej rozdrażniłaby terrorystów niż przyniosła praktyczne efekty.

Zapadła cisza. Susie zauważyła, że właśnie kończyło się ostatnie pół godziny. Była prawie pewna, co zrobi Chatterjee: to, co robiła zawsze.

— Choć rozumiem i w części podzielam stanowisko wyrażone przez pułkownika Motta i podsekretarza generalnego Camposa, nie możemy jednak dać terrorystom tego, czego żądają

— powiedziała cichszym niż zazwyczaj i bardziej ochrypłym głosem. — Musimy wykonać poważny gest, odpowiedni do ich statusu.

— Ich statusu? — zdumiał się Mott.

— Owszem.

— A jakiegoż to statusu? To bezwzględni mordercy...

— Pułkowniku, nie czas teraz na słowa oburzenia. Ponieważ nie możemy dać terrorystom tego, czego się domagają, musimy im dać to, co mamy.

— Na przykład...?

— Pokorę.

— Jezu Chryste...!

— Pułkowniku, nie jest pan dowódcą [SEAL3](#). — [Chatterjee](#) zareagowała bardzo ostro.

— Musimy szukać rozwiązań poprzez negocjacje, gromadzenie informacji, mediację, uspokajanie, arbitraż, środkami prawnymi...

— Znam kartę ONZ, proszę pani. Ale nie pisano jej z myślą o takiej sytuacji.

— Więc musimy ją adaptować do sytuacji. W każdym razie musimy wykazać się pokorą. Musimy potwierdzić, że dysponują środkami, by zabić delegatów, ale że mogą także wypuścić ich oraz dzieci. Być może dzięki manifestacji pokory zyskamy czas oraz zaufanie tych ludzi.

— Ale z całą pewnością nie zyskamy ich szacunku — protestował Mott.

— Nie zgadzam się z panem, pułkowniku Mott — powiedział Takahara. — Znane są przypadki, kiedy poniżenie uspokajało terrorystów. Pani sekretarz, interesuje mnie jednak pewna sprawa. Jaką ma pani na myśli manifestację pokory?

Takahara nie przestawał zdumiewać Susie. Historia wykazała, że japońscy przywódcy niechętnie biorą udział w dyskusji i nie bardzo umieją spokojnie przekonywać o swych racjach... oczywiście z wyjątkiem sytuacji, gdy negocjują propozycje pokojowe, przygotowując się jednocześnie do wojny. Takahara był wśród nich wyjątkiem –

autentycznym pacyfistą z przekonania.

— Pójdę do terrorystów — oznajmiła Chatterjee. — Wyrażę chęć dopomożenia im, poproszę o czas konieczny, byśmy mogli przekazać żądania bezpośrednio rządowi zainteresowanych państw.

— Przecież doprowadzi to do oblężenia — zauważył Mott.

— Wolę oblężenie niż krwawą łaźnię. Poza tym, musimy postępować krok po kroku.

Jeśli uda się nam zyskać przedłużenie podanego w ultimatum czasu, być może uda się nam znaleźć sposób na rozwiązanie sytuacji.

— Jeśli wolno mi przypomnieć — powiedział Takahara — ci mordercy oświadczyli, że nie odpowiedzą na żadną inną próbę komunikacji niż informacja o dostarczeniu okupu i środka transportu.

— Nie chodzi o to, by odpowiadali. Wystarczy, że wysłuchają.

— Ależ oni odpowiedzą, bez wątpienia — warknął pułkownik. — Odpowiedzą ogniem.

Ci bandyci mordowali, by dostać się do sali Rady. Nic nie stracą, zabijając jeszcze kilka osób.

— Panowie — powiedziała Chatterjee — nie możemy zapłacić okupu, a ja nie zgodzę się na atak. — Susie nie miała wątpliwości, że pani sekretarz jest coraz bardziej zdenerwowana. — Jesteśmy podobno najlepszymi dyplomatami na świecie, a w tej chwili dysponujemy wyłącznie środkami dyplomatycznymi. Pułkownik Mott, czy uda się pan ze mną do sali Rady Bezpieczeństwa?

— Oczywiście.

Pułkownikowi najwyraźniej ulżyło. Chatterjee postąpiła bardzo sprytnie prosząc, by towarzyszył jej żołnierz. „Mów spokojnie, lecz w rękę trzymaj grubą pałkę”.

Susie usłyszała pokasływania i szuranie odsuwanych krzeseł. Spojrzała na zegar na monitorze komputera. Do czasu wyznaczonego przez ultimatum zostało niewiele ponad siedem minut. Mniej więcej tyle czasu szło się do sali Rady Bezpieczeństwa. Pluskwa dotrze tam nieco później. Zdjęła słuchawki. Miała zamiar zadzwonić do Davida Battata. Linia była bezpieczna, przechodziła przez skomplikowane urządzenie *TAC-SAT 5*, wbudowane w biurko.

Rozległ się sygnał telefonu.

— Jesteś w firmie? — nieco zdziwił się Battat, czterdziestodwuletni mężczyzna pochodzący z Atlanty.

— Jestem. Odwołałam obiecującą randkę i przyjechałam, kiedy dowiedziałam się, co się dzieje.

— Dobra dziewczynka. — Susie zacisnęła palce na słuchawce, aż zbieleły. Battat nie był taki zły jak paru innych i najprawdopodobniej wcale nie zamierzał jej poniżyć. Takiego zachowania nauczył się po prostu w męskim klubie szpiegów. — Tutejsze media właśnie podały informację o ataku. Boże, jakże żałuję, że mnie tam nie ma. Co się dzieje?

90

Wyjaśniła mu, co planuje sekretarz generalna Chatterjee. Szef wysłuchał jej i westchnął.

— Terroryci załatwią Szweda — stwierdził.

— Być może nie. Chatterjee jest bardzo dobra w tym, co robi.

— Dyplomację wynaleziono w celu całowania w tyłek tyranów. Nie widziałem jeszcze, żeby załatwiła coś na dłuższą metę. Właśnie w tej sprawie dzwonię. Jakies dwadzieścia minut temu skontaktował się ze mną człowiek z branży, Bob Herbert. Pracuje w Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym i prosi, żeby znaleźć mu miejsce dla jego oddziału antyterrorystycznego. Jeśli dostaną pozwolenie z góry, być może spróbują wyciągnąć te dzieciaki. Nasi szefowie nie mają nic przeciwko temu, żeby używali DSA, jeśli tylko nas w to nie wciągną. Za jakieś dziewięćdziesiąt minut spodziewaj się generała Mike'a Rodgersa, pułkownika Bretta Augusta i ich grupy.

— Tak jest.

Odłożyła słuchawkę i nie od razu powróciła do swych pluskiew. Informacja o zespole uderzeniowym Centrum była niespodzianką. Przez trzy godziny słuchała rozmów sekretarz Chatterjee, która nie wspomniała ani słowem o możliwości przeprowadzenia akcji przez amerykańskich żołnierzy. Nie do wiary, by USA kiedykolwiek zdecydowały się zaangażować militarnie na terenie należącym do ONZ.

Gdyby do tego doszło, przynajmniej będzie na miejscu, będzie w stanie obserwować rozwój sytuacji. Być może dostanie szansę współpracy przy opracowywaniu planu ataku?

W normalnych warunkach tkwienie w środku tego, co CIA nazwała eufemistycznie

„wydarzeniem”, było bardzo podniecające, zwłaszcza kiedy planowało się

„przeciwydarzenie”. Warunki nie były jednak normalne.

Spojrzała na monitor komputera, na którym wyświetlony był dokładny plan gmachu ONZ z ikonami przedstawiającymi wszystkie pluskwy. Obserwowała postępy tej, która przypisana była do Chatterjee. Dotrze do niej za minutę.

Założyła słuchawki. Warunki nie były normalne, ponieważ w gmachu ONZ znajdowała się grupa ludzi, której losy zależały od tego, czy uda się jej podsłuchać plany sekretarz generalnej. Grupa nie mająca nic wspólnego z CIA, dowodzona przez mężczyznę, którego poznała szukając nowych kontaktów w Kambodży. Mężczyzna ten był agentem CIA w Bułgarii. Oboje rozczarowani byli

sposobem, w jaki Firma traktowała swych współpracowników. Mężczyzna ten przez wiele lat budował własną sieć kontaktów, choć nie zależało mu na przekazywanych przez nie informacjach. Nie obchodziła go płeć i narodowość, zwracał uwagę wyłącznie na zdolności.

Dla niego właśnie Susie przysłała do biura o siódmej. Skłamała Battatowi mówiąc, że pojawiła się po tym, jak dowiedziała się o ataku. Chciała być na miejscu przed atakiem.

Musiała upewnić się, że kiedy Georgijew zadzwoni do niej ze swego bezpiecznego telefonu, dostanie te informacje, których będzie potrzebował. Należało do niej także śledzenie, co dzieje się z kontem w Zürichu. Gdy tylko pojawią się na nim pieniądze, przeleje je na inne konta na całym świecie, po czym zatrze ślady transakcji. Inspektorzy bankowi nie dowiedzą się niczego.

91

Sukces Georgijewa miał być jej sukcesem. Jej sukces miał być sukcesem jej rodziców.

Mając do dyspozycji udział w zysku wysokości dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów, zrealizują w końcu własne, prywatne Amerykańskie Marzenie.

Battat pomylił się dwukrotnie. Susie Hampton nie jest „dziewczynką”, ale nawet gdyby nią była, nie jest, jak ją nazwał, „dobrą dziewczynką”.

Nie dobrą, lecz z całą pewnością wyjątkową.

92

v Nowy Jork, sobota 22.29

Mala Chatterjee mierzyła niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu. Siwowłosemu żołnierzowi, który szedł za nią, sięgała zaledwie pod brodę. Wzrost sekretarz generalnej ONZ

nie oddawał jednak jej pozycji i siły. Oczy miała czarne, duże i błyszczące, skórę ciemną, gładką. Prawie nie używała biżuterii, z wyjątkiem zegarka i małych kolczyków z perłami.

Kiedy mianowano ją na obecne stanowisko, postanowiła nie nosić sari, co wywołało głośnie protesty w jej ojczyźnie. Wyprowadziła tym z równowagi nawet ojca. W udzielonym

„Newsweekowi” wywiadzie wyjaśniła, że w ONZ jest przedstawicielką wszystkich ludzi i wszystkich wyznawanych przez nich religii, a nie tylko ojczyzny i Hindusów. Na szczęście podpisany z Pakistanem układ o wzajemnym rozbrojeniu zakończył spory wokół jej stroju.

Uciszył także donośne głosy protestu tych, którzy uznali, że na stanowisko sekretarz generalnej ONZ powołano ją ze względu na to, że dobrze prezentowała się w mediach, zamiast jakiegoś doświadczonego dyplomaty.

Chatterjee nie wątpiła we własne zdolności i w swą przydatność na tym stanowisku.

Nigdy nie spotkała się z problemem, który nie dałby się rozwiązać po pierwszym kroku w pół drogi.

Zjeżdżając windą w towarzystwie pułkownika Motta, kurczowo trzymała się tej wiary.

Do budynku dopuszczono jedynie wybranych dziennikarzy; po drodze do sali Rady Bezpieczeństwa odpowiadała na ich pytania.

— Mamy nadzieję, że problem uda się rozwiązać metodami pokojowymi...

— Naszym celem jest bezpieczeństwo i ratowanie ludzkiego życia...

— Modlimy się, by rodziny zakładników i ofiar wykazały siłę...

Sekretarz generalna wypowiadała te słowa tak często i przy tylu różnych okazjach, że były już dla niej czymś w rodzaju mantry. Teraz brzmiały jednak nieco inaczej. Teraz nie chodziło o wojnę, w której ludzie walczyli, nienawidzili się i umierali od lat. Ta wojna wybuchła zaledwie przed chwilą, a przeciwnik był wyjątkowo zdeterminowany.

Wypowiadane przez nią słowa płynęły z jej duszy, nie z pamięci. I nie były to jedyne słowa, które przychodziły jej do głowy. Po rozstaniu z dziennikarzami przeszła obok wielkiej mozaiki o nazwie „Złota zasada”, powstałej na podstawie płótna Normana Rockwella. Stany Zjednoczone ofiarowały

je ONZ jako dar w czternastą rocznicę istnienia.

„Dobrem odpowiadaj zarówno na dobro, jak i zło”.

Modliła się, by słowa te okazały się prawdą.

93

Przedstawiciele narodów mających miejsce w Radzie Bezpieczeństwa zgromadzili się na północ od sal Rady Gospodarczo–Społecznej. Pomiędzy nimi a Radą Powierniczą stało dwudziestu siedmiu strażników, czyli cały oddział, którym dowodził pułkownik Mott oraz zespół lekarzy i sanitariuszy z Centrum Medycznego Uniwersytetu Nowojorskiego, które znajdowało się dziesięć przecznic na południe od gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wszyscy byli ochotnikami.

Chatterjee i Mott zbliżyli się do podwójnych drzwi prowadzących do sali Rady Bezpieczeństwa. Zatrzymali się o parę metrów od nich. Pułkownik zdjął radio, które nosił

przybite do pasa. Było nastawione na właściwą częstotliwość. Włączył je i wręczył pani sekretarz. Ujęła je w zimne palce. Spojrzała na zegarek. Było wpół do jedenastej.

Przez całą drogę powtarzała sobie w myślach to, co pragnęła powiedzieć. Musiała się przedstawić. Krótko.

„Mówi sekretarz generalna ONZ, Chatterjee. Czy pozwolicie mi wejść?”

Gdyby terroryści pozwolili jej wejść, gdyby wymienione w ultimatum dziewięćdziesiąt minut przedłużyli chociażby o kilka, można byłoby rozmawiać. Można byłoby negocjować.

Być może udałoby się jej wymienić samą siebie na dzieci? Chatterjee nie sięgała myślą dalej, nie troszczyła się o własny los. Dla negocjatora cel jest wszystkim, środki nie mają znaczenia.

Prawda, oszustwo, ryzyko, współczucie, chłód serca, stanowczość, uwodzicielskość, tymi monetami można było zapłacić każdą cenę za rozwiązanie.

Podniosła do ust radio, które ścisnęła kurczowo w dłoni. Musi zadbać o to, by jej głos był mocny, lecz nie wyrażający uczuć. Przełknęła; nie mogła się teraz zaciąć. Musi mówić wyraźnie. Obliznęła wargi.

— Mówi sekretarz generalna Organizacji Narodów Zjednoczonych Mala Chatterjee —

powiedziała powoli. W ostatniej chwili postanowiła dodać imię, by prezentacja wydawała się mniej formalna. — Czy pozwolicie mi wejść?

Radio milczało. Terroryści oznajmili, że będą monitorowali ten kanał, musieli słyszeć jej słowa. Sekretarz mogła przysiąc, że słyszy, jak wali serce w piersi pułkownika Motta. Z

pewnością słyszała bicie swego serca, słyszała je w głowie, w uszach...

Za podwójnych drzwi usłyszeli donośny trzask. Odpowiedziały mu stłumione krzyki.

Nagle otworzyły się te bliższe. Wypadł przez nie Szwed. Nie miał potylicy.

Pozostała na ścianie sali.

v Nowy Jork, sobota 22.30

Paul Hood opanował się i powrócił do kafeterii. Wszedł do środka w momencie, gdy na miejscu pojawili się przedstawiciele Służby Bezpieczeństwa Departamentu Stanu. Ponieważ wszyscy rodzice byli Amerykanami, amerykański ambasador przy ONZ zażądał, by przeniesieni zostali do biur Departamentu Stanu, znajdujących się po przeciwnej stronie Pierwszej Alei. Jako powód podano kwestie bezpieczeństwa, Paul podejrzewał jednak, że chodziło bardziej o kwestie suwerenności państwowej. Stany Zjednoczone nie chciały, by cudzoziemcy przesłuchiwali amerykańskich obywateli w sprawie terrorystycznego ataku na eksterytorialnym terenie. Stworzyłoby to niebezpieczny precedens, umożliwiający każdemu rządowi lub jego przedstawicielom przetrzymywanie Amerykanów bez oskarżenia ich o złamanie prawa krajowego lub międzynarodowego.

Rodzicom nie spodobał się pomysł przeniesienia z budynku, w którym przetrzymywano ich dzieci, wyszli jednak w towarzystwie zastępcy szefa Służby Bezpieczeństwa Departamentu Stanu, Billa Mohalleya. Hood uznał, że Mohalley ma około pięćdziesiątki.

Biorąc pod uwagę jego postawę – wyprostowane szerokie ramionami, szorstki, rozkazujący głos, zachowanie znamionujące pewność siebie – można było założyć, że trafił do dyplomacji z wojska. Upierał się, że własny rząd będzie ich lepiej chronił i lepiej informował. Była to, oczywiście, prawda, choć Paul miał pewne wątpliwości co do tego, ile rząd zdecyduje się im powiedzieć. Uzbrojeni terroryści przedostali się przez systemy bezpieczeństwa Ameryki i dostali się do gmachu ONZ. Jeśli cokolwiek zdarzy się dzieciom, rozpoczną się bezprecedensowe potyczki prawne.

Właśnie wychodzili z kafeterii, kiedy budynkiem wstrząsnął oddany w sali Rady Bezpieczeństwa strzał. Zatrzymali się jak wryci. Straszną ciszę przerwało tylko kilka stłumionych krzyków.

Mohalley rozkazał im, by jak najszybciej weszli po schodach na górę, przez kilka sekund rodzice nie byli jednak w stanie się poruszyć. Niektórzy zaczęli się buntować, chcieli wracać do centrum prasowego, by być bliżej dzieci. Poinformował ich, że teren ten został

odcięty przez Służbę Bezpieczeństwa ONZ i że nie mają możliwości powrotu. Nalegał, by przenieśli się w bezpieczne miejsce i dali mu szansę dowiedzenia się, co właściwie zaszło.

Poszli wreszcie dalej; kilka matek i kilku ojców płakało.

Paul Hood przytulił żonę. Mimo że sam miał miękkie nogi, pomagał jej wejść po schodach. Jeden strzał – najprawdopodobniej oznacza to zabójstwo zakładnika, pomyślał.

Zawsze wydawało mu się, że to najgorszy rodzaj śmierci; stracić wszystko tylko po to, by ktoś mógł wykazać, jaki jest zdeterminowany. Życie jako krwawy, lecz bezosobowy wykrzyk. Koniec miłości, koniec marzeń, jakby nie miały żadnego znaczenia. Nic straszniejszego nie dałoby się chyba wymyślić.

Kiedy znaleźli się w holu, Mohalley odebrał informację przez radiotelefon. Odszedł na bok, a rodzice wyszli na jaskrawo oświetlony park znajdujący się między budynkiem Zgromadzenia Narodowego a gmachem przy United Nations Plaza. Czekają już tam na nich dwóch asystentów Mohalleya.

Rozmowa okazała się krótka, przedstawiciel Departamentu Stanu wrócił i zajął miejsce z przodu grupy. Zatrzymał przechodzącego Hooda i spytał, czy mógłby z nim porozmawiać.

— Oczywiście. — Paul poczuł, jak robi mu się sucho w ustach. — Czy to był zakładnik? Ten strzał?

— Tak, proszę pana. Zabili jednego z dyplomatów.

Paul Hood poczuł jednocześnie radość... i mdłości. Dostrzegł, że Sharon przystanęła, więc gestem nakazał jej iść dalej i zasygnalizował, że wszystko w porządku. W tym wypadku

„w porządku” było określeniem co najmniej dwuznacznym.

— Proszę pana — powiedział Mohalley — sprawdziliśmy pobieżnie akta wszystkich rodziców i dowiedzieliśmy się z nich, że jest pan szefem Centrum...

— Złożyłem dymisję...

— To także wiemy, ale pańska dymisja nabiera mocy dopiero za dwanaście dni. A tymczasem mamy poważny problem, który mógłby pan nam pomóc rozwiązać.

— Jaki problem? — Hood spojrzał mu wprost w oczy.

— Nie mogę powiedzieć.

Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że dostanie odpowiedź na swoje pytanie.

Departament Stanu paranoicznie wręcz troszczył się o kwestie bezpieczeństwa, przynajmniej poza swą siedzibą. Prawdę mówiąc, miał do tego prawo. Byli tu wszyscy delegaci i przedstawiciele wszystkich konsulatów, gotowi w każdy dostępny sposób dopomóc rządowi swych krajów. Oznaczało to użycie wszystkich środków, od tradycyjnego podsłuchiwanie po elektronikę, by tylko poznać treść wszelkich rozmów,

— Rozumiem. Ale dotyczy... tego?

— Tak, proszę pana. Proszę ze mną. — Prośba ta zabrzmiała bardziej jak rozkaz.

— A co z moją żoną? — Hood rozejrzał się dookoła.

— Poinformujemy ją, że potrzebowaliśmy pańskiej pomocy. Na pewno zrozumie.

Bardzo pana proszę, to naprawdę pilna sprawa.

Paul Hood patrzył wprost w stalowe oczy Mohalleya. Pomyślał o Sharon i o poczuciu winy, jakie miał w stosunku do niej i nagle zapragnął powiedzieć temu człowiekowi „Idź do diabła!”. Lowell Coffey III powiedział kiedyś: „Potrzeby państwa mają pierwszeństwo przed potrzebami majątkowymi”. Z tego przecież powodu zrezygnował ze służby rządowej.

96

Właśnie zastrzelono człowieka, mordercy mieli w rękach jego córkę, powinien więc być z żoną.

A jednak nie miał najmniejszej ochoty siedzieć i patrzeć, jak inni coś robią. Jeśli w jakiś sposób może pomóc Harleigh, jeśli może zebrać jakieś informacje, które przydadzą się Rodgersowi i Iglicy, to powinien brać się do roboty.

Miał tylko nadzieję, że Sharon zrozumie.

— Dobrze — powiedział głośno.

Obrócili się i szybkim krokiem ruszyli w stronę dziedzińca. Szli w kierunku Pierwszej Alei, zablokowanej przez radiowozy policyjne od Czterdziestej Drugiej do Czterdziestej Siódmej Ulicy. Dalej widać było ścianę światła, świadczącą o obecności ekip telewizyjnych.

Wzdłuż alei stały trzy wozy policyjnych jednostek antyterrorystycznych. Własnym samochodem przyjechał też zespół saperów. W powietrzu krążyły helikoptery jednostki powietrznej policji nowojorskiej, oświetlające teren potężnymi reflektorami. Z wieżowców stojących po przeciwnej stronie alei nadal ewakuowano personel administracyjny i dyplomatów.

W jasnym świetle reflektorów Paul Hood dostrzegł swą upiornie bladą żonę, którą wraz z innymi rodzicami prowadzono na drugą stronę ulicy. Oglądała się, szukała go wzrokiem.

Pomachał do niej, ale natychmiast odgrodziły ich wozy policji, stojące po tej stronie ulicy, po której znajdował się gmach ONZ.

Mohalley poprowadził go na wschód, w stronę Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie czekał

już na nich czarny samochód Departamentu Stanu. Usiedli na tylnym siedzeniu. W pięć minut później, odnowionym tunelem Queens–Midtown wyjechali z Manhattanu.

Paul słuchał słów Mohalleya, a to, co usłyszał, sprawiło, że skulił się jak po faulu. Ktoś zmusił go właśnie do zrobienia kroku w bardzo złym kierunku.

v Nowy Jork, sobota 22.31

Usłyszawszy strzał w sali Rady Bezpieczeństwa, pułkownik Mott natychmiast wysunął się przez sekretarz generalną. Gdyby rozległy się kolejne strzały, odepchnąłby ją tam, gdzie stali jego ludzie.

Nikt jednak nie strzelał. W powietrzu unosił się zapach prochu, w uszach dzwoniło im od huków, a serca ścisnęła groza.

Sekretarz generalna Chatterjee stała nieruchomo, patrząc przed siebie. Mantra nie zdała się na nic. Zginął człowiek, a wraz z nim umarła nadzieja.

Śmierć oglądała na filmach, których producentem był ojciec. Widziała skutki masowych mordów zwierząt na filmach wideo, produkowanych przez grupy obrońców praw człowieka. I jedno, i drugie dalekie były od nieludzkiej grozy morderstwa. Spojrzała na ciało, leżące bezwładnie na podłodze. Widziała otwarte oczy i usta; martwa twarz z przylegającym do posadzki, rozplaszczonym policzkiem, zwrócona w jej stronę, wydawała się być zrobiona z gliny. Dłonie mężczyzny ukryte były pod ciałem, stopy miał odwrócone w przeciwnych kierunkach. Gdzie podziała się godność, którą podobno każdy z nas niesie w sobie przez cykle wieczności.

— Zabierzcie go stąd — rozkazał Mott, zapewne już po sekundzie, może dwóch, ale te sekundy wydawały się bardzo, bardzo długie. — Nic się pani nie stało?

Chatterjee tylko skinęła głową.

Podeszli sanitariusze z noszami i położyli na nich ciało delegata. Jeden z nich przyłożył

zwitek gazy do strasznej rany głowy, bardziej z poczucia przyzwoitości, niż by pomóc człowiekowi, któremu przecież już nie można było pomóc.

Ludzie stojący za szeregiem strażników znieruchomieli w milczeniu. Spojrzeli na nią, a ona spojrzała na nich. Twarze mieli przeraźliwe blade. Dyplomaci na co dzień zajmują się przerażającą rzeczywistością, ale z rzadka tylko doświadczenia jej bezpośrednio.

Minęła długa chwila, nim Mala Chatterjee przypomniała sobie, że trzyma w ręku radiotelefon. Opanowała się błyskawicznie.

— Dlaczego uznaliście to za konieczne? — przemówiła do mikrofonu.

— Tu Sergio Contini — rozległ się po chwili załamujący się, zdyszany, w niczym nie przypominający normalnego, silnego i dźwięcznego, głos delegata włoskiego.

Mott spojrział na panią sekretarz. Wargi miał zaciśnięte, jego ciemne oczy płonęły gniewem. Najwyraźniej wiedział już, co usłyszy.

— Proszę mówić, *signore* Contini. — W odróżnieniu od pułkownika, sekretarz generalna nie pożegnała się jeszcze z nadzieją.

— Kazano mi powiedzieć wam, że będę następną ofiarą. — Włoch mówił powoli, głos mu się łamał. — Zostanę zastrzelony... — przerwał, musiał odchrząknąć — ...dokładnie za godzinę. Nie będzie łączności.

— Proszę powiedzieć tym ludziom, że chcę wejść do środka. Proszę powiedzieć im, że chcę...

— Przestali słuchać — przerwał jej Mott.

— Co?

Pułkownik wskazał jej czerwoną kontrolkę umieszczoną na górze radiotelefonu.

Kontrolka zgasła.

Chatterjee powoli opuściła rękę. Myli się, pomyślała. Nie przestali, oni w ogóle nie zaczęli słuchać.

— Kiedy dostaniemy obraz z sali? — spytała.

— Zaraz wyślę kogoś na dół, żeby to sprawdził. Utrzymujemy ciszę radiową na wypadek, gdyby nas podsłuchiwali.

— Rozumiem. — Oddała mu radiotelefon.

Pułkownik wysłał jednego ze swych ludzi na dół, dwóm innym rozkazał zmyć krew Szweda. Gdyby przyszło im zaatakować, nie chciał, by ktoś się na niej poślizgnął.

Niektórzy ze stojących za kordonem dyplomatów próbowali wysunąć się z szeregu, strażnicy ich jednak zatrzymali. Mott wyjaśnił, że nie chce, by ktokolwiek zablokował

korytarz prowadzący z sali Rady Bezpieczeństwa. Gdyby któremuś z zakładników udało się uciec, chciał zapewnić mu bezpieczeństwo.

Chatterjee tymczasem odwróciła się i podeszła do wielkiego okna, wychodzącego na frontowy dziedziniec. Zazwyczaj widać było przez nie mnóstwo ludzi, nawet o tej godzinie: działała fontanna, jeździły samochody, ludzie biegali lub wyprowadzali na spacer psy, w budynku po przeciwnej stronie ulicy świeciły się światła. Teraz znad centrum Manhattanu usunięto nawet helikoptery; nie z powodu niebezpieczeństwa wybuchu na terenie, lecz dlatego, że terroryści mogli mieć współników. Zdaje się, że wstrzymano nawet ruch barek i łodzi na East River.

Martwy świat. I ona czuła się, jakby była martwa.

Oddychała szybko, nierówno. Tłumaczyła sobie, że nie mogła zrobić nic, by zapobiec śmierci zakładnika. Nie zdołaliby zebrać okupu, nawet gdyby na jego wypłacenie zgodziły się 99

wszystkie zainteresowane rządy. Nie mogli zaatakować Rady Bezpieczeństwa, nie ponosząc strat. Nie mogli negocjować, chociaż próbowali.

I nagle uświadomiła sobie, co zrobiła źle. Popęłniła jeden drobny, lecz jakże ważny błąd.

Podeszła do stojących teraz spokojnie za kordonem dyplomatów i poinformowała ich, że wraca do sali konferencyjnej, by poinformować o morderstwie rodzinę zabitego. Oznajmiła też, że potem tu wróci.

— Po co? — spytała ambasador Fidzi.

— Po to, by zrobić to, od czego powinnam zacząć — odpowiedziała i ruszyła w kierunku windy.

v Nowy Jork, sobota 22.39

Po zabiciu Szweda Reynold Downer podszedł do Georgijewa. Kilkoro dzieci płakało, Włoch modlił się, ale poza tym w sali panowała cisza. Pozostali zamaskowani napastnicy nie ruszyli się z miejsca.

Stał tak blisko, że Bułgar czuł jego oddech spod maski. Na materiale widać było drobne krople krwi.

— Musimy porozmawiać — szepnął Australijczyk.

— Wracaj na miejsce.

— Posłuchaj mnie! Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem w korytarzu dwudziestu pięciu uzbrojonych i ukrytych za tarczami ludzi.

— Eunuchy! — parsknął Georgijew. — Nie zaryzykują ataku. Przecież rozmawialiśmy o tym.

— Wiem. — Australijczyk zerknął na bezpieczny telefon w torbie leżącej na podłodze.

— Ale twój kontakt powiedział, że tylko Francja zgodziła się zapłacić. Nie mamy wśród zakładników tej cholernej sekretarz generalnej, a planowaliśmy, że ją dostaniemy.

— Mieliśmy pecha, ale przecież w gruncie rzeczy nic się nie stało. Poradzimy sobie bez sekretarz.

— Nie rozumiem, jak.

— Przeczekamy ich. Kiedy Stany Zjednoczone zaczną martwić się o dzieciaki, zapłacą za siebie i za inne kraje. Potrącą sobie z długu wobec ONZ, znajdą jakiś sposób zapłacenia nam tak, by zachować twarz. A teraz masz wrócić na miejsce i robić co do ciebie należy.

— Nie zgadzam się. Uważam, że powinniśmy podgrzać atmosferę.

— Po co? Mamy czas, żywność, wodę...

— Nie o to mi chodzi!

Georgijew obrzucił Downera gniewnym spojrzeniem. Australijczyk zaczął hałasować.

Dokładnie tego należało się po nim spodziewać. Rytualna próba konfrontacji, sprzeciw dla samego sprzeciwu; wszystko tak przesądzone i tak przewidywalne jak japoński teatr kabuki.

Tyle że trwało za długo i robiło się za głośne. Był gotów zastrzelić Downera, zastrzelić 101

każdego ze swych ludzi... gdyby zaszła taka konieczność. Miał nadzieję, że Downer zobaczy to w jego oczach.

I chyba zobaczył, bo odetchnął głęboko i uspokoił się.

— Twierdzą tylko — powiedział cicho — że te sukinsyny zdaje się nie rozumiały, co im powiedzieliśmy. Nie pojęli, że chcemy forsę, nie gadania. Chatterjee próbowała negocjacji.

— Przecież tego właśnie się spodziewaliśmy. I zamknęliśmy jej gębę.

— Na razie. Spróbuje znowu. Ci cholerni idioci potrafią tylko gadać.

— I nigdy niczego tym gadaniem nie osiągnęli. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Zgodzą się. Nie mają wyjścia.

Downer nadal trzymał w ręku broń, z której zastrzelił zakładnika. Potrząsał nią podczas przemowy.

— Nadal sądzę, że powinniśmy odkryć, co planują te sukinsyny i pchnąć ich do działania. Może po załatwieniu Włocha zaczniesz podawać im dzieciaki? Możemy spróbować tortur, niech ci na korytarzu usłyszają krzyki. Jak ci Czerwoni Khmerzy w Kambodży, którzy złapali psa i cięli go żywcem na kawałki, żeby wyciągnąć z ukrycia rodzinę? Jak ich przyciśniemy, zaczną się śpieszyć.

— Wiedzieliśmy, że trzeba będzie trochę postrzelać, by zwrócić na siebie ich uwagę —

szeptał Georgijew. — Wiedzieliśmy, że nawet jeśli zgodzą się poświęcić delegatów, USA nie dopuszczą do śmierci dzieci. Nie zaryzykują ani ataku, ani bezczynności. A teraz rozkazuję ci po raz ostatni: wracaj na miejsce. Działamy zgodnie z planem.

Downer sapnął, zaklął i wrócił na miejsce. Georgijew przeniósł uwagę na zakładników.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidział. Australijczyk nie należał do ludzi cierpliwych, ale konflikty i starcia w efekcie tylko wzmacniały zespół.

Wszędzie z wyjątkiem Narodów Zjednoczonych, pomyślał z ironią. A to z bardzo prostego powodu. ONZ wołała pokój od zysków. Wołała pokój od możliwości sprawdzenia swej siły. Wołała pokój od życia! On sam miał zamiar walczyć, póki nie podda się temu pokojowi, przed którym nie da się uciec, temu pokojowi, któremu poddaje się w końcu każdy człowiek.

v Nowy Jork, sobota 23.08

Wielki C-130 stał z wyłączonymi silnikami na pasie przed terminalem piechoty morskiej na lotnisku LaGuardia. Kiedy otwierano to lotnisko w 1939 roku, terminal *marines* był głównym terminalem lotniska. Zbudowano go nad lśniącoymi wodami zatoki Jamaica dla pasażerów latających łodzi, głównego środka komunikacji lotniczej w latach trzydziestych i czterdziestych.

Dzisiaj ten budynek w stylu Art Deco zasłaniają główny terminal lotniska i terminale poszczególnych linii, lecz w czasie swej świetności było inaczej. Na czarny asfalt pasów startowych wychodzili politycy i światowi przywódcy, gwiazdy filmowe i znani artyści, słynni wynalazcy i podziwiani podróżnicy. Najczęściej witały ich w Nowym Jorku światła lamp błyskowych fotografów, do miasta zabierały limuzyny.

Dziś terminal Marines był świadkiem powstawania zupełnie innej historii. Jedenastu żołnierzy Iglicy i generał Mike Rodgers stali na pasie, otoczeni przez kilkunastu żandarmów.

Paul Hood zatrzęsł się z wściekłości, kiedy ich zobaczył, dosłownie wbił palce w siedzenia samochodu.

Mohalley wyjaśnił mu, że żandarmi przylecieli helikopterem z Fort Monmouth w New Jersey.

— Zgodnie z podanymi mi informacjami — tłumaczył — kongresowa Komisja Nadzoru Wywiadu odmówiła pańskiej Iglicy pozwolenia na udział w rozwiązywaniu tego kryzysu. Przewodniczącemu Komisji nie podobała się opinia o tej jednostce, jako zbyt często naginającej obowiązujące zasady, więc skontaktował się bezpośrednio z prezydentem.

Najwyraźniej nikt nie wziął pod uwagę opinii o Iglicy jako zawsze odnoszącej sukcesy, pomyślał z goryczą Paul.

— Prezydent zadzwonił do Mike Rodgersa i wściekł się, gdy mu powiedziano, że jednostka już jest w powietrzu. Natychmiast zadzwonił do pułkownika Kennetha Morningside'a, komendanta Fort Monmouth. Wcale mnie nie zdziwiło, że przyjął tak twardą linię. W kwadrans po tym, jak terroryści wdarli się do gmachu ONZ, przyszedł rozkaz od Departamentu Stanu: żadna jednostka wojskowa nie ma prawa postawić nogi na terenie ONZ.

Zdaje się, że nowojorska policja też dostała takie polecenie. O pomoc sekretarz generalna musi zwrócić się na piśmie, zakres działania musi zaaprobować oficer dowodzący jednostką.

Słyszac te słowa, Paul zaczął jeszcze bardziej martwić się o Harleigh i resztę dzieci.

Jeśli Iglicy nie wolno ich ratować, to kto miałby tego dokonać? Rozpacz zmieniła się jednak w szalony gniew, kiedy zobaczył Mike'a Rodgersa, Bretta Augusta i resztę oddziału otoczonych przez żandarmerię. Iglica, jej żołnierze, mężczyźni i kobiety, wielokrotnie wykazali bohaterstwo w walce i

nie wolno ich było traktować jak przestępców.

103

Wyskoczył z samochodu i biegiem ruszył w ich kierunku. Za nim biegł Mohalley. Od zatoki wiał ostry, słony wiatr i Mohalley musiał przytrzymać dłońmi czapkę, którą próbował zerwać mu z głowy. Hood nie czuł tego wiatru. Opanował go gniew, silniejszy niż strach i rozpacz. Mięśnie miał napięte, głowa mu płonęła. A jednak nie wściekał się wyłącznie na tę żalospną scenę, którą miał przed oczami, i na nieuleczalną nieskuteczność ONZ. Jak płonąca ropa, jego furia rozlewała się we wszystkich kierunkach. Był wściekły na Centrum, które zabrało mu tyle życia, na Sharon za to, że nie pomagała mu tak, jak mogła i powinna, i na samego siebie za to, że nie potrafił sobie z tym wszystkim poradzić.

Na jego spotkanie wyszedł pułkownik Solo, dowódca żandarmerii bazy. Był to niewysoki, potężnie zbudowany, łysiejący mężczyzna przed czterdziestką. Wzrok miał stanowczy i bardzo zdecydowany wyraz twarzy.

Mohalley dogonił Paula Hooda i przedstawił się pułkownikowi. Potem próbował

przedstawić mu dyrektora Centrum, ale Paul minął już oficerów i podszedł do otaczającego Iglicę pierścienia żandarmów. Pułkownik zmarszczył brwi i ruszył za nim. Mohalley szedł za pułkownikiem.

Hood w ostatniej chwili zatrzymał się i nie próbował przecisnąć między żandarmami, stanął jednak bardzo blisko nich. Zachował na tyle przytomność umysłu, by uświadomić sobie, że jeśli zacznie się z tymi ludźmi kłócić, to przegra z kretelem.

Pułkownik wcisnął się między niego i swoich ludzi.

— Przepraszam pana...

— Mike, nic ci nie jest? — przerwał mu Paul.

— Bywało się w gorszych miejscach.

Była to niewątpliwa prawda. Rzeczywiście, nie warto tracić panowania nad sobą.

— Panie Hood! — powiedział z naciskiem pułkownik.

— Panie Solo — Paul spojrzał mu prosto w oczy — ci żołnierze odpowiadają przede mną. Jakie są pańskie rozkazy?

— Rozkazano nam dopilnować, by wszyscy żołnierze Iglicy wrócili na pokład *C-130* i pozostali na posterunku, dopóki maszyna nie wylądje w Andrews — wyrecytował Solo.

— Doskonale. — Paul Hood nie ukrywał obrzydzenia. — Niech sobie Waszyngton likwiduje ostatnią szansę dla ONZ...

— To nie ja podjąłem tę decyzję, proszę pana — usprawiedliwił się Solo.

— Oczywiście, pułkowniku. I nie wściekam się na pana. — Mówił prawdę, wściekał się na wszystkich. — Znalazłem się jednak w sytuacji wymagającej obecności mojego zastępcy, generała Rodgersa. Generał nie jest członkiem oddziału Iglica.

Pułkownik przyjrzał się im obu, najpierw jednemu, potem drugiemu.

104

— Jeśli to prawda, moje rozkazy nie dotyczą generała — przyznał.

Rodgers natychmiast przeszedł przez kordon i stanął obok przyjaciela. Mohalley przyjrzał mu się nieżyczliwie.

— Zaraz, zaraz... ogólny rozkaz, który ja dostałem, dotyczy całości personelu bezpieczeństwa i wojskowego, w tym także generała Rodgersa. Muszę wiedzieć, jaka to sytuacja wymaga jego obecności.

— To sprawa osobista.

— Jeśli związana jest z tym, co dzieje się w ONZ...

— Jest związana. Terrorysty przetrzymują jako zakładniczkę moją córkę. Mike Rodgers jest jej ojcem chrzestnym.

Mohalley spojrział na generała.

— Ojcem chrzestnym... — powtórzył.

— Tak jest — przytaknął Rodgers.

Paul Hood milczał. Nie miało najmniejszego znaczenia, czy funkcjonariusz Departamentu Stanu im uwierzy. Gra toczyła się tylko o to, by pozwolono Mike'owi pójść z nim.

— Do poczekalni wolno mi wpuścić tylko najbliższą rodzinę.

— W takim razie ja nie pójde do tej pańskiej poczekalni syknął Hood przez zaciśnięte zęby. Miał tego wszystkiego szczerze dość. Nigdy jeszcze nie uderzył człowieka, ale jeśli ten urzędnik nie cofnie się, to będzie pierwszy.

Rodgers stał tuż przed Solo, wpatrując się w przyjaciela. Przez długą chwilę słychać było wyłącznie

świsł wiatru, przeraźliwy w panującej wokół martwej ciszy.

— W porządku, proszę pana — zdecydował Mohalley. — Nie mam zamiaru kruszyć kopii w tej sprawie.

Paul dopiero teraz zadał sobie sprawę z tego, że wstrzymywał oddech.

— Podrzucić pana do miasta? — spytał Mohalley.

— Będę panu bardzo wdzięczny.

Generał nie spuszczał wzroku z Paula, który nagle poczuł się tak, jakby siedział w swoim gabinecie w Centrum. Znalazł się w środowisku, w którym czuł się jak ryba w wodzie, wśród oddanych przyjaciół i współpracowników. Bogu niech będą dzięki. Mimo wszystkiego, co przeszedł i co go jeszcze czekało, znów czuł się sobą.

105

Rodgers odwrócił się i spojrzał na żołnierzy Iglicy. Wszyscy stali na baczność.

Pułkownik August zasalutował mu. Generał odsalutował. Następnie, na komendę pułkownika, Iglica powróciła na pokład *C-130*, krąg żandarmów rozerwał się, by zrobić im przejście.

Hood, Rodgers i Mohalley wrócili do samochodu.

Paul Hood nie miał żadnego planu i nie potrafił sobie wyobrazić, by miał go Mike Rodgers. Cokolwiek planował generał, cokolwiek chciał zrobić, z pewnością zamierzał

wykorzystać Iglicę. Mimo to, siedząc w samochodzie oddalającym się od lotniskowego terminalu i wielkiego *C-130*, Paul Hood zaczął się powoli uspokajać. I wpływ na to miała nie tylko obecność Rodgersa. Przypomniawszy sobie starą prawdę, która potwierdzała się kilkakrotnie w czasach, kiedy kierował Centrum: plany opracowane w chwilach spokoju, bardzo rzadko sprawdzały się podczas kryzysów.

Było ich tylko dwóch, za nimi stał jednak najlepszy oddział wojskowy świata; z pewnością coś wymyślą.

Prawdę mówiąc, nie mają wyboru.

106

v Nowy Jork, sobota 23.11

— Pod żadnym warunkiem nie mogę pani na to pozwolić! — Pułkownik Mott dosłownie wrzeszczał na sekretarz generalną, Male Chatterjee. — Przecież to szaleństwo!

Nie, gorzej niż szaleństwo! To samobójstwo!

Stali przy stole w sali konferencyjnej. Zastępca sekretarz generalnej Takahara i podsekretarz Javier Olivio stali kilka metrów dalej, przy zamkniętych drzwiach. Sekretarz generalna zakończyła właśnie rozmowę z Gertrud Johansen, żoną delegata szwedzkiego, którą zastała w jej domu w Sztokholmie. Jej mężowi towarzyszyła na przyjęciu asystentka, Liv, pozostająca zakładniczką terrorystów. Pani Johanson miała przylecieć do Nowego Jorku najszybciej jak to tylko możliwe.

Smutne to, a zarazem ironiczne, pomyślała Chatterjee. Tyle żon polityków dołącza do mężów dopiero po ich śmierci. Ciekawe, czy ze mną będzie podobnie, kiedy wyjdę za mąż.

Uznała, że prawdopodobnie tak.

— Pani sekretarz, proszę obiecać mi, że rozważy pani jeszcze swą decyzję — poprosił

pułkownik Mott.

O tym jednak nie mogło być nawet mowy. Chatterjee głęboko wierzyła, że postępuje słusznie i z powodu tejże wiary nie mogła zmienić postępowania. Była to jej *dharma*, święty obowiązek, wzięła go na swe barki, decydując się żyć tak jak żyła.

— Rozumiem pańskie obawy i dziękuję — powiedziała. — Moim zdaniem jednak jest to najlepsze wyjście w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

— I tu się pani myli. Za parę minut będziemy mieli obraz z sali Rady Bezpieczeństwa.

Wystarczy, że przeanalizuję go przez pół godziny i moi ludzie będą gotowi do ataku.

— A tymczasem zginie ambasador Contini.

— Ambasador Contini zginie tak czy inaczej.

— Nie przyjmuję tego do wiadomości — zaprotestowała Chatterjee.

— To dlatego, że jest pani politykiem, nie żołnierzem. Ambasador należy do kategorii, którą określamy mianem „strat operacyjnych”. Nazywamy tak żołnierza lub jednostkę wojskową, której nie można pomóc we właściwym czasie, nie ryzykując bezpieczeństwa operacji. Więc nie próbuje się mu pomóc, bowiem jest to po prostu niemożliwe.

— Nie mówimy tu o bezpieczeństwie oddziału, pułkownikowi Mott, a wyłącznie moim.

Idę do sali Rady Bezpieczeństwa. I wejdę do środka.

Mott potrząsnął gniewnie głową.

— Moim zdaniem robi to pani, by się ukarać, pani sekretarz, a nie ma pani po temu żadnego racjonalnego powodu. Postąpiła pani właściwie, porozumiewając się z terrorystami przez radio.

— Nie. Postąpiłam krótkowzrocznie. Nie pomyślałam o kolejnym kroku.

— Łatwo powiedzieć to teraz — wtrącił Takahara. — Nikt z nas nie wpadł na lepszy pomysł. A gdybyśmy mieli dyskutować pani postanowienie, ja bym się mu sprzeciwił.

Mala Chatterjee spojrzała na zegarek. Od kolejnego podanego przez terrorystów terminu dzieliło ich zaledwie dziewiętnaście minut.

— Panowie, podjęłam ostateczną decyzję — oznajmiła.

— Oni po prostu panią zastrzelą — ostrzegł ją Mott. — Najprawdopodobniej mają przy drzwiach kogoś, kogo zadaniem jest strzelanie do wszystkich ludzi próbujących dostać się do środka.

— Jeśli tak, to być może uznają zamordowanie mnie za wypełnienie groźby morderstwa o określonej godzinie. Być może uda mi się ocalić życie ambasadora Continiego. Wówczas o tym, co robić dalej, będzie decydował pan, panie Takahara.

— Co robić dalej? — powtórzył Mott. — Przecież jedyne, co możemy zrobić, to zaatakować tych bandytów. Jest jeszcze jedna sprawa, której pani nie rozważyła. Terroryci ostrzegli nas, że każda próba odbicia zakładników spowoduje uwolnienie gazu bojowego.

Mamy do czynienia z wyjątkowo delikatną sytuacją. Bardzo prawdopodobne, że uznają pani wejście do sali Rady za próbę ataku lub za dywersję przed atakiem mych sił.

— Porozmawiam z nimi przez drzwi. Wyjaśnię, że przychodzę bez broni.

— Powiedzielibyśmy dokładnie to samo, gdybyśmy chcieli zaatakować.

— Pułkownikowi, w tym przypadku zgadzam się z panią sekretarz — powiedział

Takahara. — Proszę pamiętać, że zagrożone jest nie tylko życie ambasadora Continiego. Jeśli wkroczy pan do sali Rady Bezpieczeństwa na czele uzbrojonych ludzi, zginie wielu zakładników, zginą pańscy ludzie, by nie wspomnieć już o niebezpieczeństwie uwolnienia gazu.

Chatterjee znów spojrzała na zegarek.

— Nie mamy czasu na dalszą dyskusję — oznajmiła.

— Pani sekretarz, czy zgodzi się pani przynajmniej włożyć kamizelkę kuloodporną? — spytał Mott.

108

— Nie. Muszę tam wejść z nadzieją, ale i z zaufaniem.

Wyszła na korytarz. Pułkownik szedł tuż za nią.

Mimo nadziei, której tak dobitny wyraz dała w sali konferencyjnej, Mala Chatterjee zdawała sobie sprawę z tego, że idzie na spotkanie ze śmiercią. Świadomość tego, że pozostało jej być może zaledwie kilka minut życia, wyostrzyła jej zmysły, zmieniła także nie do poznania jakże znajome otoczenie. Dźwięki i zapachy stały się nagle bardzo wyraźne, nawet jej kroki po płytkach korytarza wydawały się odbijać echem. Po raz pierwszy w swej krótkiej karierze sekretarz generalnej ONZ nie czuła się też skrępowana rozmowami, dyskusjami, omawianiem kwestii wojny, pokoju, sankcji i rezolucji. Było to doświadczenie skrajnie surrealistyczne.

Weszli do windy. Do podanego przez terrorystów terminu pozostało zaledwie pięć minut.

Pięć minut pozostało do kolejnej śmierci. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak strasznie brzmi to słowo.

109

v Nowy Jork, sobota 23.28

Georgijew stał między ramionami wielkiego stołu w sali Rady Bezpieczeństwa.

Obserwował delegatów, od czasu do czasu spoglądając na zegarek. Reszta jego ludzi nadal czuwała przy drzwiach, z jednym wyjątkiem. Barone klęczał pośrodku sali, tuż przed galerią, z opuszczonymi oczami. Kiedy do podanego przez nich terminu zostały dwie minuty, Bułgar obrócił się i spojrzał na Downera.

Australijczyk przechadzał się tam i z powrotem przed północnymi drzwiami górnej galerii. Obserwował dowódcę. Na dany przez niego znak ruszył w dół po schodach.

Niektórzy z mężczyzn i kobiet, siedzących na podłodze pomiędzy ramionami stołu, na ten widok jęknęli. Georgijew nienawidził słabości, uniósł więc lufę pistoletu i wymierzył w jedną z kobiet. Podobnie postępował z dziewczynami w Kambodży. Kiedy – jedna lub w grupie – przychodziły do niego grożąc, że go wydadzą, bo są źle traktowane albo dlatego, że płaci im mniej niż obiecał, nigdy nie odpowiadał na groźby. Po prostu unosił lufę pistoletu i mierzył w głowę tej, która mu groziła. Ta metoda nigdy go nie zawiodła. Dziewczyny otwierały szeroko oczy i usta, i po prostu zamierały.

Dopiero wówczas mówił: „Jeśli jeszcze raz mi się poskarżysz, zabiję cię. Jeśli spróbujesz uciec, zabiję cię i twą rodzinę”. Żadna się już więcej nie poskarżyła. Z ponad setki, które pracowały dla niego przez rok, musiał zastrzelić tylko dwie.

Szlochanie ustało jak ręką odjął. Georgijew opuścił broń. Płacz tolerował, byle bez hałasu.

Downer zdążył już niemal zejść ze schodów, kiedy Georgijew zauważył światełko mrugające na telefonie *TAC-SAT*. Zaskoczyło go to. Przed godziną rozmawiał z Susan Hampton; wówczas właśnie powiedziała mu, że sekretarz generalna ma zamiar spróbować negocjacji. Przez głowę przeleciała mu myśl, że Downer mógł jednak słusznie obawiać się ataku Służby Bezpieczeństwa ONZ, ale to przecież było niemożliwe. ONZ nigdy by tego nie zaryzykowała. Podeszedł do telefonu.

Susan była jego najbardziej ryzykowaną, ale i najważniejszą inwestycją. Kiedy po raz pierwszy spotkali się w Kambodży, zaimponowała mu ta niezależna, zdecydowana dziewczyna. W Phnom Pehn rekrutowała szpiegów dla CIA. Georgijew dzielił się z nią informacjami uzyskanymi przez jego dziewczęta od klientów, a także tymi, które otrzymał od swych ludzi wśród Czerwonych Khmerów. Płacił buntownikom za szpiegowanie dla niego, jemu płacili za szpiegowanie buntowników, więc przy okazji zarobił jeszcze, niewiele, ale zawsze coś.

Kiedy w 1993 roku skończyła się operacja pokojowa w Kambodży, odszukał Susan, chciał bowiem sprzedać jej nazwiska dziewcząt, które dla niego pracowały. Dowiedział się, że 110

została przeniesiona do Seulu i tam znów się z nią spotkał. Podczas tego spotkania wydała mu się bardziej rozgniewana niż ambitna. Kiedy wspomniał, że opuszcza armię dla sektora prywatnego, poprosiła, żeby pamiętał o niej, gdyby usłyszał o jakiś interesujących możliwościach.

Pamiętał.

Aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to Susie przekazała mu szczegółowy program uroczystości mającej odbyć się w gmachu ONZ, nie wiedział, czy się w ostatniej chwili nie wycofa. Był pewien, że go nie zdradzi, dał bowiem do zrozumienia, że wie, gdzie mieszkają jej rodzice, przysyłając dla niej kwiaty na ich adres podczas jej odwiedzin w czasie Bożego Narodzenia. Mimo wszystko jednak ostatnie godziny przed rozpoczęciem misji są czasem najgłębszych wątpliwości. Kiedy wszystkie plany zostają już ustalone i zaakceptowane, żołnierze patrzą w swe serce, by sprawdzić, czy są gotowi do ich zrealizowania.

Susan nie wycofała się. Była równie twarda jak każdy z jego ludzi na tej sali.

Włączył telefon.

— Mów — powiedział do słuchawki. Miała reagować wyłącznie na to jedno słowo.

— Sekretarz generalna znów do was idzie. Tylko tym razem planuje wejść do środka, na salę Rady Bezpieczeństwa. Ma nadzieję, że ją wypuścicie. — Georgijew uśmiechnął się, słysząc te słowa. — Jeśli nie, ma nadzieję, że poświęci się za tego Włocha.

— Pacyfiści zawsze chcą się za kogoś poświęcać... w teorii. Kiedy mają prawdziwą szansę, płaczą i błagają o życie. Co mówią jej doradcy?

— Pułkownik Mott i jeden z podsekretarzy generalnych doradzają uderzenie, kiedy tylko dostaną przekaz z wnętrza sali. Inni oficjele nie wyrażają zdania.

Georgijew spojrział na klęczącego Barone'a. Służby Bezpieczeństwa nie dostaną żadnych obrazów. Kiedy Susan poinformowała go o tej próbie, wysłał Urugwajczyka, by sprawdził, w którym miejscu przewiercana jest podłoga. Mieli zamiar przykryć kamerę, kiedy tylko się pokaże.

— Czy dyskutowano kwestię okupu?

— Nie.

— Nie szkodzi. Żadnych przekazów, kolejne trupy... już wkrótce spełnią nasze życzenia.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Szefostwo właśnie poinformowało mnie, że z Waszyngtonu przylatuje oddział uderzeniowy Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym.

— Iglica? — zdziwił się Georgijew. — Kto ich autoryzował?

— Nikt. Mają zamiar wykorzystać moje biuro na kwaterę. Jeśli dostaną pozwolenie od ONZ, mogą spróbować akcji.

Było to całkiem nieoczekiwane. Bułgar wiedział, że Centrum przeprowadziło bardzo przyzwoitą akcję w Rosji, przed przeszło rokiem, podczas próby zamachu stanu. Choć dysponował zarówno gazem paraliżująco–drgawkowym, jak i szczegółowym planem obrony sali, wcale nie pragnął użyć ani jednego, ani drugiego. No i to ONZ musiała udzielić oddziałowi pozwolenia na podjęcie działań. Gdyby udało mu się dopaść Chatterjee, zyskałby czas.

Podziękował Susan i przerwał rozmowę.

Pani sekretarz bardzo się przyda jako jeszcze jedna zakładniczka. Planował, że będzie ją miał jako obrończynię dzieci. Że poprosi narody świata o współpracę w ich uwolnieniu. Teraz jeszcze pomoże mu w powstrzymaniu akcji wojskowej. A kiedy przyjdzie czas, by się stąd wynosić, wraz z dziećmiakami będzie idealną tarczą.

Pojawił się Downer. Trzeba było teraz rozstrzygnąć ostatni problem: co zrobić w Włochem. Jeśli go zastrzelą, osłabią wiarygodność Chatterjee jako negocjatorki w ich imieniu, jeśli nie zastrzelą, okażą słabość.

Bułgar zdecydował, że wiarygodność pani sekretarz to nie jego problem. Skinął głową.

Patrzył, jak Australijczyk pcha przed sobą szlochającego mężczyznę.

v Nowy Jork, sobota 23,29

— Mają zamiar zrobić to jeszcze raz!

Brazowowłosa Laura Sabia siedziała po lewej ręce Harleigh Hood. Patrzyła przed siebie nic nie widzącym spojrzeniem i drżała znacznie bardziej niż przedtem. Harleigh położyła dłoń na jej dłoni i próbowała ją uspokoić.

— Zabiją go — powiedziała Laura.

— Ciii...

Barbara Mathis, zajmująca miejsce po prawej ręce Harleigh, obserwowała terrorystów.

Ta dziewczyna o kruczoczarnych włosach siedziała sztywno wyprostowana i sprawiała wrażenie bardzo napiętej. Harleigh doskonale wiedziała, co to oznacza. Barbara miała temperament choleryka; dostawała na przykład szału, kiedy jakiś hałas przerywał jej koncentrację. Najwyraźniej miała właśnie dostać takiego ataku, choć byłoby znacznie lepiej, gdyby zachowała spokój.

Patrzyły, jak zamaskowany mężczyzna prowadzi zakładnika po schodach. Na jednym ze schodów nieszczęśnik upadł, oparł się na rękach i płakał, powtarzając coś szybko, piskliwym głosem, po włosku. Zamaskowany mężczyzna, sądząc z akcentu, Australijczyk, złapał go za kołnierz i szarpnął mocno. Pod zakładnikiem ugięły się ramiona. Upadł. Terrorysta zaklął, przykucnął i włożył mu lufę pistoletu między nogi. Powiedział coś do zakładnika, który złapał

się krzesła i szybko poderwał na nogi. Poszli dalej.

Niedaleko miejsca gdzie siedziały, jakaś kobieta pocieszała inną. Tuliła ją, zasłaniając jej usta dłonią. Harleigh uznała, że tą pocieszaną jest żona mężczyzny, który miał za chwilę zginąć.

Laura trzęsa się tak strasznie, jakby przez jej ciało przepuszczono prąd elektryczny.

Harleigh nie widziała nigdy czegoś podobnego. Mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki.

— Musisz się natychmiast uspokoić — powiedziała cicho.

— Nie mogę... nie mogę oddychać. Muszę stąd wyjść.

— Wytrzymaj jeszcze trochę. Niedługo nas stąd wyciągną. Uspokój się. Zamknij oczy.

Spróbuj się odprężyć.

Ojciec powiedział kiedyś jej i bratu, że gdyby znaleźli się w podobnej sytuacji, przede wszystkim należy zachować koncentrację. Liczyć sekundy, a nie minuty lub godziny. Im dłużej przetrzymywani

szansa przetrwania. Gdyby pojawiła się możliwość ucieczki, powinna użyć zdrowego rozsądku. Pytanie, które trzeba sobie zadać brzmi nie: „Czy są szanse, że mi się uda?”, lecz

„Czy są szanse, że mi się nie uda?”. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, lepiej jest nie próbować.

Ojciec mówił także, że za wszelką cenę należy unikać nawiązania kontaktu wzrokowego z porywaczami. Gdyby do tego doszło, wyróżniliby ją z tłumu. Nie powinna także nic mówić, żeby uniknąć ryzyka powiedzenia czegoś nieodpowiedniego. A przede wszystkim powinna się odprężyć. Myśleć o różnych miłych rzeczach, jak w dwóch jej ulubionych musicalach:

„Piotrusiu Panie” i „Dźwiękach muzyki”.

— Laura? — powiedziała cicho.

Laura nie zareagowała.

— Laura, musisz mnie posłuchać.

Laura nic nie słyszała. Popadła w jakiś dziwny stan. Oczy miała szeroko otwarte, usta zaciśnięte.

Terrorysta i zakładnik byli już na samej górze.

Siedząca po jej drugiej stronie Barbara Mathis wydawała się być przeciwieństwem Laury. Była napięta niczym struna skrzypiec. Krzywiła wargi w uśmiechu, który Harleigh Hood znała doskonale.

Nagle Laura poderwała się z krzesła. Harleigh nadal trzymała dłoń na jej dłoni.

— Dlaczego nam to robicie?! Macie przestać! Natychmiast!

Harleigh delikatnie pociągnęła ją za rękę.

— Uspokój się...

Przywódca terrorystów stał w połowie schodów. Obejrzał się i spojrzał na nie płonącymi oczami.

Pani Dorn siedziała trzy krzesła dalej. Wstała powoli, ale pozostała za stołem.

— Siadaj! — rozkazała ostro.

— Nie! — Laura uwolniła rękę z uścisku przyjaciółki. — Dłużej tego nie zniosę! —

Pobiegła nagle, okrążając stół. Biegła w stronę drzwi po drugiej stronie sali, tych, których pilnował przywódca terrorystów.

I to on ruszył za nią w pościg. Zbiegał ze schodów. Pani Dorn też pobiegła za Laurą, cały czas krzycząc, żeby wracała. Terrorysta, stojący po przeciwnej stronie sali, pilnujący tam drzwi, opuścił swój posterunek i pobiegł za nimi. Australijczyk przystanął na szczycie schodów i przyglądał się rozgrywającej się w dole scenie.

114

Wszyscy przyglądali się tej pogoni. Cztery osoby dobiegły do drzwi niemal jednocześnie. Jeden z terrorystów złapał panią Dorn wpół, obrócił ją i cisnął na podłogę.

Przywódca dopadł Laurę, w momencie, gdy ta kładła dłoń na klamce.

Zatrzasnął drzwi ramieniem i odciągnął od nich dziewczynkę. Laura potknęła się, upadła, po czym wstała i pobiegła ku schodom. Cały czas krzyczała.

Drzwi były otwarte.

Myśl ta zapłonęła w głowie Harleigh jaskrawym światłem. Oczywiście, że drzwi były otwarte. Bandyci wpadli przez nie do środka i nie mieli kluczy, żeby je zamknąć. Otwierali drzwi, do których próbowała dobiec Laura, i te znajdujące się za nią. Na samym początku układali swoje rzeczy tam, w korytarzu.

Te drzwi znajdowały się jakieś sześć metrów za plecami jej i Barbary. To od nich odbiegł mężczyzna, który złapał Laurę.

W tej chwili nikt ich nie pilnował.

Przywódca terrorystów gonił Laurę. Pani Dorn upadła ciężko, ale teraz walczyła jak lwica z drugim terrorystą, napięcie musiało odebrać jej rozsądek. W odróżnieniu od Harleigh, która zachowała lodowaty spokój i pewność siebie. Myślała nie tylko o tym, że gdyby udało się jej uciec, prawdopodobnie ocalałaby życie, lecz także o tym, że na wolności byłaby źródłem tego, co wujek Herbert nazywał „danymi operacyjnymi”.

Obróciła się powoli i spod oka zerknęła na drzwi. Mogła ich dopaść błyskawicznie, w kilku krokach. W ciągu czterech lat dwukrotnie wygrywała szkolne biegi na pięćdziesiąt metrów. Z pewnością dobiegnie do drzwi, nim ktokolwiek zdoła ją powstrzymać. Za nimi musiało znajdować się przejście do sali Rady Gospodarczo-Społecznej. Widziała po tej stronie dwoje drzwi podczas zwiedzania, które zafundowano im przed koncertem.

Palcami prawej nogi ściągnęła pantofel z lewej stopy. Z drugim poszło równie łatwo.

Wszyscy przyglądali się zamieszaniu. Powoli, nie wstając, obróciła krzesło na jednej nodze, ustawiając się twarzą w stronę drzwi. Krótki bieg prosto do wolności.

— Nawet nie próbuj — ostrzegła ją cicho Barbara.

— Co?

— Wiem, o czym myślisz, ponieważ ja myślę o tym samym. Nawet nie próbuj. To ja ucieknę.

— Nie...

— Biegam szybciej od ciebie. Pokonałam cię dwa razy z rzędu.

— Siedzę dwa kroki bliżej.

Barbara pokręciła głową. Oczy jej płonęły, najwyraźniej podjęła nieodwołalną decyzję.

Harleigh nie miała pojęcia co robić. Nie chciała się z nią ścigać, tylko by sobie przeszkadzały.

115

Widziały, jak przywódca terrorystów złapał Laurę w połowie schodów. Podniósł ją i popchnął w dół. Dziewczynka stoczyła się po schodach aż na podłogę. Oszołomiona, powoli poruszała rękami i głową. Terrorysta pobiegł za nią. Barbara odetchnęła kilka razy powoli, płytko. Położyła dłonie na krawędzi drewnianego stołu. Czekala upewniając się, że nikt na nią nie patrzy. Nagle wystartowała do biegu.

Długa suknia krępowała jej nogi. Harleigh usłyszała dźwięk drącego się materiału. Jej przyjaciółka biegła, rytmicznie poruszając ramionami, wpatrzona w klamkę drzwi. Nie zwracała uwagi na ludzi, terrorystów i delegatów, krzyczących, żeby się zatrzymała.

Harleigh widziała, jak sięga do klamki.

Szybciej! — krzyknęła w myśli.

Barbara zatrzymała się i szarpnęła drzwi. Szczęknął zamek, drzwi się otworzyły i w tym momencie rozległ się przeraźliwy trzask. Pozostał w jej głowie, wypełnił ją jak pierwsze tony muzyki z nastawionego za głośno walkmana.

I nagle Harleigh zorientowała się, że jej przyjaciółka nie stoi, lecz klęczy z dłonią nadal na klamce. Puściła ją, jej ręka opadła bezwładnie...

Klęczała tak przez chwilę, a potem upadła na bok.

116

v Nowy Jork, sobota 23.30

Sekretarz generalna Chatterjee zatrzymała się jak wryta, usłyszawszy stłumiony strzał, paniczne krzyki, a zaraz po nich drugi strzał. Niemal jednocześnie otworzyły się drzwi prowadzące do sali Rady Bezpieczeństwa. Ciało ambasadora Continiego upadło na podłogę i drzwi się zamknęły.

Pułkownik Mott natychmiast do niego podbiegł; echo jego kroków przerwało panującą na korytarzu ciszę. Sanitariusze biegli tuż za nim.

Zwłoki zawsze eleganckiego, doskonale ubranego Continiego leżały na boku. Włoch wyglądał tak, jakby spał, oczy miał zamknięte, usta lekko rozchylone. Nie sprawiał wrażenia martwego, a w każdym razie nie tak, jak Johanson.

Pod jego policzkiem pojawiła się krew.

Mott przykucnął przy zwłokach. Uniósł głowę dyplomaty. Zamordowano go, jak Szweda, jednym strzałem w potylicę.

Sanitariusze przenieśli zwłoki na nosze. Chatterjee podeszła do drzwi prowadzących do sali Rady Bezpieczeństwa. Ominęła ciało, nawet na nie nie patrząc. Mott wstał i złapał ją za rękę.

— Proszę pani, przecież nikt nic nie zyska, jeśli pani tam teraz wejdzie. Za chwilę będziemy mieli obraz z sali, proszę poczekać...

— Poczekać? Czekałam aż nazbyt długo!

W tej właśnie chwili z sali Rady Gospodarczo–Społecznej wyszedł jeden ze strażników ONZ. Porucznik David Mailman przydzielony został do stworzonego naprędce, dwuosobowego zespołu prowadzącego rozpoznanie. Wraz z partnerem wyciągnęli z magazynu piętnastoletnie [RED*](#). [Zaprojektowano je do wykorzystywania linii telefonicznych](#) w ten sposób, by przechwytywały głosy ze słuchawek zespołów tłumaczy z każdego miejsca w sali Rady Bezpieczeństwa. Ponieważ zasięg nie przekraczał ośmiu metrów, musieli pracować z sąsiedniego pomieszczenia. Umieścili je w wąskim korytarzu prowadzącym do znajdującego się na piętrze centrum prasowego, wspólnego dla Rady Powierniczej i Rady Bezpieczeństwa.

— Panie pułkowniku — powiedział porucznik Mailman — naszym zdaniem ktoś właśnie próbował wydostać się z sali Rady Bezpieczeństwa. Przed pierwszym strzałem widzieliśmy, jak obraca się klamka i słyszeliśmy szczęknięcie zamka.

— Czy był to strzał ostrzegawczy?

— Naszym zdaniem nie, panie pułkowniku. Po strzale usłyszeliśmy jęk. — Porucznik opuścił głowę.

— To nie był jęk dorosłego człowieka. Głos był za wysoki.

— Jedna z dziewczynek? — westchnęła przerażona Chatterjee.

— Tego nie wiemy — stwierdził Mott. — Coś jeszcze, poruczniku?

— Nie, panie pułkowniku.

Młody oficer odszedł. Pułkownik zacisnął dłonie w pięści. Spojrzał na zegarek. Czekał

na informacje uzyskane ze światłowodowych kamer. Poprosił o bezpieczne telefony, które miała mu dostarczyć Służba Bezpieczeństwa Departamentu Stanu USA; póki ich nie dostanie, jego ludzie będą zmuszeni polegać wyłącznie na komunikacji bezpośredniej. Chatterjee nie widziała jeszcze mężczyzny sprawiającego wrażenie aż tak bezradnego.

Sekretarz generalna nadal stała przy drzwiach. Śmierć ambasadora Continiego nie sprawiła na niej wrażenia aż tak strasznego jak poprzednio śmierć Szweda, ale i tak nią wstrząsnęła. A może wstrząs ten spowodowały raczej słowa porucznika Mailmana?

Być może zastrzelili dziecko...

Zrobiła krok w stronę drzwi.

Mott złapał ją za rękę.

— Proszę, niech pani tego nie robi. Nie teraz!

— Wiem, że z zewnątrz nic nie możemy zrobić — odparła Chatterjee, zatrzymując się. — Jeśli pojawi się konieczność podjęcia jakiś działań, to i tak nie będzie mnie pan potrzebował. Tam, w środku, może będę mogła coś zrobić.

Mott przyglądał się jej przez długą chwilę, a potem puścił jej ramię.

— Widzi pan? — Hinduska uśmiechnęła się lekko. — To się nazywa dyplomacja.

Przekonałam pana.

Mott patrzył jej w oczy i nie sprawiał bynajmniej wrażenia przekonanego.

v **Nowy Jork. sobota 23.31**

Paul i Mike Rodgers siedzieli na tylnym siedzeniu samochodu. Mohalley zajął miejsce z przodu, obok kierowcy. Manhattan, do którego wracali, wydawał się Paulowi Hoodowi miejscem zupełnie innym od tego, które znał.

Gmach Sekretariatu ONZ sprawiał wrażenie bardziej rzeczywistego niż wówczas, gdy przyjechał tu z rodziną... czy rzeczywiście było to zaledwie wczoraj? Oświetlały go silne reflektory, umieszczone na dachach sąsiednich wieżowców, okna biur były jednak ciemne, przez co sam budynek sprawiał wrażenie martwego. Gmach ONZ nie przypominał mu już symbolu nietoperza na piersi Batmana. Nie był już żywym symbolem miasta.

Kiedy wyjechali z lotniska, nieco po jedenastej, Mohalley zadzwonił do swego biura, by dowiedzieć się, czy zaszło coś nowego. Asystent poinformował go, że, zgodnie z posiadanymi informacjami, od czasu pierwszej egzekucji nie zdarzyło się nic. Hood tymczasem przekazywał Rodgersowi wszystko, co wiedział. Jak zwykle, generał słuchał go uważnie i nie przerywał.

Wracali w milczeniu. Kiedy samochód wyjechał z tunelu na Manhattanie, Mohalley odezwał się do nich po raz pierwszy od czasu, gdy opuścili lotnisko.

— Gdzie chcecie wysiąść, panowie? — spytał.

— Wsiądziemy razem z panem — odparł Hood.

— Jadę do Departamentu Stanu.

— Doskonale — stwierdził Hood i umilkł. Nadal miał zamiar dotrzeć do lokalu operacyjnego CIA na United Nations Plaza, ale nie zamierzał informować o tym Mohalleya, któremu zresztą jego krótka odpowiedź najwyraźniej nie wystarczyła, choć nie kontynuował

tematu.

Wyjechali z tunelu na Trzydziestej Siódmej Ulicy. Jechali Pierwszą Aleją. Mohalley spojrzał na Mike'a Rodgersa.

— Chcę by pan wiedział, że cholernie nie podobało mi się to, co zaszło na lotnisku —

oznajmił. Generał tylko skinął głową. — Słyszałem o Iglicy. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że najlepiej byłoby posłać do środka waszych ludzi.

— To, co się dzieje, jest chore — stwierdził Paul. — Prawdopodobnie wszyscy są tego zdania, ale nikt nie wyda pozwolenia na akcję.

— Głupota jakich mało — przyznał Mohalley i w tym momencie zadzwonił jego telefon. — Setka głów, ani jednego mózgu.

Samochód zatrzymał się przy blokadzie policyjnej na Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Mohalley włączył telefon. Podeszło do nich dwóch policjantów, wyposażonych w pełny sprzęt do tłumienia zamieszek. Kierowca pokazał im przepustkę. Mohalley siedział

nieruchomo ze słuchawką telefonu przy uchu. Paul przyglądał się jego twarzy, oświetlonej blaskiem ulicznych latarni. Denerwował się tak, że z trudem siedział w miejscu. Spojrzał na kompleks budynków ONZ. Widziany z tej perspektywy gmach Sekretariatu na tle nocnego nieba wydawał się wielki i groźny. Gdzieś w trzewiach tego biało-niebieskiego potwora znajdowało się jego dziecko, takie kruche, takie delikatne, tak łatwo byłoby je skrzywdzić...

Mohalley wyłączył telefon.

— Co się stało? — spytał Hood.

— Zastrzelili kolejnego delegata. I prawdopodobnie, podkreślam: prawdopodobnie, także jedno z dzieci.

Paul Hood wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem. Nie od razu przetłumaczył

sobie „jedno z dzieci” na „być może Harleigh”. Uświadomił to sobie i nagle świat wokół

niego zamarł. Wiedział, że do końca życia nie zapomni poważnej twarzy funkcjonariusza Departamentu Stanu, rozbłysku jaskrawobiałego światła na szybie samochodu, wielkiego, ciemnego, górującego nad nimi gmachu. Na zawsze tak właśnie będzie wyglądał jego obraz utraconej nadziei.

— Jeden z członków ochrony ONZ, znajdujący się w przyległym pomieszczeniu, słyszał jak ktoś próbuje wydostać się przez boczne drzwi — dodał Mohalley. — Po strzale usłyszał krzyk i jęk.

— Macie jakieś dodatkowe informacje? — spytał Rodgers. Policja przepuściła ich samochód.

— Nie mamy łączności z salą Rady Bezpieczeństwa. Sekretarz generalna chce tam wejść.

Samochód podjechał do krawężnika i zatrzymał się.

— Mike — powiedział Hood — muszę iść do Sharon.

— Wiem. — Generał otworzył drzwi i wysiadł.

— Generale, nie pojedzie pan ze mną? — spytał Mohalley.

— Nie, nie pojedę. — Rodgers przesunął się, by zrobić miejsce dla wysiadającego przyjaciela. —

Niemniej dziękuję za propozycję.

Mohalley wręczył Hoodowi wizytówkę.

— Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić — powiedział.

120

— Dziękuję. Zadzwoń.

Urzędnik Departamentu Stanu najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Rodgers zatrzasnął drzwiczki samochodu i patrzył, jak odjeżdża od krawężnika, po czym spojrzał na przyjaciela.

Hood stał nieruchomo. Słyszał dobiegające z daleka odgłosy ruchu ulicznego i warkot helikopterów, wiszących nad rzeką i gmachem ONZ. Słyszał głosy policjantów i głucho plaśnięcia worków z piaskiem, rzuconych za drewniane wzmocnienia barykad na Czterdziestej Drugiej i Czterdziestej Siódmej Ulicy. Przedziwne, ale nie miał wcale wrażenia, że stoi na ulicy. Duchem nadal był w samochodzie, nadal wpatrywał się w twarz Mohalleya.

I nadal słyszał jego słowa: „Prawdopodobnie jedno z dzieci”.

— Paul — powiedział Rodgers. Hood przyglądał się budynkom, roztapiającym się w ciemnościach Pierwszej Alei. Zmuszał się, by oddychać. — Tylko mnie nie zostawiaj. Sharon potrzebuje cię teraz, ja będę potrzebował cię później.

Hood skinął głową. Mike miał rację. Ale nie potrafił zapomnieć o tej chwili, kiedy siedział w samochodzie i patrzył na ponurą twarz Mohalleya, zdał sobie sprawę z tego, co zaszło.

— Idę na drugą stronę ulicy — oświadczył Rodgers. — Brett spotka się ze mną w biurze CIA.

Te słowa przywróciły mu poczucie rzeczywistości. Szeroko otworzył oczy.

— Brett?

— Zobaczyliśmy żandarmów, kiedy samolot kołował do terminalu. Nietrudno było domyślić się, po co przylecieli. Brett powiedział, że jakoś się wydostanie i przyjedzie do lokalu operacyjnego CIA.

— Rodgers uśmiechnął się lekko. — Przecież go znasz. Nigdy się nie podda.

Hood nieco się uspokoił. Kimkolwiek była ofiara terrorystów, większość zakładników nadal żyła. Spojrzał na budynek Departamentu Stanu.

— Muszę iść — powiedział.

— Wiem. Opiekuj się nią.

— Masz numer mojego telefonu komórkowego i...

— Mam. Jeśli dowiemy się czegoś, jeśli wpadniemy na jakieś dobre pomysły, dam ci znać.

Paul Hood patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił się i ruszył w stronę budynku licowanego brązowym piaskowcem.

v Nowy Jork, sobota 23.32

Gdy pocisk dosięgnął Barbary Mathis, Georgijew odnosił spanikowaną dziewczynkę na miejsce. Downer, który strzelił, zbiegał właśnie z galerii. Barone także biegł na miejsce zdarzenia. To on krzyczał, każąc zatrzymać się Barbarze.

Nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo, żona jednego z delegatów z Azji wstała od stołu i podeszła do Barbary. Była wystarczająco mądra, by nie biec, a także zatrzymała się plecami do drzwi, sygnalizując w ten sposób, że nie zamierza uciekać. Bułgar nie kazał jej wrócić na miejsce. Kobieta odłożyła torebkę na ziemię, przyklękła i ostrożnie odciągnęła przesiąknięty krwią materiał od rany. Kula trafiła dziewczynkę w lewą część torsu na wysokość trzustki. Z niewielkiej rany ciekła krew. Barbara nie poruszała się. Skóra na jej chudych ramionach była przeraźliwie biała.

Georgijew był już blisko wielkiego stołu w kształcie podkowy. Zastanawiał się, czy to wszystko nie zostało zaplanowane – jedna dziewczynka biegnie z krzykiem, ściągając na siebie uwagę wszystkich, druga ucieka w przeciwnym kierunku i próbuje wydostać się z sali.

Jeśli tak, był to manewr mądry i niebezpieczny. Georgijew podziwiał jej odwagę. Problem w tym, że – jak niektóre dziewczęta pracujące dla niego w Kambodży – ona też nie zastosowała się do poleceń i musiała zostać za to ukarana.

Na nieszczęście większość zakładników niewiele chyba nauczyła się z tej lekcji. Stawali się niebezpiecznie pewni siebie. Niektórych popychał do działania strach, innych oburzenie z powodu tego, co stało się z dwoma delegatami i dziewczynką. Nawet wśród zakładników może działać psychologia tłumu, wykluczająca rozsądek. Gdyby ci ludzie teraz się na niego rzucili, musiałby strzelać, przez co osłabiłby swą pozycję, nie wspominając już o tym, że strzały i krzyki zapewne przyspieszyłyby interwencję Służby Bezpieczeństwa.

Oczywiście, strzelałby do nich, gdyby musiał. Tak naprawdę, by się stąd wydostać potrzebował wyłącznie dzieci. Gdyby przyszło co do czego, to tak naprawdę wystarczyłoby mu nawet jedno dziecko.

Dostrzegł, że wstaje jeszcze dwóch delegatów. I w tym problem – kiedy komuś pozwoliło się na odejście od zasad, to wszyscy inni nabierali przekonania, że im też wolno.

Bułgar cisnął oszołomioną Laurę na krzesło. Rozkazał wszystkim usiąść. Nie chciał, by za wielu zakładników stało, niektórzy mogliby nabrać ochoty do ucieczki.

— Przecież ta dziewczynka jest ranna — zaprotestował ktoś. — Potrzebuje pomocy!

Georgijew uniósł lufę pistoletu.

— Nie wybrałem jeszcze kandydata do kolejnego zabójstwa — oznajmił. — Nie ułatwiajcie mi

Mężczyźni usiedli. Ten, który mówił poprzednio, sprawiał wrażenie, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia, ale żona go uciszyła. Ten drugi przyglądał się Barbarze ze smutkiem. Po prawej siedziała żona Continiego, płacząc histerycznie. Jedna z kobiet tuliła ją do siebie.

Vandal przyprowadził opiekunkę dziewcząt, kazał jej usiąść i siedzieć cicho. Pani Dorn stwierdziła, że jest odpowiedzialna za Barbarę i z uporem powtarzała, że powinna się nią opiekować. Francuz popchnął ją na krzesło. Próbowwała wstać. Georgijew, wściekły, podszedł

bliżej. Szedł, mierząc jej w głowę z pistoletu. Vandal cofnął się.

— Jeszcze jedno słowo, a zginiesz — syknął przez zaciśnięte zęby.

Georgijew widział, jak rozszerzają się jej oczy i nozdrza. Ale, oczywiście, umilkła.

Usiadła powoli, niechętnie i całą uwagę skupiła na dziewczynce, która dostała ataku hysterii.

Vandal odczekał chwilę, po czym powrócił na posterunek. Downer podszedł do Georgijewa wraz z Barone'em. Urugwajczyk podszedł do Australijczyka.

— Oszalałeś? — warknął.

— Musiałem to zrobić — odparł Downer.

— Musiałeś? — Barone bardzo uważał, by nie podnieść głosu. — Przecież mieliśmy nie krzywdzić dzieciaków!

— Gdyby uciekła, wysłalibyśmy niewłaściwy sygnał.

— Słyszałeś, jak krzychałem, widziałeś, jak do niej biegłem. Dopadłbym ją, nim dobiegła do drzwi.

— Może tak, a może nie — wtrącił Georgijew. — Najważniejsze jest to, że nie uciekła.

A teraz obaj wracajcie na stanowiska. Zatroszczymy się o nią w swoim czasie.

Barone spojrział na niego wściekle.

— To przecież dziecko!

— Nikt nie kazał jej uciekać.

Urugwajczyk zamilkł, ale widać było, że aż gotuje się z gniewu.

— Mamy nieobstawione drzwi, a ty powinieneś pilnować tych kamer — powiedział

cicho Georgijew. — A może wolisz, żeby wszystkie nasze plany trafił szlag z powodu jednej panienki? — Niedbałym gestem wskazał Barbarę.

Downer chrząknął tylko i wrócił na galerię. Barone, nadal wściekły, pokręcił głową i zajął miejsce przy wyjściu na galerię.

Georgijew odprowadził ich wzrokiem. Czy mu się to podobało, czy nie, sytuacja uległa zmianie. Zbrodnia intensyfikuje reakcje, bliskie sąsiedztwo przez dłuższy czas powoduje, że 123

zaczynają grać emocje, a kiedy zdarzy się niespodziewany incydent, wszystko powoli diabli biorą.

— Musi mi pan pozwolić ją stąd odesłać.

Bułgar obrócił się. Tuż za nim stała opiekująca się ranną dziewczynką Azjatka. Nie słyszał nawet, kiedy się do niego zbliżyła.

— Nie — odparł natychmiast. Dał się rozproszyć okolicznościom i, oczywiście, musi się skupić, musi znów podporządkować sobie swych ludzi. Musi mocniej nacisnąć na ONZ. I wydawało mu się, że wie nawet, jak to zrobić.

— Wykrwawi się na śmierć — ciągnęła Azjatka.

Z jednej z toreb Bułgar wyciągnął małe niebieskie pudełko i podał jej mówiąc: — Użyj tego. — Nie chciał, żeby dziewczynka umarła, ponieważ mogło to wywołać histeryczne reakcje zakładników.

— Przecież to zestaw pierwszej pomocy — zdumiała się kobieta. — Nic jej nie pomoże.

— Nic więcej nie mogę ci dać.

— Mógł wystąpić krwotok wewnętrzny...

Downer podniósł rękę, zwracając na siebie uwagę Georgijewa. Wskazywał na drzwi.

— Musisz poradzić sobie z tym, co masz — powiedział kobiecie Georgijew i przywołał

do siebie Vandala. Poleciał mu pilnować Azjatki, która mogłaby spróbować ucieczki. Potem wszedł po schodach. Podszedł do Downera.

— O co chodzi?

— Jest tutaj — wyszeptał zaniepokojony Australijczyk. — Sekretarz generalna.

Zapukała do tych cholernych drzwi i spytała, czy może wejść.

— Nic więcej nie mówiła?

— Nie, nic.

Georgijew zapatrzył się w ścianę za Australijczykiem. Sporo się zmieniło, teraz trzeba to wszystko przemyśleć. Jeśli wpuści Chatterjee, będzie, oczywiście, zainteresowana wyłącznie zorganizowaniem opieki medycznej dla dziewczynki, a nie forsy dla nich. Jeśli odda dziewczynkę, prasa dowie się o tym, że dziecko zostało zranione, najprawdopodobniej zabite. Wzmogą się naciski na przeprowadzenie akcji wojskowej – mimo zagrożenia, jakie stanowiłaby dla zakładników. No i trzeba było założyć, że w szpitalu ranna może odzyskać świadomość, a gdyby tak się stało, byłaby w stanie opisać Służbie Bezpieczeństwa ONZ, jak rozstawił ludzi i gdzie znajdują się zakładnicy.

124

Oczywiście, mógł wpuścić panią sekretarz do środka i odmówić wypuszczenia dziewczyny. Co wówczas zrobiłaby Chatterjee? Zaryzykowałaby życiem reszty dzieci, odmawiając współpracy?

Mogłaby tak postąpić, doszedł do wniosku Georgijew. Gdyby na każdym kroku podważała jego autorytet, podbudowałaby ducha oporu wśród zakładników, zaś osłabiła więź

wśród jego ludzi.

Bułgar przyjrzał się zakładnikom. Poinformował przedstawicieli ONZ, jak można się z nim skontaktować i co mają powiedzieć, kiedy się skontaktują. Instykt podpowiadał mu, że powinien zejść na dół, wybrać kolejnego zakładnika i kazać mu powtórzyć słowa, które wypowiedział poprzedni. Dlaczego miałby zmieniać plan? Dlaczego miałby pozwolić im myśleć, że brakuje mu zdecydowania?

Ponieważ sytuacje takie jak ta są płynne, odpowiedział sobie w myślach.

I nagle, jak to się zwykle dzieje w przypadku najlepszych pomysłów, coś przyszło mu do głowy. Sposób na to, by dać Chatterjee czego chce, bez rezygnowania chociażby z części żądań. Spotka się z nią, ale nie w sposób, jakiego oczekiwała.

125

v Waszyngton, Dystrykt Columbia, sobota 23.33

Bob Herbert był z natury człowiekiem sympatycznym i towarzyskim. Przeszło piętnaście lat temu kalectwo i utrata żony wpędziły go w trwającą blisko rok depresję. Fizykoterapia pomogła mu jednak wyleczyć się z uzalania się nad sobą, a powrót do pracy w CIA przywrócił mu poczucie wartości, zniszczone przez zamach na ambasadę w Bejrucie. Blisko trzy lata temu Herbert rozpoczął pracę przy organizowaniu Centrum i to tu przeżył najwspanialsze chwile, spotkał się z największymi wyzwaniem i odniósł najbardziej błyskotliwe sukcesy w zawodzie. Jego żonę zapewne rozbawiłoby do łez, gdyby dowiedziała się, że poślubionego przez nią notorycznego ponuraka, którego nastroje próbowała łagodzić przez całe życie, nazywano w Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym Panem Optymistą.

Bob Herbert siedział w mrocznym pokoju, rozjaśnionym wyłącznie blaskiem monitora komputerowego. Nie był w tej chwili w szczególnie przyjemnym nastroju i z całą pewnością nie zasługiwał na przydomek Pana Optymisty. Nie martwiło go wyłącznie to, iż córka Paula Hooda znajdowała się wśród zakładników zatrzymanych w gmachu ONZ. Wiedział, że podobne sytuacje prędzej czy później kończą się przelewem krwi, ale nie tylko tym się przejmował. Czasami wszystko działo się bardzo szybko – wówczas gdy władze państwa lub instytucji decydowały się wykurzyć napastników, nim zdążyli się oni okopać na zajmowanych pozycjach – czasami powoli: sytuacja patowa zmieniała się w obłężenie, a akcja następowała wówczas, gdy opracowano dokładne plany. Bardzo rzadko i tylko wówczas, gdy terrorystom chodziło wyłącznie o zwrócenie uwagi na reprezentowaną przez nich sprawę, dochodziło do porozumienia w drodze negocjacji. Najgorzej działo się w sytuacjach, które zdarzały się najczęściej: kiedy chodziło im o pieniądze lub uwolnienie skazanych towarzyszy.

Najbardziej niepokoiły go dwie sprawy. Po pierwsze – celem ataku stał się gmach ONZ.

ONZ nigdy nie została zaatakowana w ten sposób i w ogóle nie miała tradycji twardego przeciwstawiania się działaniom wrogich czynników. Po drugie, niepokoił go e-mail, który właśnie otrzymał do Darrella McCaskeya, dotyczący listy zaproszonych na mającą się dziś odbyć uroczystość.

McCaskey odwiedził biuro Interpolu w Madrycie. Były agent FBI pomógł ostatnio swojemu przyjacielowi, Luisowi Garci de la Vega, zapobiec planowanemu zamachowi stanu i pozostał na miejscu, towarzysząc swej rannej współpracownicy, Marii Corneja. Nagrania z pierwszej fazy ataku na ONZ zostały przysłane do Interpolu celem sprawdzenia, czy ma on w swych aktach zarejestrowane akcje o podobnym modus operandi. Interpol otrzymał także listę delegatów i gości zaproszonych na przyjęcie Rady Bezpieczeństwa. Pół godziny temu McCaskey przekazał informacje Bobowi Herbertowi w Waszyngtonie. Wszyscy zaproszeni byli legalnymi przedstawicielami swych narodów, co oczywiście nie czyniło z nich 126

dبلوماسów. W ciągu przeszło pięćdziesięciu lat w przebraniu dyplomasów do ONZ

dostawali się niezliczeni szpiedzy, przemytnicy, płatni mordercy i handlarze narkotyków.

Mimo to ONZ ustanowiła właśnie nowy antyrekor, nie sprawdzając dwójki zaproszonych gości. Gdy przybyli oni do Nowego Jorku zaledwie dwa dni temu, przedstawili dokumenty, których wiarygodności nie udało się potwierdzić. Albo Ministerstwo Spraw Zagranicznych Kambodży nie miało czasu, by wejść do odpowiednich plików i uzupełnić dane, lub też ta dwójka nie spodziewała się pozostać w Nowym Jorku wystarczająco długo, by zostały one sprawdzone. Mimo to, ochrona ONZ w Nowym Jorku pozwoliła im wejść do gmachu wejściem dla dyplomasów – czyli bez żadnej kontroli. Bob Herbert musiał teraz znaleźć odpowiedź na pytanie: kim ta dwójka rzeczywiście była?

McCaskey dostał ich zdjęcia z paszportów od zastępcy sekretarza generalnego do spraw administracji. Otrzymał je pocztą elektroniczną i natychmiast porównał ze zdjęciami w bazie danych przeszło dwudziestu tysięcy znanych terrorystów, międzynarodowych agentów wywiadu i przemytników.

Po sześciu minutach znalazł tę dwójkę.

Przeczytał te nieliczne informacje, które były mu dostępne; prawdziwe – w odróżnieniu od faktów, które podali sami. Nie wiedział nic o terrorystach, którzy opanowali salę Rady Bezpieczeństwa, ale uświadomił sobie jedno: niezależnie od tego, jak groźna była ta piątka, dwójka, którą właśnie zidentyfikował, mogła być o wiele groźniejsza.

Iglica poinformowała go, że wraca na miejsce bez generała Rodgersa i pułkownika Augusta. Nie widział, co się stało z Augustem, był jednak pewien, że Mike jest z Paulem Hoodem. Nie namyślając się ani chwili, wystukał numer Hooda na telefonie komórkowym.

v Nowy Jork, sobota 23.34

W ciągu całej swej historii Kambodża nie zaznała ani dnia pokoju.

Aż do początków XV wieku była agresywną potęgą regionalną. Pod autokratycznymi rządami władców z dynastii Khmerów podbiła cała dolinę Mekongu, panując nad terenami dzisiejszego Wietnamu, Laosu, i części Tajlandii. Przez kilka kolejnych wieków Khmerzy wypierani byli systematycznie z zajętych terenów, aż wreszcie zagrożone zostało ich własne państwo. W 1863 roku doprowadzony do rozpaczycy władca Kambodży zgodził się na objęcie kraju protektoratem francuskim. Powolne wzmocnienie armii doprowadziło do odzyskania zagarniętych ziem, utraconych jednak powtórnie w skutek japońskiej okupacji Indochin w trakcie II wojny światowej. Po wojnie Kambodża odzyskała niepodległość pod rządami księcia Norodoma Sihanouka, który stracił władzę w 1970 roku, w skutek popartego przez Stany Zjednoczone wojskowego przewrotu stanu generała Lon Nola. Księżę Sihanouk stworzył rząd na uchodźstwie, w Pekinie, podczas gdy generał walczył w wojnie domowej z komunistycznymi Czerwonymi Khmerami, którą ostatecznie przegrał w 1975 roku. Sihanouk powrócił do władzy, formując słaby koalicyjny rząd kraju, znanego pod nazwą Demokratyczna Kampucza. Premierem tego rządu był antykomunistyczny, bezwzględny i chłodno planujący Son Sann. Utracił on władzę na rzecz Khieu Samphana, którego premierem został bezwzględny i ambitny Pol Pot, fanatyczny maoista głoszący, iż wykształcenie jest przestępstwem, i że powrót do tradycyjnej uprawy ziemi przemieni Kambodżę w raj. Kambodżę pod jego rządami zaczęto utożsamiać z „polami śmierci”, torturami, ludobójstwem, pracą przymusową i głodem. Kosztowały one życie dwóch milionów ludzi, co piątego mieszkańca Kambodży. Władza Pol Pota skończyła się w 1979

roku wraz z inwazją Wietnamu. Wietnamczycy zdobyli Phnom Pehn i ustanowili komunistyczny rząd pod przywództwem Heng Samrina, jednakże Pol Pot i Czerwoni Khmerzy nadal kontrolowali wielkie przestrzenie kraju, noszącego wówczas nazwę Ludowej Republiki Kampuczy. Wojna trwała nadal. Wietnamczycy wycofali się z Kambodży w 1989

roku, ponosząc wielkie straty w starciach z kambodżańskimi partyzantami. Ich wycofanie się pozostawiło premiera Hun Sena w sytuacji, w której zmagać się musiał z grupami wojskowymi lewicowych Czerwonych Khmerów, prawicowych Błękitnych Khmerów, Narodowej Armii Sihanouka, lojalnej wobec zdetronizowanego księcia, Narodowych Khmerskich Sił Zbrojnych Lon Nola, Khmer Loeu, oddziałów górskich plemion, Khmer Viet Minh, wspieranych przez Hanoi i kilkunastu innych.

W 1991 roku, wobec całkowitego załamania się gospodarki kraju, wojujące ze sobą ugrupowania podpisały wreszcie umowę, w której zobowiązały się do zaprzestania działań wojskowych i zgodziły się na obecność sił pokojowych ONZ oraz przeprowadzenie pod kontrolą ONZ demokratycznych wyborów. Sformowała się nowa koalicja z udziałem partii Hun Sena, przywrócono monarchię i na tron, już jako króla, wyniesiono księcia Sihanouka.

Jednak Czerwoni Khmerzy, uznając, że zmuszono ich do zbyt wielkich ustępstw, zerwali zawieszenie

śmierci Pol Pota, lecz inni dowódcy Czerwonych Khmerów pozostali w polu, przysięgając, że będą walczyć aż do zwycięstwa.

Wśród tak wielu partii politycznych i wojskowych grup, walczących wszystkie ze wszystkimi, ich agenci i funkcjonariusze wywiadu rozpaczliwie poszukiwali danych wywiadowczych i źródeł broni. Powstała więc ogromna, bez precedensu w historii, podziemna sieć szpiegów, zabójców i przemytników. Niektórzy z nich walczyli o dobro swego państwa, inni dbali wyłącznie o własne interesy.

Trzydziestodwuletnia Ty Sokha Sary oraz jej mąż, Hang Sary, przez przeszło dziesięć lat byli funkcjonariuszami kontrwywiadu Khmerskiej Ludowej Narodowej Armii Wyzwolenia, oddziałów wojskowych Khmerskiego Ludowego Narodowego Frontu Wyzwolenia, powstałego w marcu 1979 roku, stworzonego przez byłego premiera Son Sanna. Początkowo jego celem było wypędzenie z Kambodży Wietnamczyków. Gdy tego dokonano, Front poświęcił się oczyszczeniu Kambodży ze wszelkich obcych wpływów. Mimo iż Son Sann otrzymał mianowanie do Najwyższej Rady Narodowej, władającej narodem pod rządami Sihanouka, osobiście sprzeciwiał się obecności ONZ na terenie swego kraju; zwłaszcza przeszkadzała mu obecność żołnierzy chińskich, japońskich i francuskich. Nie wierzył, by istniało coś takiego jak przyjazna armia okupacyjna. Nawet jeśli żołnierze rzeczywiście mieli utrzymywać pokój, sama ich obecność osłabiała naród.

Ty i Hang zgadzali się z Son Sannem. A jeden z cudzoziemskich oficerów uczynił coś gorszego niż skażenie narodu. Zniszczył coś, co było bardzo ważne w życiu Hanga.

Ty Sokha przyklękła przy ciele rannej amerykańskiej dziewczynki. Mogła mieć najwyżej czternaście, może piętnaście lat. Kambodżanka widziała tyle dziewcząt w jej wieku rannych, umierających lub martwych. Pewnego razu pomogła Amnesty International odszukać masowy grób w okolicach Kampong Cham, w którym znaleziono dwieście częściowo rozłożonych ciał, w większości bardzo stałych kobiet i małych dzieci. Na niektórych zwłokach wycięto nożami antyrządowe slogany. Sama zabiła ponad trzydzieści osób, podprowadzając Hanga do oficerów wrogich wojsk lub agentów wrogich grup; Hang dusił tych ludzi podczas snu lub zabijał ciosem noża w serce. Czasami nie wzywała męża.

Czasami sama wykonywała wyroki.

Jak większość agentów terenowych, Ty umiała opatrywać rany i знаła podstawy chirurgii. Niestety, środki pierwszej pomocy, które dano jej do dyspozycji, były zdecydowanie niewystarczające. Nie znalazła rany wylotowej, co oznaczało, że kula pozostała w ciele.

Każdy ruch dziewczyny mógł spowodować dodatkowe obrażenia. Oczyszczyła niewielką ranę najlepiej jak potrafiła, następnie przykryła ją gazą i okleiła plastrami. Pracowała ostrożnie i spokojnie, ale nie tak beznamietnie jak zwykle. Choć dawno nauczyła się bez drgnienia patrzeć na akty terroru i mordy, ta dziewczyna i okoliczności, w jakich ją zraniono, budziła bolesne

wspomnienia.

Oczywiście wspomnienia Phum, ukochanej siostrzyczki Hanga.

Opatrując raną myślała o okolicznościach, które sprowadziły ich w tak odległe od Kambodży miejsce.

129

Ty urodziła się w małej wiosce położonej w połowie drogi między Phnom Pehn i Kampot, w Zatoce Tajlandzkiej. Kiedy miała sześć lat jej rodzice zginęli w powodzi.

Zamieszkała z rodziną swego kuzyna, Hanga Sary i jego rodziną. Ty i Hang pokochali się, wszyscy wiedzieli, że kiedyś się pobiorą. I rzeczywiście, pobrali się tuż przed podjęciem misji, w 1990 roku. Była to najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

Ojciec Hanga był zwolennikiem księcia Sihanouka. W miejscowej gazecie pisał o tym, jak wolnorynkowa polityka księcia pomogła rolnikom. Pewnej ciemnej, upalnej i wilgotnej nocy, podczas gdy Ty i Hang byli w mieście, żołnierze polpotowskiej Narodowej Armii Demokratycznej Kampuczy porwali ojca, matkę i młodszą siostrę Hanga. Hang znalazł

rodziców dwa dni później. Ojcu związano ręce na plecach, wyłamując ramiona, połamano dłonie w nadgarstkach i kolana, by nie mógł nawet pełzać, usta zatkano mu ziemią, a następnie przekłuto krtań, by powoli wykrwawił się na śmierć. Matkę uduszono na jego oczach. Siostry nie znalazł.

Ich świat rozpadł się na kawałki. Hang skontaktował się z Frontem Sun Sanna, wspierającym Sihanouka. Oznajmił, że chce pisać artykuły takie, jakie pisał jego ojciec, ale nie tylko po to, by zdobywać dla księcia zwolenników. Pragnął wywabić z ukrycia ludzi Pol Pota i odpłacić im za to, co zrobili jego rodzinie.

Nim zezwolił im na zrobienie z siebie przynęty, szef wywiadu Frontu nauczył ich oboje posługiwania się bronią. W dwa miesiące później niewielka banda Czerwonych Khmerów napadła na ich chatę. Hang i Ty zaplanowali to doskonale. Zabili wszystkich, nim wartownik zdołał wezwać pomoc.

Następnie oboje nauczono technik pracy wywiadowczej, a także technik skrytego zabijania. Z podręcznika CIA, znalezionego w Laosie, dowiedzieli się, jak używać szpilek do kapeluszy, wypełnionych kamieniami pończoch, a nawet kart kredytowych, by wydłubywać oczy, skręcać karki i podrywać gardła. Nauczyli się tego wszystkiego, by służyć krajowi, ale także w nadziei, że kiedyś znajdą potwora, który skazał na śmierć Phum.

Potwora, który umknął im, ponieważ był pod opieką Czerwonych Khmerów. Potwora, którego trop stracili, kiedy opuścił Kambodżę i na którego ślad niedawno znów wpadli.

Potwora, który był w tej sali.

v Nowy Jork, sobota 23.35

Paul Hood jechał windą na szóste piętro budynku Departamentu Stanu, do sali, w której czekała na informacje reszta rodziców. Czuł się bardzo samotny i bardzo się bał. Był w windzie sam, towarzyszyło mu w niej wyłącznie jego żalosne odbicie, karykaturalnie wykrzywione i zabarwione przez wypolerowane, złote ściany.

Gdyby nie był pewien, że filmują go kamery systemu bezpieczeństwa, z pewnością uderzyłby pięścią w ścianę. Wiadomości o strzelaninie przeraziły go do szaleństwa, czuł się strasznie, bowiem zmuszono go do pozostania poza biegiem wydarzeń.

Drzwi windy otworzyły się. W momencie, gdy podchodził do biurka strażnika, zadzwonił jego telefon komórkowy. Zatrzymał się.

— Tak?

— Paul, to Bob. Czy Mike jest z tobą?

Hood doskonale znał głos Herberta. Szef wywiadu Centrum mówił bardzo szybko, co oznaczało, że czegoś się obawia.

— Mike poszedł odwiedzić szefa miejscowego biura, tego z którym nas umówiłeś.

Dlaczego pytasz?

Wiedział, że muszą rozmawiać ostrożnie, bowiem linia nie była zabezpieczona.

— Bo w polu zainteresowania mamy dwójkę ludzi, o których powinien wiedzieć.

— Jakich ludzi? — przycisnął go Paul.

— Mają bardzo dobre referencje.

„Dobre referencje”. Czyli są na nich akta, nie świadczące o niczym dobrym.

— Ich obecność w tym miejscu i tym czasie może być przypadkowa — mówił dalej Herbert — ale nie mam zamiaru ryzykować. Zadzwonię do Mike'a, do biura.

Paul wcisnął przycisk wzywający windę.

— Jak się nazywa to biuro?

— Doyle Shipping.

— Wielkie dzięki.

Sharon nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy. I nie będzie jej za to winić. Nie tylko pozostała sama wśród obcych ludzi, ale także miała pewność, że Departament Stanu nie mówi rodzicom prawdy. Jednak, jeśli terroryści mieli na miejscu swoich ludzi, o których nikt nic nie wiedział, chciał pomóc Rodgersowi i Augustowi przemyśleć sytuację.

Jeszcze w windzie wyjął z portfela identyfikator Centrum. Przebiegł na drugą stronę Pierwszej Alei i przeszedł szybko cztery przecznice. Mignął identyfikatorem przed oczami policjanta, stojącego na posterunku przed wieżowcami United Nations Plaza. Nie były one częścią kompleksu ONZ, ale wielu delegatów miało w nich swoje biura.

Wszedł do środka.

Z trudem łapiąc oddech, wpisał się do rejestru odwiedzających i podszedł do najbliższego zespołu wind jadących na niższe piętra. Nadal miał ochotę krzyknąć z bezsilnej wściekłości, ale przynajmniej wiedział teraz, że może wywrzeć jakiś wpływ na przebieg zdarzeń. Przynajmniej będzie mógł się skupić na czymś innym niż strach.

Na przejęciu inicjatywy.

v Nowy Jork, sobota 23.36

To był on.

Głos bez wyrazu, okrutne oczy, aroganckie zachowanie... tak, to był on, niech będzie przeklęta jego dusza! Ty Sokha nie od razu była w stanie uwierzyć, że oto, po blisko dziesięciu latach, znaleźli Iwana Georgijewa. Teraz, kiedy spod maski usłyszała jego głos, kiedy znalazła się wystarczająco blisko, by poczuć zapach jego potu, nie miała wątpliwości, o którego spośród tych potworów im chodziło.

Kilka miesięcy wcześniej handlarz bronią nazwiskiem Łapkin, dostarczający broni także Czerwonym Khmerom, został „zachęcony” do rozmowy z Georgijewem w sprawie korzystnej transakcji. Informator wśród Czerwonych Khmerów wiedział, że szukają go Ty i Sary.

Sprzedął im nazwisko handlarza. Nie złapali Bułgara, kiedy przyleciał do Nowego Jorku na wstępne rozmowy z Łapkinem, ale dotarli do niego po jego wyjeździe. Złożyli Rosjaninowi propozycję: albo powie im, kiedy Georgijew przyjedzie odebrać zamówienie, albo wydadzą go FBI.

Rosjanin zgodził się na postawione warunki, powiedział im, kiedy broń ma zostać odebrana, choć wymusił na nich, że nie zdejmą Bułgara podczas transakcji. Przystali na ten warunek. Chcieli, by zrobił cokolwiek zamierzał zrobić, chcieli dopaść go w spektakularny sposób, przez co świat zwróciłby uwagę na ich lud, pragnęli też zakończyć łańcuch mordów, którego sami byli przecież częścią, powstrzymać Czerwonych Khmerów, podważających żałośnie słabe podstawy władzy Norodoma Sihanouka.

Obserwowali Georgijewa podczas transakcji z dachu klubu przylegającego do warsztatu, którego był właścicielem. Ty nie widziała go wówczas wyraźnie, nie tak wyraźnie jak wówczas, gdy pracowała w obozie ONZ jako kucharka, obserwując szpiegów Czerwonych Khmerów, będąc świadkiem potworności, za które Bułgar był odpowiedzialny.

Po tym, jak Georgijew i jego ludzie sfinalizowali transakcję, Ty i Hang pojechali za nimi do ich hotelu. Sąsiednie pokoje były zarezerwowane, wzięli więc pokój piętro niżej.

Przeprowadzili podsłuch przez sufit, podłączyli aparaturę i wysłuchali terrorystów po raz ostatni omawiających plany.

Następnie udali się do wynajętego po drugiej stronie ulicy mieszkania i czekali.

Ty Sokha wielkimi, czarnymi oczami przyglądała się leżącej obok niej dziewczynce.

Dziewczynce nieco tylko starszej niż Phum w chwili, gdy została zamordowana przez Georgijewa. Przeniosła wzrok na Sary Hanga, siedzącego na podłodze pomiędzy ramionami wielkiego stołu. Przesunął się lekko, by móc obserwować ją.

Przymknęła powieki. Odpowiedział jej lekkim skinieniem.

133

Gdy Georgijew zejdzie ze schodów, nadejdzie właściwy czas.

134

v Nowy Jork, sobota 23.37

Georgijew podszedł do podwójnych drzwi znajdujących się z tyłu sali Rady Bezpieczeństwa i zatrzymał się. W rękę trzymał pistolet, choć nie sądził, by go potrzebował.

Reynold Downer stał po jego prawej stronie. Trzymał broń w obu dłoniach.

— Masz zamiar ją wpuścić? — spytał szeptem.

— Nie — odparł Bułgar. — Mam zamiar do niej wyjść.

To stwierdzenie niebotycznie zaskoczyło Australijczyka, widać to było mimo kominiarki.

— Na litość boską, dlaczego?

— Nauczę ich, co to znaczy bezradność.

— Bezradność? Zgarną cię jako zakładnika!

Usłyszeli głos sekretarz generalnej. Prosiła, żeby ją wpuścili.

— Nie będą mieli szansy — powiedział spokojnie Georgijew. — Udowodnię im, że nie mają wyboru. Muszą współpracować i muszą zacząć współpracować natychmiast.

— Mówisz teraz, jakbyś sam był jakimś cholernym dyplomata. A jeśli rozpoznają twój akcent?

— Będę mówił cicho i powoli. Prawdopodobnie wezmą mnie za Rosjanina. — Teraz, kiedy przyszło mu to do głowy, pomyślał, że sprawiłoby mu przyjemność, gdyby atak ten przypisano rosyjskiej mafii.

— Nie zgadzam się — zaprotestował Downer. — Do jasnej cholery, nie zgadzam się!

Jasne, pomyślał Georgijew. Australijczyk wiedział, jak używać siły, nie miał jednak zielonego pojęcia o tym, jak postępować subtelnie.

— Nic mi nie będzie — uspokoił go. Powoli wyciągnął rękę, dotknął klamki po lewej stronie drzwi, przekręcił ją delikatnie i otworzył drzwi na tyle, by móc wyjrzeć na zewnątrz.

Zobaczył Male Chatterjee. Stała wyprostowana, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, głowę miała dumnie uniesioną. O kilka kroków za nią stał szef Służby Bezpieczeństwa ONZ, za nim zaś jego ludzie, ukryci za tarczami.

Hinduska wydawała się spokojna choć zdecydowana, szef Służby Bezpieczeństwa sprawiał wrażenie takie, jakby miał lada chwila wybuchnąć. Georgijew lubił takie podejście.

Człowiek przynajmniej wiedział, że musi cały czas zachowywać czujność.

— Chciałabym z panem porozmawiać — powiedziała Chatterjee.

— Rozkaż wszystkim, żeby się odsunęli — polecił Georgijew. Nie uznał za konieczne wspomnieć, że gdyby cokolwiek się mu stało, ucierpieliby zakładnicy.

Chatterjee odwróciła się i gestem nakazała Mottowi spełnić to polecenie. Pułkownik skinął na swych ludzi, którzy wykonali jego rozkaz, sam jednak pozostał na miejscu.

— Wszystkim — powtórzył Georgijew.

— Słyszał pan, pułkowniku. — Chatterjee nawet się nie odwróciła.

— Pani sekretarz...

— Proszę się cofnąć.

Mott prychnął gniewnie, ale odwrócił się i dołączył do swych ludzi. Stanął w odległości dziesięciu metrów, patrząc wściekle na Georgijewa.

Doskonale, pomyślał Bułgar. Mott miał najwyraźniej ochotę wyjąć broń i wpakować mu kulę między oczy. Chatterjee wpatrywała się w terrorystę nieruchomym spojrzeniem.

— A teraz ty się odsuń.

— Mam się odsunąć? — spytała sekretarz generalna, najwyraźniej zaskoczona.

Skinął głową. Zrobiła trzy kroki wstecz i zatrzymała się. Georgijew szerzej uchylił

drzwi. Tarcze uniosły się lekko. Widział, jak strażnicy niepokoją się coraz bardziej. Miał

nadzieję, że ta Hinduska rozumie, w jak beznadziejnej znalazła się sytuacji. Jako sojuszników miała niewyszkolone dzieciaki.

Georgijew schował pistolet do kabury i wyszedł na korytarz. Nie spuszczać wzroku ze strażników, zamknął za sobą drzwi. Powoli, bez strachu. Miał nawet ochotę podrapać się w głowę albo pod pachę i cieszyć się tym, jak nerwowo podskakują. Nie zrobił tego.

Wystarczyło mu, że wiedział, iż się go boją. A co ważniejsze, oni też wiedzieli, że się boją.

Wiedzieli, kto tu jest spokojniejszy. Dobrze zrobił, że do nich wyszedł.

Spojrzał na Chatterjee.

— Czego chcesz? — spytał.

— Chcę rozwiązać tę sytuację bez dalszego rozlewu krwi.

— Przecież możesz. Daj nam to, czego chcemy.

— Próbuję. Ale zainteresowane kraje odmówiły wypłacenia okupu.

136

Dokładnie tego się spodziewał.

— A więc zapłaci ktoś inny — powiedział lekko. — Pozwólmy Stanom Zjednoczonym jeszcze raz uratować świat.

— Mogę z nimi porozmawiać, ale to wymaga czasu.

— Masz dużo czasu. Płacisz tylko jednym trupem na godzinę.

— Nie, proszę — powiedziała Chatterjee. — Chciałabym coś zasugerować. Moje szanse na sukces wzrosną, jeśli powiem im, że zdecydowaliście się współpracować.

— Współpracować? Przecież to ty marnujesz czas.

— Negocjacje zajmą wiele godzin, być może kilka dni.

Georgijew wzruszył ramionami.

— A więc to ty będziesz miała na dłoniach krew, nie ja — odparł.

Sekretarz generalna nadal patrzyła mu w oczy, choć wydawała się mniej pewna siebie niż poprzednio. Oddychała szybciej, jej oczy przeskakiwały z miejsca na miejsce. Bardzo dobrze. Potrzebne mu było pełne podporządkowanie, nie negocjacje. Georgijew dostrzegł, jak stojący za nią szef ochrony ONZ przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

Chatterjee opuściła wzrok i powoli pokręciła głową. Nigdy przedtem nie miała do czynienia z podobną sytuacją. Niemal jej żałował. Co może zrobić dyplomata, jeśli słyszy wyłącznie „nie”?

— Daję panu moje słowo — powiedziała. — Niech pan przestanie zabijać. Dam panu wszystko, czego pan chce.

— Tak czy inaczej, dasz mi wszystko, czego chcę.

Hinduska nie odrywała od niego wzroku. Zawahała się, jakby próbowała powiedzieć co jeszcze, ale

przecież wszystko zostało już powiedziane. Georgijew obrócił się do niej plecami.

— Niech pan tego nie robi.

Ruszył w kierunku drzwi i położył dłoń na klamce. Sekretarz generalna ONZ poszła za nim.

— Czy pan nie rozumie? — spytała i w rozpaczy złapała go za ramię. — Nikt nic na tym nie zyska!

— Wrywał się jej brutalnie, ale go nie puszczała. — Niech pan mnie posłucha!

A więc specjalistka od zaprowadzania pokoju umiała też pokazać pazurki. Potężnie zbudowany mężczyzna rzucił drobną kobietę na ścianę przy drzwiach.

137

Za plecami usłyszał kroki. Sięgnął po pistolet, obrócił się i dostrzegł czyjś łokieć tuż przed oczami. Nagle uświadomił sobie, że widzi świat na czerwono, że kręci mu się w głowie, że czoło i nasadę nosa ma jak sparaliżowane. Skupił się wyłącznie na tym, by nie stracić przytomności, poczuł drugi cios, a potem była już tylko ciemność.

138

v Nowy Jork, sobota 23.42

— Coś się dzieje — powiedział do Hooda Mike Rodgers.

Generał siedział przy komputerze z Susie Hampton. Hood dotarł do nich przed zaledwie chwilą, nadal ciężko oddychał po biegu. Susie obejrzała go sobie w kamerze umieszczonej nad drzwiami, a potem wpuściła do środka. Rodgers nie miał pojęcia, co go tu przywiodło, lecz to, co spotkało Male Chatterjee, było w tej chwili, używając terminologii środków przekazu, „wiadomością dnia”. Susie przerzuciła przekazywane przez pluskwę dźwięki na głośniki komputera. Mimo że wszystko było nagrywane, Rodgers nie chciał uronić nawet słowa z rozmowy między panią sekretarz a terrorystą.

— Paul Hood, Susan Hampton — przedstawił ich sobie.

Susie spojrzała na gościa i przywitała go skinieniem głowy. Jej uwagę pochłaniało to, co działo się w tej chwili w sali Rady Bezpieczeństwa.

— Naszym zdaniem coś właśnie zdarzyło się na korytarzu — powiedział Rodgers. —

Jeden z terrorystów wyszedł, by porozmawiać z sekretarz generalną. Z podsłuchu wnioskujemy, że krzyknęła do niego, a potem ktoś, prawdopodobnie pułkownik Mott ze Służby Bezpieczeństwa ONZ, najwyraźniej go zaatakował. Wygląda na to, że go mają, ale nie jesteśmy tego pewni. W tej chwili panuje spokój.

Nasłuchiwali przez chwilę. Ciszę przerwał Paul.

— Być może nie ma to nic wspólnego z tym, co się właśnie zdarzyło — powiedział —

ale właśnie dostałem telefon od Boba. W sali Rady Bezpieczeństwa jest dwójka ludzi, którzy od ośmiu lat służą w Khmerskiej Ludowej Narodowej Armii Wyzwolenia. Zaczęli jako pracownicy komórki kontrwywiadowczej walczący z Czerwonymi Khmerami, skończyli jako zawodowi zabójcy na usługach Son Sanna. — Susie nagle uniosła głowę i spojrzała na niego z napięciem. — Pojawili się u nas dwa dni temu z papierami od kogoś w ich rządzie, choć przeszłość obojga starano się ukryć. Powstaje pytanie: czy znaleźli się na miejscu przypadkiem, czy współpracują z terrorystami, czy też może dzieje coś, o czym nie mamy pojęcia?

Rodgers pokręcił głową. Do drzwi zadzwonił ktoś jeszcze. Susie wrzuciła na komputer obraz z kamery; okazało się, że to Brett August. Generał potwierdził jego tożsamość.

Naciśnięcie przycisku pod biurkiem odblokowało drzwi. Dowódcę Iglicy pośpieszył powitać generał. Po drodze zdążył pomyśleć, że oto znaleźli się w sytuacji, w której każdego dnia znajdują się negocjatorzy wszystkich krajów w sprawie uwolnienia zakładników. Niektóre kryzysy, ważne ze względu na konsekwencje polityczne, opisywane były na pierwszych stronach gazet, inne dotyczyły na przykład dwójki ludzi więzionych w miejscowym sklepiku.

zawsze ewoluowały w kierunku przemocy. Doświadczenie podpowiadało mu, że losy bitwy mogły zmieniać się szybko, lecz przemoc była zawsze nieunikniona. Rządziła nimi siła bezwładności, armie przemieszczały się, ale ruch odbywał się zawsze w jednym kierunku.

W napiętej, niestabilnej sytuacji wszystko mogło się zmienić w każdej chwili. Sprawy raz toczyły się szybko, raz powoli, zmieniały się żądania i warunki, w każdej chwili mogło pojawić się coś nowego. Zwłaszcza jeśli w sytuację wplątanych było mnóstwo ludzi, im więcej, tym większe prawdopodobieństwo nieoczekiwanego zwrotu sytuacji. Sytuacja była szczególnie skomplikowana, gdy miało się do czynienia z przerażonymi dziećmi, zdeterminowanymi napastnikami, zawodowymi mordercami oraz dyplomatami, których jedyną bronią były przemowy.

Pułkownik August przybył na miejsce brudny i spocony. Zasalutował Rodgersowi, po czym wyjaśnił, że w ostatniej chwili zeskoczył z podnoszonej hydraulicznie rampy załadunkowej C-130. W ciemnościach nikt go nie zauważył. Między rampą a pasem był tylko metr z kawałkiem, więc nabił sobie jedynie kilka guzów, a poza tym wszystko było w porządku. Pod bluzą miał kamizelkę kuloodporną, która też go trochę osłoniła. Ponieważ pracował jako „turysta”, miał przy sobie wystarczającą ilość pieniędzy, by zapłacić za taksówkę na Manhattan.

Po drodze do gabinetu Susie Mike Rodgers wyjaśnił mu pobieżnie, w jakiej znaleźli się sytuacji. Pułkownik zatrzymał się nagle.

— Chwileczkę — powiedział.

— Co się stało?

— Mamy w sali Rady Bezpieczeństwa parę kambodżańskich zabójców? — spytał

August.

Pułkownik milczał przez chwilę, a potem gestem głowy wskazał na drzwi do gabinetów.

— Wiesz, że ta wasza przyjaciółka pracowało dla CIA w Kambodży?

— Nie. — Rodgers był wyraźnie zdziwiony. — Powiedz mi coś więcej.

— Podładowałem sobie plik z jej aktami, kiedy lecieliśmy samolotem. Przez niemal rok rekrutowała tam agentów dla Firmy.

Generał milczał, rozpatrując w myśli możliwe scenariusze, możliwe konsekwencje tego faktu.

— Wpisała się przy wejściu do lokalu operacyjnego CIA piętnaście minut przed rozpoczęciem ataku. Powiedziała, że chciała nadgonić zaległości.

— Brzmi to całkiem prawdopodobnie — zauważyła August.

— Owszem, prawdopodobnie — zgodził się z nim Rodgers. — Niemniej przyjechała przed atakiem i ma możliwość podsłuchiwania sekretarza generalnej. No i ma też u siebie *TAC-SAT-a*.

140

— Który nie należy do standardowego wyposażenia CIA.

— Nie należy. Nieżle się przygotowała do przekazywania informacji z gmachu ONZ.

— Ciekawe tylko komu?

— Nie wiem — przyznał Rodgers.

— Czy *TAC-SAT* jest włączony?

— Nie mam pojęcia. Jest w torbie.

Pułkownik August prychnął kpiąco.

— Za dużo czasu spędzasz za biurkiem. Podwiń rękawy.

— O co ci chodzi?

— Zbliź ramię do tej torby.

— Nadal nie rozumiem.

— Włoski na przedramieniu. Elektryczność statyczna.

— O, cholera! — zawstydził się Rodgers. — Masz rację.

Sprzęt zasilany elektrycznie, włączony w zamkniętej torbie, generuje ładunki elektryczne – elektryczność statyczną. Powoduje ona charakterystyczne uniesienie włosków –

na przykład na przedramieniu, jeśli się je do niego zbliży.

Generał skinął głową. Poszli do gabinetu Susie.

Ani on, ani pułkownik August nie byli panikarzami. Jednak od początku kariery, i to w zawodzie, w którym od jednej decyzji zależy życie czasami nawet tysiący ludzi, nigdy nie pozwalali sobie na zanedbania i fałszywą pewność siebie. Rodgers przypomniał sobie jeszcze coś, czego CIA nauczyła się w szczególnie bolesny sposób: najgorsze zagrożenia nie zawsze przychodzą z zewnątrz.

141

v **Nowy Jork, sobota 23.43**

Przez chwilę w korytarzu przed salą Rady Bezpieczeństwa panowała śmiertelna cisza.

Mala Chatterjee wyprostowała się powoli przy ścianie. Spojrzała najpierw na powalonego terrorystę, a potem na pułkownika Motta.

— Nie miał pan prawa tego zrobić — wyszeptała do niego schrypniętym głosem.

— Została pani zaatakowana — odpowiedział Mott, także szeptem. — Moim zadaniem jest pani bronić.

— To ja go chwyciłam i...

— To już bez znaczenia. — Mott skinął na swoich ludzi, przywołując ich do siebie, a następnie spojrzał na panią sekretarz. — Musimy działać.

— Wbrew moim życzeniom! — syknęła Chatterjee.

— Proszę pani, tę kwestię możemy przedyskutować później. Nie mamy zbyt wiele czasu.

— Na co?

— Rozbierzcie go! — rozkazał Mott członkom Służby Bezpieczeństwa ONZ, których przedtem przywołał, wskazując nieprzytomnego terrorystę. — Tylko szybko.

Strażnicy natychmiast zabrali się do roboty.

— Co pan robi? — spytała Chatterjee.

Pułkownik zaczął rozpinąć koszulę.

— Wchodzę tam — oznajmił. — Jako on.

— Nie. Absolutnie się nie zgadzam! — odparła natychmiast zdumiona sekretarz.

— Może mi się udać. Jesteśmy podobnej budowy.

— Nie. Nie wejdzie pan tam bez mojego pozwolenia.

— Niepotrzebne mi pani pozwolenie — tłumaczył Mott, zdejmując koszulę, a potem buty. — Punkt trzynaste C, podpunkt cztery przepisów bezpieczeństwa. W wypadku bezpośredniego zagrożenia sekretarza generalnego należy podjąć wszelkie możliwe środki 142

bezpieczeństwa. Uderzył panią. Widziałem to. Z jakiegoś powodu nie możemy uzyskać obrazu z kamer światłowodowych. Zbliży się termin kolejnego ultimatum, w środku jest dziecko, zapewne ciężko ranne. Niech mi pani pomoże z tym skończyć. Czy mówił z akcentem?

— Zorientują się.

— Ale nie wystarczająco szybko. — Mott jasno zdawał sobie sprawę z każdej upływającej sekundy; zastanawiał się, jak długo znajdujący się w środku terroryści będą spokojnie czekali na powrót swojego człowieka. Bał się tego, co mogą zrobić, by dostać go z powrotem. — Proszę odpowiedzieć mi na pytanie. Czy miał akcent?

— Tak. Chyba wschodnioeuropejski.

Jeden ze strażników zerwał maskę z twarzy Georgijewa. Mott przyjrzał się jej uważnie.

— Poznaje go pani?

Chatterjee obrzuciła wzrokiem wyrazistą, nieogoloną twarz terrorysty.

— Nie — powiedziała cicho. — A pan?

Mott już wpatrywał się w drzwi prowadzące do sali Rady Bezpieczeństwa.

— Nie — odparł krótko. Niezależnie od tego czy wynikało to z jego zdenerwowania, czy przemówił instynkt starego gliniarza, ale czuł napięcie promieniujące z sali. Musiał coś zrobić, nie mógł pozwolić, by wyzwoliło się w eksplozji. Gestem kazał podać sobie kominiarkę. Naciągnął ją przez głowę, zastanowił się krótko, a potem pochylił się i posmarował ją krwią z rozbitego nosa Georgijewa.

— Teraz nie muszę już mówić z akcentem — stwierdził.

Chatterjee przyglądała się, jak pośpiesznie wkłada sweter, spodnie i buty terrorysty.

— Zgromadź wszystkich ludzi w sali Rady Powierniczej — rozkazał pułkownik swemu zastępcy, porucznikowi Mailmanowi. — Zajmiecie pozycje przy drzwiach łączących obie sale. Sformuj dwie grupy – jedna niech zajmie stanowiska obronne, druga wyciągnie zakładników. Wchodźcie, kiedy usłyszycie strzały. — Mott sprawdził pistolet Georgijewa; magazynek był niemal pełny. — Nie będę strzelał, póki nie ustawię się tak, by móc załatwić jednego lub więcej terrorystów. Postaram się trzymać od północnej strony, żeby odciągnąć ich ogień od was. Wiecie, jak są ubrani.

— Tak jest! — odparł służbiście porucznik.

— Pani sekretarz — mówił dalej Mott — ściągnąłbym tu Interpol, żeby przyjrzeni się temu... indywiduum... — niemal wypluł to słowo. — Jeśli coś pójdzie nie tak, ta informacja może pomóc pani ich powstrzymać.

— Panie pułkowniku, nadal sprzeciwiam się pańskim decyzjom. — Sekretarz generalna wreszcie doszła do siebie; teraz czuła, jak rodzi się w niej gniew. — Ryzykuje pan życiem wszystkich zamkniętych na tej sali ludzi.

— Oni wszyscy zginą, jeśli nie zaczniemy działać — powiedział Mott. — Czy nie to powiedział pani ten śmieć? — Wycelował stopę w Bułgara. — Czy nie dlatego próbowała go pani powstrzymać przed powrotem do sali?

— Chciałam nie dopuścić do dalszych egzekucji...

— Jego nic nie obchodziło to, czego pani chciała — szepnął Mott.

— Nie, nie obchodziło — przyznała Chatterjee. — Mimo to nadal mogę wejść do środka, porozmawiać z innymi...

— Nie po tym, co się tu stało. Przede wszystkim zapytają, gdzie jest ich człowiek. Co odpowie im pani na to pytanie?

— Powiem prawdę. Być może skłoni ich to do współpracy. Być może nawet oddalibyśmy go im w zamian za zakładników.

— Tego nie wolno nam zrobić. Potrzebujemy informacji. I niezależnie od tego, co się stanie, ten sukinsyn musi stanąć przed sądem.

Mott zawsze podziwiał upór Hinduski, teraz jednak doszedł do wniosku, że wynika on z naiwności, a nie politycznej wizji.

Podczas gdy porucznik formował dwa zespoły, pułkownik wezwał sanitariuszy.

Umieścili nieprzytomnego terrorystę na noszach, do których przykuli go kajdankami.

— Zabierzcie go do szpitala i przykujcie do łóżka — rozkazał sanitariuszom Mott.

Porucznik gestem poinformował go, że jest gotów. Pułkownik zasygnalizował mu:

„trzydzieści sekund”. Spojrzał na zegarek i rozpoczął w duchu odliczanie. Porucznik Mailman wraz ze swymi ludźmi skierował się do sali Rady Powierniczej.

— Panie pułkowniku, proszę — powiedziała Chatterjee. — Popełnia pan błąd! —

Sekretarz generalna po raz pierwszy podniosła głos.

Drzwi prowadzące do sali Rady Bezpieczeństwa zatrzeszczały nagle, jakby oparł się o nie ktoś

stojący w sali. Chatterjee umilkła natychmiast. Mott spojrział na drzwi, na Hinduskę, a potem na zegarek. Dwadzieścia sekund.

— Niech się pani odsunie, dla własnego bezpieczeństwa — stwierdził spokojnie. —

Bardzo panią proszę... to nie jest odpowiedni czas na dyskusje.

— Pułkowniku... — Chatterjee zawahała się. — Niech Bóg będzie z panem. Niech Bóg będzie z wami wszystkimi.

— Dziękuję — odparł Mott. Piętnaście sekund.

144

Hinduska cofnęła się niechętnie.

Pułkownik Mott skupił się na tym, co musiał zrobić. Poprzez maskę czuł smak krwi terrorysty; było w tym coś bardzo odpowiedniego do sytuacji, barbarzyńskiego, jak z sag Wikingów. Zatknął za pas pistolet; terrorysta nosił go właśnie w ten sposób. Zacisnął w pięści palce w rękawiczkach, po czym rozluźnił je, zniecierpliwiony oczekiwaniem.

Dziesięć sekund.

Dwadzieścia kilka lat temu, kiedy był kadetem policji miasta Nowy Jork i uczył się w akademii na rogu Drugiej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy, instruktor działań operacyjnych powiedział mu, że w ich pracy decyduje tak naprawdę rzut kostką. Każdy policjant, każdy żołnierz rzuca sześcioboczną kostką. Oczkami tej kostki są: zdecydowanie, umiejętności, brak litości, pomysłowość, odwaga i siła. W większości groźnych sytuacji rezultat rzutu wynika z doświadczenia. Człowiek uczy się, patrolując ulice piechotą i w radiowozie, uczy się, kiedy i jak rzucać, uczy się finezji, zdobywa wyczuć, bowiem kiedy przychodzi do rzutu na serio, trzeba wyrzucić więcej oczek niż przeciwnik i to za pierwszym razem. Pamiętał o tym podczas dwudziestu lat przesłużonych w południowej części Manhattanu, kiedy wchodził do mieszkania nie wiedząc, co jest po drugiej stronie drzwi, kiedy zatrzymywał samochód nie wiedząc, co ukryte jest pod gazetą, leżącą na fotelu pasażera. Pamiętał o tym także teraz.

Przywołał wynikający z praktyki instynkt, przywołał wszystkie wiadomości. A także przypomniał sobie słowa jednego z kosmonautów programu Merkury, który modlił się, czekając na start, słowami: „Boże, nie pozwól, żebym to spieprzył”.

Pięć sekund.

Skupiony, gotów do działania Mott podszedł do drzwi, prowadzących z korytarza do sali Rady Bezpieczeństwa. Jęknął, udając, który został uderzony i zraniony.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka.

v Nowy Jork, sobota 23.48

Rodzicom, którzy zgromadzili się w sali Departamentu Stanu, oddano do dyspozycji telefony. Sharon wybrała miejsce w kącie jasno oświetlonego pomieszczenia i natychmiast zatelefonowała do hotelu, do Alexandra. Pragnęła upewnić się, że nic mu się nie stało.

Okazało się, że nic, choć zapewne wyłączył gry, którymi tak lubił się bawić, i włączył

hotelowy kanał SpectraVision. Podczas gry Alexander zawsze był napięty, jakby dźwigał na barkach losy galaktyki, lecz gdy rozmawiała z nim około jedenastej, sprawiał wrażenie zdumionego i przygnębionego. Zupełnie jak Charlton Heston w „Dziesięciu przykazaniach”, kiedy zobaczył krzak gorejący.

Sharon nie powiedziała synowi, co się dzieje. Miała wrażenie, że chłopiec będzie tej nocy dobrze spał; miała też nadzieję, że rano, kiedy się obudzi, będzie już po wszystkim.

Potem zadzwoniła do domu, by odsłuchać informacje z automatycznej sekretarki. Nie chciała telefonować do rodziców, chyba że widzieli wiadomości telewizyjne i zostawili jej wiadomość. Nie byli najlepszego zdrowia, więc nie chciała obciążać ich swym strachem.

Okazało się jednak, że matka telefonowała. Widziała wiadomości. Sharon zadzwoniła do niej. Powiedziała matce to, co jej powiedziano: że dyplomaci próbują negocjacji, i że nie ma innych nowin.

— A co myśli Paul? — spytała matka.

— Nie wiem, mamo.

— Jak to, „nie wiesz”?

— Wyszedł z jednym z tych wojskowych z ONZ i do tej pory nie wrócił.

— Prawdopodobnie próbuje pomóc.

Sharon miała ochotę powiedzieć: „Oczywiście, zawsze próbuje pomóc... im”, ale powiedziała tylko:

— Jestem pewna, że tak.

Matka spytała ją, jak się czuje. Sharon powiedziała, że tak jak reszta rodziców ma nadzieję, i że to jedyne, co im pozostało. Obiecała, że zadzwoni, jeśli dowie się czegoś nowego.

Zdenerwowała się na myśl o Paulu i jego oddaniu „im”. Chciała odzyskać córkę, była gotowa na każde poświęcenie, jeśli tylko miałyby ją uratować. Ale wiedziała też, że Paul 146

robiłby to, co robi, nawet gdyby w grę nie wchodziło życie Harleigh. Prawie nie płakała tego wieczora, ale wspomnienie Paula było kroplą, która przelała naczynie.

Odwróciła się plecami do reszty rodziców, ukradkiem ocierając łzy. Próbowwała przekonać samą siebie, że jej mąż robi to dla ich córki, a jeśli nawet nie, to przecież i tak jej pomaga.

Ona jednak czuła się taka samotna, tak straszliwie samotna. Nie wiedziała, co się dzieje, nie znała losów córki i to rozgniewało ją na nowo. Paul mógł przynajmniej do niej zadzwonić.

Powiedzieć jej, co się dzieje.

A potem coś wpadło jej do głowy. Wyjęła z torebki papierowe chusteczki, wydmuchała nos i podniosła słuchawkę. Paul miał przecież przy sobie telefon komórkowy. Wystukała jego numer.

v Nowy Jork, sobota 23.49

Ty Sokha nadal klęczała przy rannej dziewczynce. Nie mogła zrobić dla niej nic więcej, ale nie przyjechała tu przecież, by ratować komuś życie. Opieka nad ranną umożliwiła jej jedną, najważniejszą rzecz: dowiedziała się wreszcie, który z terrorystów jest Iwanem Georgijewem. Który z nich przemawia głosem, znanym jej doskonale, bo słyszała go wprowadzając klientów do namiotu-burdelu i wyprowadzając ich. Który z nich rozkazał

jednemu ze swych ludzi, by ścigał i zabił Phum, kiedy próbowała ucieczki? Jeśli z Hangiem nie miałyby szansy zabicia wszystkich terrorystów, chciała zabić przynajmniej tego.

Ty miała w torebce dziewięciomilimetrowego *Browninga High Power*. Hang miał

podobnego *Browninga*, nosił go za paskiem, na plecach. Przemycili broń w bagażach dyplomatycznych. Mogli ustawić się tak, by wziąć go w ogień krzyżowy, a razem z nim jego współników. Nie tylko dokonaliby zemsty, nie tylko byłiby w oczach świata bohaterami, ratującymi zakładników, lecz także zwróciliby uwagę wszystkich na swoją sprawę, sprawę silnej, prawicowej Kambodży pod rządami Son Sanna. Skończy się władza bezprawia, Czerwoni Khmerzy zostaną zniszczeni. Kambodża robi pierwszy krok na drodze do zostania azjatyckim tygrysem, zarówno politycznym, jak i finansowym.

A jednak, by ich marzenia mogły się spełnić, musieli odnieść teraz sukces. Ty żałowała, że pozwoliła Georgijewowi wyjść, ale nawet do głowy jej nie przyszło, że wyjdzie. Nie chciała także przeprowadzić egzekucji sama, nie wskazując Hangowi celu. Reszta terrorystów mogła ją przecież od razu zastrzelić.

Ty otworzyła torebkę i wyjęła z niej jedwabną chusteczkę do nosa. Przetarła nią czoło rannej dziewczynki; otwartą torebkę pozostawiła na podłodze. Miała pistolet pod ręką.

Odkładając chusteczkę odbezpieczyła go. Zaczęła się denerwować. Miała nadzieję, że Georgijew nie dobije targu z sekretarzem generalną. Była zła na siebie za to, że nie zastrzeliła go, kiedy miała po temu szansę. Stał przecież tuż obok niej. Zapewne zabiliby ją, ale umierałaby wiedząc, jak dumny byłby z niej Hang i duchy jego przodków.

Nagle otworzyły się jedne z drzwi u góry chodów, po drugiej stronie sali. Stojący przy nich terrorysta odskoczył i Georgijew dosłownie wpadł do środka. Bułgar trzymał się za szczękę. Zatrzasnął za sobą drzwi, wyciągnął pistolet i zaczął nim wygrażać w ich kierunku.

Potem obrócił się i przeszedł obok swoich ludzi tak, jakby ich nie widział. Jeden z nich próbował pójść za nim, lecz on gestem kazał mu pozostać na miejscu. Na pół zszedł, na pół

spadł ze schodów. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby nie w pełni odzyskał

przytomność po uderzeniu. I z pewnością nie był w dobrym nastroju.

Doskonale. Zgodnie z naukami starszych w buddyzmie Theravada człowiek, który zmarł nieszczęśliwy, pozostawał nieszczęśliwy w następnym życiu. Zdaniem Ty Georgijew w pełni na to zasługiwał.

148

Bułgar trzymał w ręku broń. Zatrzymał się w połowie schodów, potarł brodę i zachwiał się.

Terrorysta stojący na szczycie schodów poszedł w jego kierunku. Podobnie postąpił mężczyzna stojący na dole.

Niech to diabli, pomyślała Ty. Musiała decydować natychmiast. Za chwilę trzech przeciwników miało stanąć w jednym miejscu, zasłaniając cel.

Spojrzała na Hanga. Najwyraźniej podzielał jej obawy. Sięgnęła do torebki. Jej mąż wstał. Wyciągnął broń zza paska i zwrócił się ku celowi. Ty chwyciła *Browninga* i poszła w jego ślady.

Hang strzelił do Georgijewa trzykrotnie, nim inni mieli szansę zareagować. Pierwszy strzał chybił, pozostałe dwa trafiły go jednak w czoło, na którym wykwitły dwie czerwone plamki. Bułgara odrzuciło aż na ścianę. Osunął się po niej, na zielonozłotej tapecie pozostały trzy czerwone smugi.

Oboje biegli teraz, szukając schronienia pod schodami. Dwaj inni mężczyźni, znajdujący się na schodach zatrzymali się, uskoczyli za krzesła i wymierzili w atakujących.

Terrorysty, zajmujący pozycję po przeciwnych stronach sali, uskoczyli także i wycelowali broń w atakujących. W tej samej chwili otworzyły się drzwi dzielące Radę Bezpieczeństwa od Rady Powierniczej. Wpadło przez nie czterech strażników ONZ. Na chwilę zapadła przejmująca cisza, przerywana tylko szlochem dzieci. Kambodżanie odwrócili się, by sprawdzić, kogo mają za plecami, terrorysty mierzyli w nowe cele.

Ta przerwa umożliwiła bandytom stojącym za Georgijewem, przy południowej ścianie, oddanie strzałów do Ty i Hanga. Oboje, klęczący dotąd przy ścianie u stóp galerii, padli.

Hang dostał kulę w ramię, Ty w udo. Ty zwinęła się w milczeniu i upadła na plecy, Hang padł na kolana, krzyknął i umilkł po postrzale w głowę. Po kilku drgawkach znieruchomiał.

Padając, Ty wypuściła z ręki pistolet. Sięgała po niego, kiedy drugi strzał trafił ją w ramię, a trzeci w brzuch. Instynktownie skuliła się, obejmując brzuch i nagle znieruchomiała.

Dostała kulę w wierzch głowy.

Oboje zginęli w nieco ponad sekundę, ich obecność zdezorientowała jednak funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa ONZ, niepewnych, czy mają do nich strzelać, czy nie. Ten moment zawahania wystarczył terrorystom stojącym pod północną ścianą sali na wycelowanie broni i oddanie strzałów wprost w drzwi. Jeden ze strażników upadł postrzelony w nogę; trzeba go było wyciągnąć. Pozostała trójka przykucnęła i zaczęła strzelać, lecz tylko osłaniała ewakuację rannego. Jeden z nich dostrzegł postrzeloną dziewczynkę, złapał ją pod pachy i odciągnął.

Jeden z terrorystów stojących przy południowej ścianie otrzymał postrzał w szyję. Spadł ze schodów i zatrzymał się dopiero, gdy uderzył głową w krzesło. Jeden ze strażników zginął

na miejscu. W sali zapanował nieopisany hałas, na który składały się strzały policji ONZ i terrorystów oraz krzyki zakładników. Wielu spośród nich nie tylko krzyczało, lecz także uskakiwało za najbliższą osłonę, jednocześnie próbując powstrzymać sąsiadów przed paniczną ucieczką.

149

Strzelanina skończyła się, gdy strażnicy ONZ wycofali się do sali Rady Powierniczej i zatrzasnęli za sobą drzwi. Krzyki nie ucichły jednak natychmiast. Salą przez kilka strasznych chwil rządziła nieopanowana panika.

150

v Nowy Jork, sobota 23.50

Reynold Downer złożył zakrwawione ciało Georgijewa na podłodze. Przyklęknął przy nim Etienne Vandal.

— Lepiej wracaj pod drzwi — powiedział Francuz. — Mogą zaatakować jeszcze raz.

— Za chwilę. — Downer wyciągnął okrwawione rękawiczki spod ciała i spojrzał na salę. Po schodach zbiegał niższy z dwóch terrorystów. A więc Sazanaka dostał. Barone pochylił się nad nimi, wyprostował i przeciągnął palcem po gardle. Ich pilot nie żył.

Downer i Vandal zaklęli jednocześnie. Francuz zdjął maskę z twarzy leżącego na zakręcie schodów Georgijewa. Tylko że nie była to twarz Georgijewa.

— A więc go dopadli — stwierdził rzeczowo Australijczyk. — Tak mi się wydawało, że słyszałem tam jakiś hałas. Dopadli go, sukinsyny. — Splunął na ciało leżącego nieruchomo mężczyzny.

Vandal zsunął rękawiczkę z jego przegubu. Starł się wyczuć puls.

— Nie żyje — powiedział, puszczając rękę. Spojrzał na zwłoki leżące obok galerii. —

Zaatakowała nas Służba Bezpieczeństwa ONZ. Założę się, że ten tu był z nimi. Ale... skąd się wzięła ta dwójka?

— Prawdopodobnie tajna policja — wyraził swą opinię Downer. — Ochrona koncertu.

— Więc dlaczego nie zaatakowali wcześniej? — zdziwił się Vandal. — Dlaczego nie próbowali chronić delegatów?

— Może wysłali jakiś tajny sygnał z prośbą o wsparcie? I czekali? — zastanawiał się Australijczyk.

— Nie sądzę. Sprawiali wrażenie zaskoczonych, kiedy zorientowali się, że zaatakowała nas Służba Bezpieczeństwa ONZ.

Downer ruszył po schodach w górę. Vandal zbiegł na dół. Tak naprawdę nie przypuszczał, by atak powtórzono natychmiast. Siły ONZ nieźle oberwały. Zabrali wprawdzie ranną dziewczynkę, ale z pewnością nie to było ich celem. Wkroczyli najwyraźniej z zamiarem zdobycia przyczółka.

Dlaczego wsparcie nie wyciągnęło dziewczynki?

Słyszając strzały zakładnicy padli na podłogę, niektórzy schronili się za stołem. Najlepiej, by pozostali teraz tam gdzie są. Słyszał szlochy i jęki, ale atak wszystkich przecież wytrącił z równowagi. Nikt mu nigdzie nie ucieknie.

Obejrzał ciała tej dwójki, która zginęła u stóp galerii. Azjaci. Przyklęknął i przeszukał

kieszenie marynarki mężczyzny. Kambodżański paszport, więc przynajmniej istniał tu jakiś związek. Georgijew prowadził kilka nielegalnych operacji pod przykrywką sił pokojowych ONZ; od szpiegostwa po prostytucję. Być może ktoś chciał się zemścić? Lecz skąd wiedział, że tu go spotka?

Podszedł do niego Barone. Vandal rzucił paszport na podłogę i wstał.

— Nie żyje? — Urugwajczyk wskazał na ciało „Georgijewa”.

— To nie on — powiedział Francuz.

— Co?

— Dopadli go, kiedy wyszedł. I podmienili na swojego człowieka.

— Kto by pomyślał, że mają tak duże *cojones*? Pewnie dlatego zaatakowała policja ONZ. Po prostu szli za swoim szefem.

— To bardzo prawdopodobne.

Barone pokręcił głową.

— Jeśli przekaże im informacje o koncie w banku, to nawet jeśli przeleją pieniądze na konto, zaraz nam je zabiorą.

— Jasne.

— Więc, co robimy?

— Nadal możemy zabić zakładników, jeśli ich ludzie spróbują zaatakować — myślał na głos Vandal.

— Proponuję, żebyśmy trzymali się planu... z dwoma wyjątkami.

— Jakimi?

Vandal spojrzał na dzieci, siedzące przy wielkim stole.

— Powiemy im, że chcemy gotówkę. I przyspieszymy zegar.

Patrzył na puste krzesło, na którym siedziała dziewczynka, która próbowała uciekać.

Potem przesunął wzrok na Harleigh Hood. Było w niej coś... wyzwanie?... w każdym razie coś, co go zaniepokoiło.

Powiedział Barone'owi, że teraz jej kolej.

v Nowy Jork, sobota 23.51

Pluskwa dźwiękowa w korytarzu przekazała odgłos strzałów z sali Rady Bezpieczeństwa. Huk strzałów był stłumiony, podobnie jak dobiegające z korytarza krzyki, Paul Hood i inni nie mieli jednak wątpliwości, że któraś ze stron wykonała ruch.

Paul stał za plecami Susie, która przesiadła się do stojącego na sąsiednim biurku laptopa

– powiedziała, że może to podnieść jakoś dźwięku – ale pozostała na posterunku. Była spokojna i bardzo skupiona.

Pułkownik August stał za Hoodem, po jego lewej stronie. Mike Rodgers zdjął

marynarkę, podwinął rękawy koszuli i przysunął sobie krzesło stojące przy wolnym biurku.

Poprosił o plany gmachu ONZ, które natychmiast otrzymał. Paul zajrzał do nich przez jego ramię. FBI przygotowało je najwyraźniej po to, by – jeszcze w latach czterdziestych –

umieścić prymitywne urządzenia podsłuchowe w materiałach budowlanych. Współczesne adnotacje świadczyły o tym, że planów tych używała także CIA do zaprogramowania tras swych pluskiew.

Rodgers usiadł blisko stojącej na podłodze płóciennej torby z rozsuniętym zamkiem błyskawicznym. Wewnątrz niej Paul dostrzegł telefon *TAC-SAT*. W tym momencie zadzwonił

jego telefon komórkowy. Był pewien, że dzwoni Bob Herbert lub może Ann Farris, by przekazać mu najnowsze informacje. Wyjął telefon i podniósł go do ucha. Mike Rodgers wstał z krzesła i podszedł do niego.

— Słucham.

— Paul, to ja.

— Sharon! — Boże, nie teraz!

Mike Rodgers zatrzymał się w pół kroku. Paul obrócił się twarzą do ściany.

— Przepraszam cię, kochanie — powiedział cicho. — Właśnie miałem się z tobą spotkać, kiedy coś się zdarzyło. W związku z Mike'em.

— Jest z tobą?

— Tak. — Właściwie nie zwracał uwagi na głos żony w słuchawce. Próbował śledzić to, co działo się w sali Rady Bezpieczeństwa. — U ciebie wszystko w porządku?

— Chyba żartujesz. Paul, bardzo cię potrzebuję.

153

— Wiem. Słuchaj, tu dzieje się chyba coś bardzo ważnego. Próbujemy wyciągnąć Harleigh i inne dzieciaki z tego bagna. Zadzwoń do ciebie.

— Jasne. Skąd ja to znam.

Sharon przerwała rozmowę.

Hood poczuł się tak, jakby uderzyła go w twarz. Jakim cudem dwójka ludzi może być sobie tak bliska w nocy, a tak daleka, tak obca następnego dnia? Nie czuł się jednak winny.

Nie, poczuł gniew. Robił to, co robił, bo miał nadzieję uratować Harleigh.

Wyłączył telefon i schował go do kieszeni. Mike położył mu rękę na ramieniu.

Nagle ze słuchawek usłyszeli wyraźny głos Chatterjee.

— Poruczniku Mailman, co się tam stało?

— Ktoś postrzelił pułkownika Motta, nim nasz zespół miał szansę zaatakować.

Pułkownik najprawdopodobniej nie żyje.

— Nie... — westchnęła pani sekretarz, nim umilkł poprzedni głos. — O Boże, nie!

— Zginął jeden z moich ludzi. Nim się wycofaliśmy, zabiliśmy terrorystę — ciągnął

porucznik. — Wyciągnęliśmy także ranną dziewczynkę. Została postrzelona. Nie byliśmy w stanie opanować sali bez wielu ofiar.

Paul Hood poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

— Dowiem się, o kogo chodzi — powiedział Rodgers. — Nie dzwoń do Sharon. Nie straszmy jej niepotrzebnie.

— Dzięki.

Generał podniósł słuchawkę jednego z telefonów i zadzwonił do Boba Herberta. Celem tropienia znanych terrorystów i postaci z podziemia kryminalnego – spośród których wielu bywało ranionych w wybuchach bomb, wypadkach samochodowych i strzelaninach –

Centrum dysponowało programem komputerowym, połączonym z systemami szpitali w wielkich miastach oraz z bankiem danych ubezpieczeń społecznych. Ilekroć w danych szpitalnych rejestrowano

numer ubezpieczenia, był on sprawdzany w Centrum celem sprawdzenia, czy pacjenta nie szuka policja lub FBI. W tym przypadku Herbert mógł polecić Mattowi Stollowi sprawdzenie wszystkich chorych przyjętych do nowojorskich szpitali najbliższych kompleksowi budynków ONZ w ciągu ostatniej godziny.

W Sekretariacie tymczasem nadal toczyła się rozmowa.

— Podjął pan właściwą decyzję wycofując się — powiedziała Chatterjee.

— Jest jeszcze coś — zameldował porucznik. — Dwójka delegatów była uzbrojona i strzelała.

154

— Kto?

— Nie wiem. Jeden z moich ludzi, który miał szansę się im przyjrzeć, twierdzi, że byli to Azjaci. Mężczyzna i kobieta.

— W grę może wchodzić Japonia, Południowa Korea i Kambodża — stwierdziła Chatterjee.

— Oboje zginęli, zabici przez terrorystów.

— Do kogo strzelali?

— Może pani wierzyć albo nie, ale do pułkownika Motta.

— Do pułkownika? Z pewnością wzięli go za...

— Za terrorystę, którego zastąpił — dokończył za nią porucznik.

Mailman nie skończył mówić, kiedy odezwało się radio.

— Tu sekretarz generalna ONZ — powiedziała Chatterjee.

— Postąpiliście głupio. Popełniliście błąd — powiedział męski głos, niewyraźny, cichy, mówiący z akcentem, ale Paul nie miał problemu ze śledzeniem toku rozmowy.

Skoncentrował się na niej, wdzięczny za to, że może w ten sposób przestać myśleć o rannej dziewczynce.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało — powiedziała sekretarz generalna. —

Próbowaliśmy dojść do porozumienia z pańskim partnerem...

— Nie próbuj mi wmówić, że to my popełniliśmy błąd — przerwał jej terrorysta.

— Nie, wszystko przeze mnie...

— Zналиście zasady i zignorowaliście je. Mamy dla was nowe instrukcje.

— Najpierw proszę powiedzieć, w jakim stanie jest nasz człowiek.

— Nie żyje.

— Jest pan tego pewien? — nalegała Chatterjee.

Rozległ się strzał.

— Owszem, teraz jestem tego pewien — powiedział mężczyzna. — Chcesz jeszcze o coś zapytać?

— Nie.

155

— Możecie odebrać trupa, kiedy się stąd wyniesiemy — oznajmił terrorysta. — Kiedy to nastąpi, to już zależy od was.

Zapadła krótka chwila strasznej ciszy.

— Słucham — wykrztusiła wreszcie Chatterjee.

— Chcemy helikoptera z sześcioma milionami dolarów amerykańskich. W gotówce, nie mam mowy o przelewie. Macie naszego człowieka, może wam podać nazwiska i numery rachunków. Nie chcę, żebyście zablokowali nam konta. Dajcie nam znać, kiedy przyleci helikopter. Zaczniemy zabijać za osiem minut, a potem co pół godziny. Tylko tym razem nie będziemy zabijać delegatów, lecz obecne tu młode damy.

Paul Hood dopiero teraz poznał prawdziwe znaczenie słowa „nienawiść”.

— Proszę, nie! — krzyknęła Chatterjee.

— To wasza robota.

— Proszę mnie posłuchać. Dostaniecie czego chcecie, jeśli przestaniecie zabijać! I tak było już za wiele trupów.

— Zostało pięć minut.

— Nie! Dajcie nam kilka godzin. Będziemy z wami współpracować. Halo? Halo?

Cisza. Paul Hood rozumiał, jak strasznie bezradna musi czuć się teraz pani sekretarz.

Pułkownik August pokręcił głową.

— Strażnicy powinni natychmiast jeszcze raz zaatakować, ci ludzie z pewnością nie spodziewają się ataku akurat teraz.

— To my powinniśmy zaatakować — stwierdził Paul.

— Ostrzegli, że użyją gazu bojowego — przypomniała im Susie.

— Ale go nie użyli, chociaż zostali zaatakowani — zauważył August. — Bandyci biorący zakładników chcą żyć, właśnie dlatego biorą zakładników. Nie zrezygnują dobrowolnie z przewagi, którą mają nad nami dzięki nim.

Rodgers odłożył słuchawkę telefonu.

— To nie Harleigh została ranna — oznajmił. — Dziewczynka nazywa się Barbara Mathis.

Wszystko jest względne, pomyślał Paul. Jego córka nadal pozostawała zakładnikiem terrorystów, a jedna z jej przyjaciółek prawdopodobnie walczy ze śmiercią. A mimo to poczuł

ulgę, od której zrobiło mu się wręcz słabo.

156

Mimo wszystko musiał jednak zgodzić się z Augustem. Nie mieli do czynienia z samobójcami, gotowymi zginąć wraz z zakładnikami. To, co się zdarzyło, nie było też aktem terroryzmu politycznego. Trafili na pospolitych rabusiów. A oni bardzo pragną przeżyć, by móc cieszyć się łupem.

Chatterjee poinformowała porucznika Mailmana, że udaje się do szpitala. Chciała porozmawiać z ujętym terrorystą. Oddaliła się i transmisja została przerwana.

— Wyszła z zasięgu pluskwy — oznajmiła Susie.

Rodgers spojrział na zegarek.

— Mamy niespełna siedem minut — powiedział ostro. — Jak możemy ich powstrzymać?

— Nie starczy nam czasu, by przenieść się do budynku i wejść do sali Rady Bezpieczeństwa — zauważył August.

Generał zwrócił się do agentki CIA.

— Słucha ich pani od przeszło pięciu godzin — zauważył. — Co pani o tym myśli?

— Nie wiem...

— Więc proszę zgadywać.

— Stracili przywódcę. Nie sposób przewidzieć, do czego są zdolni.

— Skąd pani to wie?

Dziewczyna spojrzała na niego, zdziwiona.

— Skąd pani wie, że stracili przywódcę?

— A kto inny wyszedłby pertraktować w ich imieniu?

Rozległ się sygnał telefonu. Rozmowę przyjęła Susie. Dzwonił Darrell McCaskey, do generała Rodgersa. Dziewczyna przekazała mu słuchawkę. Spojrzeli na siebie i w spojrzeniu tym było coś... nieufność? Wątpliwości?

Rozmowa trwała krótko. Rodgers nie mówił niemal nic; stał wyprostowany i z uwagą słuchał sprawozdania McCaskeya. Potem oddał słuchawkę Susie, która odłożyła ją na widełki.

— Służba Bezpieczeństwa zdjęła odciski palców schwytanego terrorysty — powiedział.

— Darrell właśnie dostał tę informację. — Spojrzał na dziewczynę, pochylił się nad nią i oparł dłonie na podpórkach jej fotela. — Niech pani coś mi powie, pani Hampton.

— Słucham?

157

— Mike, o co chodzi? — zdziwił się Hood.

— Ten terrorysta nazywa się Iwan Georgijew. Jest pułkownikiem. — Rodgers nie spuszczał wzroku z Susie. — Służył w siłach pokojowych ONZ w Kambodży, był kontaktem CIA w Bułgarii. Czy coś pani o nim wie?

— Ja? — zdziwiła się Susie.

— Tak, pani.

— Nie.

— Ale wie pani coś, czego my nie wiemy — stwierdził generał.

— Nie...

— Kłamiesz!

— Mike, co tu się właściwie dzieje?!

— Przyszła do biura przed atakiem. — Generał przysunął się bliżej dziewczyny. —

Powiedziałaś, że do pracy?

— Owszem.

— Zawsze tak ubierasz się do pracy?

— Chłopak nie przyszedł na randkę. Dlatego tu przyjechałam. Miałam rezerwację w

„Chez Eugene”, może pan to sprawdzić. Słuchajcie, naprawdę nie wiem, dlaczego mam się tłumaczyć i...

— Ponieważ kłamiesz — przerwał jej Rodgers. — Wiedziałaś, co się ma zdarzyć?

— Nie, oczywiście!

— Ale wiedziałaś, że coś nastąpi — stwierdził generał. — Służyłaś w Kambodży.

Pułkownika Motta zabiła dwójka Kambodżan, udających delegatów ONZ. Czy sądzili, że zabijają Georgijewa?

— A skąd miałabym to wiedzieć! — krzyknęła Susie.

Rodgers jednym ruchem szarpnął krzesło. Pojechało przez pokój i uderzyło w szafkę z aktami. Susie próbowała wstać, ale generał pchnął ją tak mocno, że usiadła z powrotem.

— Mike! — krzyknął oburzony Hood.

— Nie mamy czasu na bzdury, Paul. Twoja córka może być następną ofiarą! — Spojrzał

wściekle na agentkę CIA. — Masz tu włączony *TAC-SAT*. Do kogo dzwoniłaś?

— Do mojego przełożonego w Moskwie...

158

— Zadzwoń do niego. Już!

Dziewczyna zawahała się.

— Już!

Nie poruszyła się.

— A więc od kogo dzwoniłaś? Kambodżan czy terrorystów?

Susie nie odpowiadała. Ręce trzymała na oparciach krzesła. Nagle Rodgers nakrył jej dłoń swoją i unieruchomił ją. Wsunął kciuk pod palec wskazujący dziewczyny i odciągnął go.

Krzyknęła i wyciągnęła drugą rękę, próbując z nim walczyć. Nie miała szans, on także miał rękę wolną.

— Z kim rozmawiałaś przez ten cholerny telefon?! — krzyknął.

— Przecież mówiłam!

Rodgers odchyłał jej palec, aż prawie dotknął on ramienia. Susie krzyknęła.

— Z kim rozmawiałaś?

— Z terrorystami. — Dziewczyna rozplakała się. — Z terrorystami!

Słyszając te słowa Paul Hood omal nie zwymiotował.

— Czy pomaga im ktoś jeszcze, oprócz ciebie?

— Nie!

— Jakie jest teraz twoje zadanie?

— Potwierdzić, że pieniądze zostały przekazane na konto.

Rodgers puścił jej palec i wstał. Paul Hood przyglądał się dziewczynie.

— Dlaczego im pomagałaś?

— W tej chwili nie mamy na to czasu — przerwał mu Rodgers. — Za trzy minuty zabiją kolejnego zakładnika. Jak możemy ich powstrzymać?

— Zapłacić im — zaproponował August.

— Wyjaśnij — powiedział Rodgers, patrząc ze zdziwieniem na przyjaciela.

— Znamy numer Chatterjee. Poprosimy ją, żeby połączyła się przez radio z terrorystami i oznajmiła im, że ma pieniądze. Ta tutaj panienska potwierdzi tę informację. Potem skontaktujemy się z nowojorską policją i wyślemy helikopter, którego się domagają. SWAT

zdejmie ich po drodze do helikoptera.

— Wyjdą, zgoda. Ale z zakładnikami.

— W którymś momencie musimy zaryzykować życiem zakładników — stwierdził

August. — W ten sposób ocalimy ich więcej, niż bylibyśmy w stanie ocalić, atakując salę Rady Bezpieczeństwa, a już z całą pewnością o jednego więcej.

— Róbcie, co macie robić — zdecydował Paul Hood. — Tylko szybko.

v Nowy Jork, sobota 23.55

Sekretarz generalna Chatterjee zbiegła ruchomymi schodami do szpitala, znajdującego się na parterze, niedaleko holu dla gości. U stóp schodów czekał na nią asystent i poszedł za nią. Enzo Donati był młodym studentem z Rzymu, zaliczającym zajęcia do pracy magisterskiej ze stosunków międzynarodowych. Miał telefon komórkowy pani sekretarz, miał

także stały kontakt z nowojorskim biurem Interpolu. Dowiedział się, że więzień nazywa się Iwan Georgijew, i że był oficerem bułgarskiej armii. Ambasador Bułgarii nie uczestniczył w przyjęciu, lecz został już zawiadomiony.

Chatterjee przeszła przez wejście przeznaczone wyłącznie dla delegatów, znajdujące się przy części wystawy poświęconej Hiroszynie. Szła jaskrawo oświetlonym korytarzem.

Próbowała nie myśleć o śmierci pułkownika Motta i ludzi z jego Służby Bezpieczeństwa, próbowała nie myśleć o śmierci delegatów. Myślała wyłącznie o tym, że zbliża się północ, o śmierci którejś z młodych skrzypaczek i o tym, jak tej śmierci zapobiec. Miała zamiar zaproponować Georgijewowi układ. W zamian za przemówienie innym terrorystom do rozsądku i pomoc w rozładowaniu sytuacji chciała obiecać, że zrobi co w jej mocy, by wyjednać mu przebaczenie.

Zakładała, iż Georgijew jest przytomny. Nie rozmawiała z sanitariuszami od czasu, gdy przetransportowali go do szpitala. Jeśli nie odzyskał przytomności... nie wiedziała co ma zrobić. Za niespełna pięć minut miało dojść do kolejnej egzekucji. Atak ludzi pułkownika Motta został odparty, jej własne dyplomatyczne wysiłki zdały się na nic. Współpraca z terrorystami była oczywiście jakimś wyjściem, ale zebranie sześciu milionów dolarów musiało potrwać. Zadzwoiła do zastępcy sekretarza generalnej Takehary; poprosiła, by porozumiał się z innymi członkami komitetu nadzwyczajnego, który ustaliłby, jak tego dokonać. Zdawała sobie sprawę z tego, że choćby i zapłacili, nie powstrzyma to rozlewu krwi. Nowojorska policja lub FBI zaatakują niewątpliwie, gdy tylko terroryści wyjdą z ukrycia. Niemniej istniała szansa, że niektórzy delegaci i niektóre skrzypaczki wyjdą z tego napadu z życiem.

Dlaczego międzynarodowe kryzysy daje się opanować znacznie łatwiej niż ten? —

dziwiła się. Ponieważ ich skutki mogą być tak straszliwe? Ponieważ żadna z dwóch lub więcej stron nie chce pierwsza ściągnąć spustu? Jeśli tak, to w rzeczywistości wcale nie przybliżyła ery światowego pokoju. Była tylko środkiem przekazu, jak telefony lub jak któryś z filmów ojca. Urodziła się w kraju Ghandiego, ale nie przypominała go pod żadnym względem.

Skręcili na rogu korytarza i podeszli do prowadzących do szpitala drzwi. Enzo wyprzedził panią sekretarz i otworzył je. Chatterjee weszła do środka i zatrzymała się nagle.

W sali recepcyjnej na podłodze leżało dwóch sanitariuszy. W sali lekarzy, na podłodze, dostrzegła ciało siostry dyżurnej. Obok niej dostrzegła dwóch strażników.

Enzo podbiegł do najbliższego ciała. Na kafelkach podłogi widać było ślady krwi.

Sanitariusze żyli, choć byli nieprzytomni, najprawdopodobniej od uderzeń w głowę.

Pielęgniarka także była nieprzytomna.

Fartuchy mieli całe, nic nie wskazywało na to, by odbyła się tu walka. Po kajdankach i po Georgijewie nie pozostał nawet ślad.

Chatterjee próbowała odtworzyć w myśli przebieg wydarzeń. Nasuwało się tylko jedno rozwiązanie tej zagadki: ktoś tu na nich czekał.

v Nowy Jork, sobota 23.57

Paul Hood zatelefonował do Boba Herberta i kazał mu zdobyć numer telefonu komórkowego sekretarza generalnej ONZ. Podczas gdy czekał, Mike Rodgers przywiązał

Susie Hampton do krzesła. Prawą rękę dziewczyny przymocował do oparcia fotela taśmą izolacyjną, którą znalazł w szafce z narzędziami. Na półce leżały zwoje sznurka, ale podczas przesłuchań w polu nauczył się ufać taśmie; nie zostawiała otarć i ran na skórze, trudniej także było ją rozluźnić.

Znalazł także broń ręczną i elementy wyposażenia polowego CIA, ukryte w pobliżu szafki. Broń zamknięta była na zabezpieczonych stelażach. Z kieszeni wiszącego w szafie żakietu dziewczyny wyjął klucze. Przepisy CIA nakazywały, by osoba odpowiedzialna za działanie lokalu operacyjnego, miała w każdej chwili dostęp do „środków samoobrony”.

Jeden z kluczy otworzył zabezpieczenie. Generał wybrał dwie *Beretty* dla siebie i dwie dla Augusta. Każda z nich miała magazynek na piętnaście nabojów. Złapał także dwa radiotelefony i kostkę *C-4* wraz z detonatorami. Materiał wybuchowy włożył do wyściełanego pianką plecaka, który przerzucił przez plecy. Nie był to typowy zestaw Iglicy –

powinni dysponować jeszcze noktowizorami i pistoletami maszynowymi *Uzi* – ale musiał zadowolić się tym, co miał pod ręką. Miał nadzieję, że nie będzie musiał korzystać z broni.

Lecz przygotowywał się na najgorsze.

Wrócił do gabinetu i spojrzał na dziewczynę.

— Jeśli będziesz współpracowała, pomogę ci, kiedy to wszystko się skończy — obiecał.

Dziewczyna milczała.

— Rozumiesz, co to znaczy?

— Rozumiem — odparła, nie podnosząc głowy.

Wręczył Augustowi przeznaczoną dla niego broń. Ujął go pod ramię. Podeszli do Paula Hooda, nadal ściskającego w ręku słuchawkę telefonu.

— O co chodzi? — spytał pułkownik.

— Mam kiepskie przeczucia co do naszego jeńca — odparł cicho Mike.

— Jakie? — spytał Hood.

— Za kilka minut ta pani będzie nas miała na widelcu. Założmy, że na naszą prośbę Chatterjee skontaktuje się z terrorystami. Wówczas ona nie poprze naszego blefu. Co wówczas?

163

— Moim zdaniem nasza pozycja się przez to nie zmieni — powiedział August.

— Owszem, zmieni. Terroryci uznają, że najpierw zostali zaatakowani, a następnie oszukani. Zapragną się nam odwdzięczyć. Zastrzelić zakładnika w wyznaczonym terminie i dodać jeszcze jednego.

— Twierdzisz, że nie powinniśmy robić tego, co mamy zamiar zrobić?

— Nie. Nie sądzę, byśmy mieli jakiś wybór. Przynajmniej kupimy sobie parę dodatkowych chwil.

— A po co nam one? — nie zrozumiał Paul.

— Potrzebujemy ich, by przejąć kontrolę nad sytuacją.

Augustowi najwyraźniej spodobała się ta sugestia. Paul Hood pokręcił głową.

— Jakimi siłami? — spytał. — Jesteście tylko wy dwaj.

— To może się udać — stwierdził Rodgers.

— Powtarzam — jest was tylko dwóch.

— W teorii to się może udać.

Paulowi nie spodobała się ta odpowiedź.

— Przeprowadzaliśmy symulacje. Brett ćwiczył takie sytuacje.

— Mike, jeśli nawet uda się wam tam dostać, zakładnicy znajdą się w bardzo poważnym niebezpieczeństwie.

— A ja pytam cię raz jeszcze, co się stanie, jeśli ta dama nie zdecyduje się nas poprzeć?

Mamy beczkę prochu... człowieka... a teraz przykładamy do niej zapalnik. Terroryci wylecą w powietrze.

Rzeczywiście, generał miał rację. Hood spojrzał na zegarek.

— Bob? — powiedział do słuchawki.

— Jestem — odparł natychmiast Herbert.

— Co z tym numerem telefonu?

— Nie uwierzycie, ale Departament Stanu dysponuje wyłącznie numerem telefonu sekretarz Chatterjee. Darrell robi co może, żeby zdobyć telefon Chatterjee przez Interpol, a Matt próbuje wyciągnąć go z komputera. Osobiście stawiam całą forszę na Matta. Poczekaj jeszcze minutkę, dwie.

— Bob, my mierzymy czas w sekundach.

164

— Wiem.

Hood spojrzał na Rodgersa.

— Jak dostaniecie się do środka? — spytał.

— Tylko August musi dostać się do środka — wyjaśnił generał. — Ja zajmę pozycję obronną, na zewnątrz sali Rady Bezpieczeństwa. — Spojrzał na pułkownika. — Wejście do garaży ONZ znajduje się po południowo-wschodniej stronie kompleksu, prowadzą do nich schody umieszczone w jednej linii z wejściem do budynku. Tamtędy się do niego dostaniesz.

— Skąd wiesz, że wejście z garaży będzie otwarte? — spytał Hood.

— Było otwarte, kiedy się tu pojawiłem i najwyraźniej będzie otwarte na wypadek, gdyby trzeba było wprowadzić do środka ludzi i sprzęt. Terroryci mogliby usłyszeć hałas, z jakim takie wielkie drzwi otwierają się i zamykają. Zrozumieliby, że coś się dzieje.

Ma rację, pomyślał Paul.

— W Ogrodzie Różanym przed garażem nie będzie najprawdopodobniej funkcjonariuszy ochrony — mówił dalej Rodgers, zwracając się do Augusta. — Zapewne trzymają wszystkich swoich ludzi na linii obrony, nie mają ich w końcu za wielu. Przed helikopterami zdołasz ukryć się pod krzewami róż i posągami. Kiedy przejdiesz przez park do garażu, kłopot będziesz miał wyłącznie z korytarzem między windami a salą Rady Bezpieczeństwa. Według planów, szyb windy jest odległy od korytarza jakieś piętnaście metrów.

— Czy to poważny problem? — spytał Hood.

— Nie, skąd — uspokoił go pułkownik. — Piętnaście metrów potrafię przebyć całkiem szybko. Jeśli będę musiał, przewracam ludzi, którym wpadnie do głowy mnie zatrzymać.

Zaskoczenie działa czasem nawet wobec własnych sił.

— A co jeśli ochrona zacznie do ciebie strzelać?

— Przez pluskwę słyszałem głosy mówiące z cudzoziemskim akcentem. Jestem pewien, że to personel ONZ, którego będę mógł użyć jako tarczy. A kiedy dostanę się do sali Rady Bezpieczeństwa, przestanie mieć to jakiegokolwiek znaczenie.

— Ale jest to jednak jakaś przeszkoda.

— Może uda się nam skłonić Chatterjee do współpracy? — zasugerował August.

— Jeśli kłamstwo w sprawie okupu nie zadziała, wątpię, czy uda się nam skłonić ją do kolejnego kłamstwa. Dyplomaci, którzy nigdy nie byli żołnierzami, nie rozumieją, jak szybko zmienia się sytuacja na polu walki.

— Może już wówczas nie mieć wyboru — zauważył Rodgers. — Pułkownik będzie na sali.

165

— Jak myślisz, kto będzie pilnował wejścia do garażu? — spytał go August.

— Zapewne nowojorska policja. Większość strażników ONZ jest w gmachu.

W słuchawce telefonu odezwał się głos Boba Herberta. Geniusz komputerowy Centrum, Matt Stoll, zdołał wyciągnąć numer Chatterjee z zabezpieczonej, sieciowej książki telefonicznej ONZ, nim McCaskey uzyskał tę informację z Interpolu. Paul Hood zapisał go na kartce. Linia nie była bezpieczna, ale musiał podjąć ryzyko. Miał bardzo niewiele czasu.

Muszę ryzykować w wielu sprawach, powiedział sam do siebie. Zgodził się na przedstawiony mu plan. August oddalił się natychmiast.

Wystukał podany numer.

— To linia sekretarz generalnej ONZ — odezwał się w słuchawce głos z włoskim akcentem.

— Mówi Paul Hood, dyrektor waszyngtońskiego Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym. Muszę natychmiast porozmawiać z sekretarz generalną.

— Panie Hood, mamy tutaj poważ...

— Wiem. Jeśli zareagujemy szybko, możemy ocalić życie następnej ofiary. Proszę przekazać słuchawkę pani Chatterjee.

— Jedną chwileczkę.

Hood spojrział na zegarek. O ile terroryści nie pośpieszą się, mieli jeszcze nieco ponad minutę.

— Tu Mala Chatterjee — usłyszał w słuchawce.

— Pani sekretarz, mówi Paul Hood. Jestem dyrektorem waszyngtońskiej agencji rządowej zajmującej się rozwiązywaniem kryzysów. Wśród zakładników jest moja córka. —

Głos mu drżał, zdawał sobie sprawę z tego iż to, co powiedział, może ocalić Harleigh lub przypieczętować jej los.

— Tak, panie Hood?

— Potrzebuję pani pomocy. Proszę, by zawiadomiła pani terrorystów przez radio, że ma pani pieniądze i załatwiła pani helikopter, którego się domagali. Jeśli pani to zrobi, dysponujemy środkami, by pani uwierzyli.

— Ale przecież nie mamy ani pieniędzy, ani helikoptera. I raczej ich nie dostaniemy.

— Terrorysty zdadzą sobie z tego sprawę dopiero po opuszczeniu sali. Będzie na nich czekał oddział nowojorskiej policji. To mogę załatwić.

— Przeprowadziliśmy już jeden, tragiczny w skutkach atak. Nie zezwolę na drugi.

166

Paul nie chciał, by wiedziała, że on wie o tym ataku.

— Tym razem wszystko odbędzie się inaczej — powiedział. — Gdy terroryści znajdą się na zewnątrz budynku, nie będą w stanie kontrolować wszystkich zakładników. Niektórych z pewnością uda się nam wydostać. Jeśli zaś użyją gazu bojowego, będziemy w stanie skuteczniej im pomóc. Ale musi pani połączyć się z terrorystami natychmiast. I musi pani uświadomić im, że oferta ważna jest tylko w przypadku, gdy zrezygnują z zabijania kolejnych zakładników.

Chatterjee zawahała się. Paul Hood nie potrafił pojąć powodów jej wahania. Po klęsce, jakiej doznał oddział ochrony ONZ, można już było postępować na wyłącznie jeden sposób: wykurzyć tych sukinsynów. A może ta Hinduska nadal myślała, że uda się jej nawiązać dialog z terrorystami, skłonić ich, by się poddali? Gdyby miał czas na dokładniejsze wyjaśnienia, powiedziałby jej pewnie, że pułkownikowi Georgijewowi udało się ośmieszyć operację Służby Bezpieczeństwa ONZ. Spytałby ją, czy jest w stanie nadal wierzyć w to, co zawsze powtarzała: że utrzymywanie pokoju i negocjacje to droga godna, użycie siły zaś jest drogą niegodną.

— Pani sekretarz — powiedział błagalnie. — Mamy do dyspozycji niespełna minutę.

Chatterjee nadal się wahała. Żaden despota nie wzbudził w Paulu Hoodzie takiego obrzydzenia, jakie budziła teraz w nim ta tak zwana demokratka. Nad czym tu przemyśliwać?

Nad kłamaniami terrorystom? Nad koniecznością wyjaśniania Gabonowi, dlaczego ONZ

przekroczyło swe zasady statutowe, dlaczego nie skontaktowano się z ocalałymi przedstawicielami

Zgromadzenia Ogólnego, dlaczego dopuszczono do tego, by USA uwolniły zakładników i wyeliminowały terrorystów?

Niestety, nie było czasu na dyskusje. Paul Hood miał nadzieję, że Chatterjee także to zrozumie... i że nie zabierze jej to zbyt wiele czasu.

— W porządku — odpowiedziała pani sekretarz. — Połączę się z nimi... żeby ocalić życie.

— Dziękuję pani — powiedział Paul Hood. — Będę w kontakcie.

v Nowy Jork, niedziela 00.00

Harleigh Hood klęczała, zwrócona twarzą w stronę zamkniętych drzwi sali Rady Bezpieczeństwa ONZ. Terrorysta, którego nazywała Australijczykiem, trzymał ją za włosy mocnym, bolesnym chwytem. Inny, wyglądający na Hiszpana, stał za nim, wpatrzony w zegarek. Dziewczynka miała spuchniętą twarz z raną nad prawym policzkiem, pozostawioną przez lufę pistoletu, którym uderzył ją, kiedy próbowała go ugryźć. Jej usta krwawiły. Podarli na niej sukienkę. Bolała ją szyja, otarta kiedy ciągnęli ją, kopiąc ściany, podłogę, krzesła.

Lewa strona ciała płonęła przy każdym oddechu. Przed chwilą została mocno kopnięta w żebra.

Harleigh nie miała zamiaru dać się zabić bez walki. Teraz, pobita i obezwładniona, patrzyła tępo przed siebie. Cierpiała, ale najbardziej bolało ją to, że została pozbawiona człowieczeństwa; coś, czego nie można nawet dotknąć. W przebłysku świadomości pomyślała, że pewnie tak właśnie czują się ofiary gwałtu. Odebrano jej prawo wyboru.

Pozbawiono ją resztek godności. W przyszłości bałaby się pewnie wszystkiego, co kojarzyło się z tym doświadczeniem – pociągnięcia za włosy, dotyku dywanu na kolanach. A najgorsze było prawdopodobnie to, że nic nie zrobiła, nic nie powiedziała, niczym się nie naraziła, była po prostu obiektem zwierzęcej nienawiści. Czy tak miała wyglądać śmierć? Żadnych aniołów, żadnych trąb? Czy na zawsze miała pozostać tylko bezmyślnym kawałkiem mięsa?

Nie.

Harleigh krzyknęła z gniewem, zrodzonym z samego jądra jej istoty. Powtórzyła okrzyk i, czując ból w każdym mięśniu, próbowała poderwać się na równe nogi. Śmierć odbierała człowiekowi człowieczeństwo, jeśli jej się na to pozwoliło.

Australijczyk szarpnął ją za włosy i obrócił. Upadła na plecy. Nadal próbowała wstać, obracała się z boku na bok. Terrorysta przyklęknął jej na piersi. Znieruchomiał. Wsunął jej w usta lufę pistoletu.

— Krzycz w nią, kochanie — syknął.

Harleigh krzyknęła. Wsunął lufę głębiej, aż zaczęła się dławić.

— Spróbuj jeszcze raz, aniele — poradził. — Po raz ostatni.

Ślina, która zebrała się w ustach dziewczynki, miała smak metalu. Była w niej także krew. Nie mogła krzyczeć, musiała najpierw przełknąć, a to wcale nie było łatwe. Nie mogła przełykać, nie mogła kaszleć, nie mogła oddychać! Utopi się we własnej ślinie, nim ją zastrzelą! Próbowała odsunąć rękę trzymającą pistolet, ale ten człowiek wolną dłońią złapał

oba jej nadgarstki. Z łatwością przygiął jej chude ramiona do ziemi.

— Już czas — powiedział Barone.

Downer spojrzał na dławiającą się Harleigh.

W tej chwili odezwało się radio.

— Czekaj — powiedział natychmiast Urugwajczyk. — Tak?

— Mówi sekretarz generalna Chatterjee. Mamy pieniądze, helikopter jest już w drodze.

Terroryści wymienili spojrzenia. Barone wcisnął przycisk odcinający nadawanie. Oczy zwęziły mu się podejrzliwie.

— Kłamie — orzekł Australijczyk. — Nie była w stanie zorganizować forsy tak szybko.

— Skąd masz pieniądze? — spytał Barone, odblokowując nadawanie.

— Rząd Stanów Zjednoczonych zagwarantował pożyczkę z Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku. W tej chwili przygotowują gotówkę do wysłania.

— Czekaj na informacje ode mnie.

— Nie zabijecie zakładnika? — spytała Chatterjee.

— Zabijemy dwóch, jeśli okaże się, że kłamiesz — warknął Urugwajczyk. Wyłączył radio i pobiegł do ukrytego w torbie z przodu sali telefonu *TAC-SAT*.

v Nowy Jork, niedziela 00.01

Czekając na telefon od terrorystów, Rodgers zadzwonił do Boba Herberta i poinformował go, co się dzieje. Herbert obiecał mu, że skontaktuje się z komisarzem Kanem z nowojorskiej policji. Pracowali razem, kiedy rosyjscy gangsterzy z Brighton Beach pomagali w zorganizowaniu przewrotu w Moskwie. Bobowi dobrze się z nim współpracowało i nie miał wątpliwości, że George chętnie pomoże ocalić życie zakładników... i ONZ.

Rodgers skończył i natychmiast zadzwonił pod inny numer. Powiedział, że chce sprawdzić informacje, ale to nie była prawda. Nie chciał, by Susie wiedziała, dokąd dzwoni.

Poprosił Paula, by pożyczył mu swój telefon komórkowy. Kiedy Hood wyjmował go z kieszeni, generał stał między Susie i biurkiem tak, że nie mogła widzieć, co robi. Nauczył się tej sztuczki od Boba Herberta, który z powodzeniem używał telefonu wbudowanego w inwalidzki wózek, by podsłuchiwać ludzi po tym, jak wychodził ze spotkania. Wyłączył

dzwonek telefonu biurowego i wystukał jego numer na komórce. Uzyskał połączenie, przestawił telefon na głośnik i pozostawił obie linie otwarte. Następnie włożył komórkę do kieszeni spodni, uważając, by nie przerwać połączenia.

Obrócił się i usiadł na biurku, naprzeciw agentki CIA. Paul Hood spacerował pomiędzy nimi to w jedną, to w drugą stronę. Mijały minuty i generał powoli nabierał przekonania, że nie uda im się to, co zaplanowali.

Susie siedziała nieporuszona, patrząc przed siebie. Generał wiedział, w co się wpatruje.

W przyszłość. Susie Hampton nie wyglądała mu na typ analityczki przeszłych zdarzeń. Wielu pracowników wywiadu i żołnierzy zachowywało się jak szachiści albo tancerze. Posługiwali się wypracowanymi i sprawdzonymi, czasami bardzo skomplikowanymi schematami, starając się nie odejść od nich ani na centymetr. A jeśli okoliczności ich do tego zmusiły, analizowali później nowy wzór i albo włączali go do systemu, albo odrzucali.

Wielu agentów terenowych CIA podchodziło jednak do pracy w sposób znacznie swobodniejszy. Nazywano ich „rekinami”. Przeważnie byli to samotnicy, a ich modus operandi był prosty: pozostawać przez cały czas w ruchu i przeć przed siebie, a jeśli mosty za ich plecami zostały spalone – i tak nie zamierzali wracać. Właśnie tego rodzaju ludzie infiltrowali komórki terrorystów, nieprzyjacielskie bazy, wioski na obcym terenie.

Rodgers mógłby założyć się, że Susie jest właśnie rekinem. W tej chwili z całą pewnością nie żałowała niczego, lecz zastanawiała się, co zrobić. Wydawało mu się, że wie, co zamierza ta dziewczyna. Właśnie dlatego poprosił pułkownika Augusta, żeby opuścił

gabinet.

Patrząc na agentkę, czuł chłód w duszy. To, co zrobiła przypominało mu nauzkę wyniesioną z pierwszej tury służby w Wietnamie: zdrada, będąca wyjątkiem od reguły raczej 170

niż regułą, może pojawić się wszędzie. Spotyka się ją wśród wszystkich narodów, w każdym mieście, w każdej wiosce. Nie ma typowego zdrajcy, nie sposób opracować jego profil, rozpoznać z daleka. Zdrajcami są mężczyźni i kobiety w każdym wieku, każdej narodowości.

Pracują na posadach prywatnych i rządowych, mają dostęp do informacji lub ludzi. Czasami zdradzają z pobudek osobistych, czasami wyłącznie dla pieniędzy.

Było jednak w zdrajcach coś wyjątkowo, właściwego wyłącznie dla nich. A mianowicie stawali się najniebezpieczniejsi, kiedy ich złapano. Czekając na wykonanie wyroku za zdradę, nie mieli nic do stracenia. Jeśli pozostało im jakieś wyjście, choćby beznadziejne, choćby najbardziej destruktywne, na ogół z niego korzystali.

W 1969 roku CIA zdobyła informację, że Wietkong używa południowowietnamskiego szpitala w Sajgonie do rozprowadzania narkotyków wśród amerykańskich żołnierzy. Rodgers udał się tam pod pozorem odwiedzin u rannego przyjaciela. Widział, jak południowowietnamskie pielęgniarki przyjmują amerykańskie dolary od „rannych”

południowowietnamskich żołnierzy, w rzeczywistości agentów Wietkongu w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, jako zapłatę za przenoszenie marihuany i heroiny z piwnicy do wysyłanych w pole zestawów pierwszej pomocy. W momencie aresztowania dwie z trzech pielęgniarek wyrwały zawlecзки z granatów, które miały przy sobie. Zginęły one i siedmiu rannych żołnierzy, leżących na tym oddziale.

Pielęgniarki i dzieci jako mordercy. Wietnam był pod tym względem wyjątkowy. To dlatego tak wielu weteranów załamywało się po powrocie do kraju. W spokojnych, cichych wioskach amerykańskich żołnierzy często witały małe dziewczynki. Czasami prosiły o słodycze lub pieniądze. Przeważnie chodziło im wyłącznie o to, ale niektóre miały ze sobą lalki wypchane materiałami wybuchowymi. Najczęściej ginęły podczas eksplozji. Stare kobiety częstowały Amerykanów ryżem przyprawionym cyjankiem; same też go jadły, żeby uspokoić podejrzliwych. Tego rodzaju broń wydaje się straszniejsza niż *M-16* czy mina przeciwpiechotna. Bardziej niż jakakolwiek wojna, Wietnam odebrał Amerykanom przekonanie, że można ufać ludziom. Powracający do domu żołnierze stwierdzali z przerażeniem, że nie są już w stanie zaufać żonom, rodzinie, nawet dzieciom. Między innymi z tego właśnie powodu Mike Rodgers nigdy się nie ożenił. Nie umiał zbliżyć się do nikogo, z wyjątkiem żołnierzy takich jak on. Nie pomagała żadna terapia, żadne tłumaczenie i przemawianie do rozsądku. Zaufanie, raz zniszczone, nie odnawiało się już.

Rodgersa nie cieszyły te wspomnienia, przywołane obecnością Susan Hampton. Ta młoda kobieta sprzedała życie niewinnych ludzi za pieniądze, upokorzyła kraj, dla którego pracowała. Generał nie rozumiał, jakim cudem pieniądze splamione krwią mogą sprawiać komuś zadowolenie.

W budynku było cicho i spokojnie, z zewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy. Pierwszą Aleję odcięto

na wysokości tego właśnie gmachu, autostradę Roosevelta zamknięto, ponieważ prowadziła tuż za siedzibą ONZ. Nowojorska policja pragnęła najwyraźniej mieć czyste pole działania na wypadek, gdyby przyszło jej działać. Ślepa uliczka przed gmachem także została zamknięta.

TAC– SAT zadzwonił, zaskakując całą trójkę.

171

Paul Hood znieruchomiał obok przyjaciela. Susan spojrzała na generała. Usta miała zaciśnięte, w jej bladoniebieskich oczach nie było ani odrobiny poddania. Nie zdziwiło to Rodgersa, w końcu była przecież rekinem.

— Przyjmij rozmowę — rozkazał.

Patrzyła na niego bez słowa, nieruchomym, zimnym spojrzeniem.

— A jeśli nie przyjmę, będziesz mnie znowu torturował?

— Wolałbym nie.

— Wiem — powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się. — Wszystko się zmieniło, prawda?

W jej głosie pojawiła się jakaś nowa nuta, świadcząca o odrodzonej agresywności, pewności siebie. Popełnili błąd, pozwolili jej za długo myśleć. Rozpoczął się taniec i to ona ich prowadziła. Rodgers pogratulował sobie w duchu podjętych przed siebie środków ostrożności.

— Możesz wyłamywać mi palce, aż przyjmę rozmowę, możesz spowodować ból w dowolny inny sposób. Możesz wbić mi pod oko ostry koniec spinacza albo szpilki.

Standardowe metody perswazji CIA. Ale w moim głosie słyhać będzie ból. Zorientują się, że mnie dopadliście.

— Powiedziałaś, że będziesz współpracować — przypomniał jej Hood.

— A jeśli nie będę współpracować, co mi zrobicie? Zastrzelicie? Wtedy znów zaczną ginąć zakładnicy. Być może będzie wśród nich twoja córka.

Paul Hood zeszywniał słysząc te słowa.

Jest lepsza niż przypuszczałem, pomyślał Rodgers. Taniec zmienił się w błyskawicznie rozgrywaną, brudną grę o życie. Wiedział, co będzie dalej. Musiał tylko kupić Augustowi jak najwięcej czasu.

— Czego chcesz? — spytał.

— Rozwiążcie mnie i zostawcie samą. Powiem, co chcecie i wychodzę, wolna.

— Nic z tego.

— Czemu? Nie chcesz brudzić sobie rąk, załatwiając ze mną interesy?

— Załatwiałem interesy z gorszymi od ciebie. Nic z tego, bo ci nie ufam. Dla ciebie ta operacja musi zakończyć się sukcesem. Terrorysty nie płacą zaliczek, w ten sposób kupują sobie lojalność. Potrzebujesz udziału w okupie.

TAC– *SAT* zadzwonił po raz drugi.

172

— Możesz mi ufać albo nie, to nie zmienia faktu, że jeśli nie odpowiem, założą, że coś mi się stało. I zabiją kolejną dziewczynkę.

— Jeśli tak, zostaniesz skazana na śmierć jako współniczka. W najlepszym razie resztę życia spędzisz w więzieniu.

— Jeśli zgodzę się na współpracę, dostanę dziesięć do dwudziestu lat. Jeśli nie, czeka mnie dożywocie albo śmierć. Jaka to różnica?

— Około trzydziestu lat. Teraz może cię to nie obchodzi, ale pomyśl co będzie, kiedy dobiegniesz sześćdziesiątki.

— Oszczędź mi tej gadki.

— Pani Hampton, proszę — wtrącił Hood. — Może pani jeszcze pomóc sobie i dziesiątkom niewinnych ludzi.

— O tym niech pan porozmawia ze swoim partnerem, nie ze mną.

TAC– *SAT* odezwał się po raz trzeci.

— Czekają do pięciu sygnałów — powiedziała Susie. — Potem rozwalą główkę którejś z dziewczynek. Tego chcecie? Obaj?

Rodgers zrobił pół kroku w przód. Wcisnął się między Paula i Susie. Nie wiedział, czy przyjaciel połknie przynętę i rozkaże mu spełnić żądania dziewczyny, nie chciał jednak ryzykować takiej sytuacji. Hood nadal był dyrektorem Centrum, nie powinni zacząć się teraz kłócić. Zwłaszcza, że nie wiedział przecież, co jeszcze się dzieje.

— Dlaczego nie powiesz im tego, co masz powiedzieć? Wówczas cię puścimy.

— Wy nie ufacie mi, a ja nie ufam wam. Jednak w tej chwili potrzebujecie mnie bardziej niż ja was.

Czwarty sygnał.

— Mike... — nie wytrzymał Paul. Był podczas planowania operacji opóźniającej, ale najwyraźniej miał nadzieję, że uda się jakoś zrealizować początkowy pomysł wywabienia terrorystów z sali. Rodgers czekał. Kilka dodatkowych sekund mogło stanowić różnicę między sukcesem i porażką.

— Nie podoba mi się to — powiedział.

— Nie podoba ci się przede wszystkim to, że nie masz wyboru.

— Nie. Parę razy w życiu siedziałem po szyję w gównie; wszyscy tu jesteśmy dorośli.

Nie podoba mi się to, że muszę zaufać komuś, kto raz już zdradził pokładane w nim zaufanie.

Wsadził broń za pas, wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy, jednym ruchem nadgarstka zwolnił ostrze i zaczął rozcinać taśmę.

173

Piąty sygnał.

— Sama skończę. — Susie odebrała mu nóż. Oddał go jej bez sprzeciwu. Cofnął się na wypadek, gdyby próbowała ataku. — Macie się stąd wynieść. Chcę was widzieć na monitorze kamery bezpieczeństwa, w korytarzu. Zostawcie klucze.

Mike rzucił klucze na podłogę gabinetu. Złapał marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła i wyszedł za Paulem.

Susan Hampton uwolniła się. Przełączyła komputer na widok z kamery. Rodgers wychodził właśnie na korytarz. Włączyła telefon.

— Mów — powiedziała.

Generał nie mógł tego usłyszeć, ale na szczęście mógł usłyszeć resztę rozmowy.

Wyszedł na korytarz, przechodząc pod okiem kamery.

Podobnie jak Susie, był rekinem. Mimo wszelkich jej gróźb, mimo kłamstw i manifestacyjnej pewności siebie, miał coś, czego brakowało dziewczynie.

Trzydzieści lat praktyki.

174

v Nowy Jork, niedziela 00.04

Gdy tylko wyszli z pola widzenia kamery, generał Mike Rodgers natychmiast wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Zatrzymał się, przyłożył go do ucha, słuchał przez chwilę, a potem wyłączył. Podał go Hoodowi wraz z jednym z pistoletów.

— Powiedziała mu prawdę? — spytał Paul.

— Załatwiła nas na amen.

Rodgers wyjął z kieszeni kurtki radiotelefon. Wcisnął przycisk nadawania.

— Brett?

— Jestem, generale.

— Zaczynamy operację. Dasz radę?

— Spoko.

— Świetnie. Kiedy chcesz mieć dane?

— Za dwie minuty.

Rodgers spojrział na zegarek.

— Załatwione. Zajmuję pozycję po północnej stronie budynku. Będę gotów za siedem minut.

— Zrozumiałem. Powodzenia. — Brett August wyłączył radio.

— No to w drogę — powiedział Mike, chowając radio do kieszeni.

Hood pokiwał głową.

— Wszystko przewidziałeś — stwierdził.

— Niestety — przyznał generał. Spojrział na zegarek. — Słuchaj, muszę ruszać. Wezwij policję, niech zamkną to piętro i zatrzymają naszą przyjaciółkę. Zapewne będzie uzbrojona.

Jeśli wyjdzie, nim się pojawią, będziesz musiał się nią zająć.

— Dam sobie radę.

Wszyscy funkcjonariusze Centrum przeszli ćwiczenia w posługiwaniu się bronią, ponieważ byli prawdopodobnym celem zamachu terrorystycznego. W tej chwili Paul Hood nie sądził, by zabicie Susan Hampton sprawiło mu jakiegokolwiek trudności. I nie tylko dlatego, że ich zdradziła. Nie, Mike Rodgers był tak pewny siebie, tak doskonale kontrolował sytuację, że nie było po prostu sposobu, by przeciwstawić się jego rozkazom. Na tym właśnie polega sztuka dowodzenia.

— Chcę także byś zrobił to, co zasugerowałeś wcześniej.

— Chodzi ci o Chatterjee?

Rodgers skinął głową.

— Wiem, że prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale wyjaśnij jej, co robimy. Jeśli nie zechce współpracować, powiedz, że nie ma żadnych szans na powstrzymanie nas.

— Wiem, co mam powiedzieć.

— Jasne. Przepraszam. Powiedz jej też, że od niej i jej ludzi chcę tylko jednego.

— Czego?

Mike Rodgers znalazł strzałkę wskazującą wyjście i ruszył w kierunku schodów.

— Niech nam zejść z drogi.

v Nowy Jork, niedziela 00.05

Pułkownik Brett August przemierzał ciemny park niczym pantera. Nad tą jego częścią nie było helikopterów; oświetlały one wyłącznie sam gmach ONZ i jego najbliższą okolicę.

Do parku docierał wyłącznie ich odbity blask.

August szedł długim, pewnym krokiem, nisko pochylony, zachowując idealną równowagę. Gra o wysokie stawki podniecała go. Mimo że szanse sukcesu miał niewielkie, tęsknił za walką, chciał się sprawdzić. W walce nic nigdy nie było pewne, co w najmniejszym stopniu nie odbierało mu pewności siebie. Ufał swemu wyszkoleniu i wiedział, że to, co robi, musi zostać zrobione.

Ufał także planowi. To, co generał Rodgers powiedział o chaotycznej, płynnej sytuacji walki było oczywiście prawdą. Operacja „zepchnięcia” dawała jednak jednostce antyterrorystycznej możliwość jej uporządkowania.

Operacja taka jest klasycznym manewrem, zastosowanym, o ile można stwierdzić, po raz pierwszy przez armię rosyjskich chłopów walczących pod wodzą księcia Aleksandra Newskiego w XII wieku, podczas walki z Kawalerami Mieczowymi i Krzyżakami. Rosjanom udało się zwyciężyć lepiej uzbrojonego, przewyższającego ich liczebnie przeciwnika przez zepchnięcie go na zamarzniete jezioro. Łód popękał pod ciężarem zakutych w zbroje jeźdźców. Utopili się wszyscy. Podobną strategię, przeznaczoną dla niewielkich oddziałów szturmowych, opracował dla Iglicy jej poprzedni dowódca, podpułkownik Charles Squires.

Zasadą tej strategii był wybór miejsca, w którym po obu skrzydłach sił

nieprzyjacielskich znajdowała się osłona: wąwóz, las, brzeg jeziora. Po znalezieniu odpowiedniego miejsca, oddział, obojętnie jak nieliczny, dzielił się na dwie sekcje. Jedna z nich okrążała nieprzyjaciela, druga atakowała w ciasnym szyku, jakby poruszała się w szyjce butelki. Przeciwnik zamknięty był między obiema sekcjami. Nie mógł uciekać, bowiem ukryta sekcja była w stanie powstrzymać go celnym ogniem, jeśli zaś próbował kontrataku, można do go było atakować od czoła, z prawej lub lewej flanki. Spychany powoli, nieprzyjaciel zaskakiwany był przez poruszającą się za nim sekcję. Odpowiednio przeprowadzony, pod osłoną nocy, we właściwym terenie, manewr ten umożliwiał

niewielkiemu oddziałowi pokonanie znacznie silniejszego wroga.

Pułkownik August nie mógł dostać się do sali Rady Bezpieczeństwa pod osłoną ciemności. Gdyby nawet udało się na sekundę lub dwie wyłączyć światło, uprzedziłoby to tylko terrorystów, że na coś się zanoszą. August wolał zaskoczenie. Niestety, przeciwnik dowiedział się od razu, że atak przeprowadza zaledwie jedna osoba. Zobaczą go wchodzącego do sali dokładnie tak, jak wcześniej dostrzegł oddział Służby Bezpieczeństwa ONZ. Jeśli zareagują wystarczająco szybko, manewr się nie powiedzie.

Nawet w tej sytuacji pułkownik dysponowałby jednak pod kilkoma względami przewagą. Był wyszkolonym żołnierzem, nie strażnikiem. Krzesła w sali Rady dawały mu osłonę. Długie, odsłonięte schody utrudnią terrorystom atak od tyłu, zwłaszcza jeśli pozostanie pod osłoną dolnych rzędów. Gdyby zaś któryś z nich chciał zasłonić się zakładnikiem, tu też August miał przewagę pod dwoma względami. Po pierwsze, był jednym z najlepszych strzelców w Siłach Specjalnych, co potwierdzały liczne nagrody; więcej miał

ich jedynie Mike Rodgers. Po drugie, nie będzie się bał strzelać. Był gotów zaryzykować życiem zakładnika, by zabić terrorystę. Rodgers powiedział bardzo słusznie, że jeśli nie dojdzie do interwencji, i to szybko, i tak czekała ich nieuchronna śmierć.

Ogród rozciągał się przez kilka przecznic, w kierunku południowym. Był to w istocie niewielki, gęsto zadrzewiony park z wielkim posągiem przedstawiającym św. Jerzego zabijającego smoka, darem byłego Związku Radzieckiego. Został odlany z osłon głowic radzieckich rakiet *SS-20* i amerykańskich *Pershingów*, zniszczonych na podstawie układu o redukcji uzbrojenia nuklearnego z 1987 roku. Jak sama ONZ, także i ten posąg był

arcydziełem reklamy, głośnym, wyzywającym kłamstwem czczącym pokój. Rosjanie doskonale wiedzieli, że żadnego cholernego pokoju nie da się utrzymać, jeśli nie bronią go *SS-20* lub *Pershingi*.

Pomiędzy krzakami róż biegały duże, szare szczury. Dobrzy zwiadowcy; skoro wyszły z kryjówek, prawdopodobnie nikogo przed nim nie było. Przed nim uciekały natychmiast.

Dochodząc do granicy parku, pochylił się niżej. Za parkiem otwierał się dziedziniec o szerokości około dwudziestu metrów, prowadzący do głównego wejścia do budynku Zgromadzenia Ogólnego. Nie widział go wyraźnie, dzieliło go od niego zbyt wiele drzew i krzaków.

August trzymał w ręku jedną z *Berett*, które dostał od Rodgersa. Drugą schował w prawej kieszeni spodni. Podczas niedawnej misji w Hiszpanii udawał turystę, co nauczyło go nosić spodnie o kieszeniach wystarczająco głębokich, by dało się nosić w nich broń. Nadal miał radio; mogło ono pomóc mu w dostaniu się do środka budynku. Gdyby nie to, wyłączyłby je i zostawił. Rozlegający się w nim czyjś głos lub choćby nagły trzask z pewnością zdradziłby jego pozycję. Paradoksalnie, to właśnie mogło pomóc mu w dostaniu się do środka budynku.

Zatrzymał się w odległości przeszło siedemdziesięciu metrów od gmachu. Zza zasłony mniejszych rzeźb przyglądał się kompleksowi ONZ. Unosiły się nad nim trzy helikoptery, oświetlające teren, w wejściu stało kilku policjantów. Rodgers miał rację – policji pozwolono opuścić stanowiska w budkach na ulicy i wejść na teren ONZ, kiedy odwołano stąd strażników. Pułkownik nie mógł się im ujawnić. Nowojorscy policjanci nie przypominali Służby Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych, już raczej podobni byli do żołnierzy Iglicy.

Wiedzieli, jak dopaść kogoś i już mu nie odpuścić. Jako doradca NATO August spędził trochę czasu z byłym dowódcą oddziałów szybkiego reagowania SWAT, wykładającym strategom NATO sposoby postępowania z terrorystami przetrzymującymi zakładników. Nowojorska policja miała w takich przypadkach zabezpieczyć teren kordonem tak ścisłym jak to tylko możliwe, następnie ściągnąć specjalistyczną broń, ciężkie kamizelki kuloodporne i przygotować się do ataku na wypadek, gdyby negocjacje nie odniosły skutku. Gdyby Chatterjee nie była taka miękka, ta sytuacja skończyłaby się kilka godzin temu. Wszystko przez nastawienie świata po operacji Pustynna Burza: ktoś łamie prawo. W przypadku zagrożenie pokoju międzynarodowego politycy siadają wówczas, gadają i negocjują, zaś 178

agresor robi się coraz silniejszy, zajmuje coraz lepszą pozycję. Kiedy w końcu chce się coś z tym zrobić, potrzebna jest już koalicja.

Cholerne gówno. Wystarczy przecież wziąć na muszkę tego, kto zaczął rozrabiać. Zaraz się wycofa.

August rzadko przejmował się zegarkiem. Poruszał się najszybciej jak to możliwe, tak sprawnie jak to możliwe i zawsze zakładał, że ma mniej czasu niż rzeczywiście miał. Do tej pory nigdy się nie spóźnił. Nawet nie patrząc na zegarek, wiedział jednak, że nie ma czasu, by tłumaczyć, kim jest i czego chce. Postanowił wyjść z ogrodu na autostradę Roosevelta. Droga ta biegła pod długim bulwarem, graniczącym z ogrodem od wschodu. Zamiast użyć schodów za gmachem ONZ, będzie musiał skoczyć, ale tylko w ten sposób mógł dostać się do garaży niezauważony.

Obrócił się w stronę rzeki i skrajem zwirowej ścieżki ruszył w kierunku betonowego przejścia. Przekroczył bulwar i przeskoczył przez niskie metalowe ogrodzenie. Leżąc na brzuchu, twarzą w kierunku wschodnim, zerknął poza krawędź przejścia. Od drogi dzieliły go jakieś trzy i pół metra, nie miał się jednak czego uchwycić. Wyjął z kieszeni radiotelefon i schował do niej pistolet. Zdjął pasek. Przesunął go przez uchwyt pojemnika, w którym się znajdował, aż oparł się na klamercie. Następnie owinał pasek wokół jednej z cienkich podpórek barierki. Trzymając go za oba końce, opuścił się ostrożnie. Nadal trzymając w ręku koniec z radiotelefonem puścił drugi i spadł półtora metra dzielące go od asfaltu.

Wylądował na lekko ugiętych nogach i wyprostował się błyskawicznie. Garaż ONZ

znajdował się na południe, wprost przed nim. Nie widział go jeszcze, ponieważ jego część zasłaniał narożnik budynku, stojącego po północno-wschodniej części ulicy.

Przechodząc pod niesamowicie cichą autostradą założył z powrotem pasek. Nagle dostrzegł dwóch policjantów, stojących po wschodniej stronie otwartego wjazdu. Wnętrze garażu było jasno oświetlone, na zewnątrz panowały jednak ciemności. Gdyby udało mu się odciągnąć policjantów, bez problemu dotarłby do wjazdu niezauważony.

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia sekund Rodgers miał włączyć swoje radio na pełną moc. Jeśli jego radio pozostanie włączone, rozlegnie się przeraźliwy pisk sprzężenia.

Usłyszawszy go, policjanci albo obaj pobiegną sprawdzić, co się dzieje, albo pobiegnie jeden, a drugi zostanie na posterunku, albo też wezwą posiłki.

August spodziewał się, że wybiorą pierwszy wariant. Nie mogli sobie pozwolić na to, by nie zbadać potencjalnego zagrożenia. Nowojorska policja przypomina prawdopodobnie wszystkie policje wielkich miast – jej funkcjonariuszom nie wolno podejmować niebezpiecznych wyzwań w pojedynkę.

Jeśli postąpiliby inaczej, pułkownik musiałby zdjąć jednego lub nawet obu. Nie miał ochoty atakować członków tej samej drużyny, był jednak gotów to uczynić. Oczyszczył umysł, skupił się wyłącznie na celu, a nie metodach jego osiągnięcia.

Przesunął się trochę, ukryty w cieniu pod estakadą, a potem położył radio przy krawężniku. Upewnił się, że nastawione jest na pełną głośność. Niemal w ostatniej sekundzie ukrył się w ciemnej wnęce drzwi po przeciwnej stronie niż garaż. Od narożnika dzieliło go około dziesięciu metrów, od garażu – mniej więcej tyle samo.

179

Zdjął buty.

Nie minęło pięć sekund, kiedy powietrze rozdarł przeraźliwy pisk. Widział, jak policjanci odwracają się. Jeden z nich wyjął broń i latarkę, i ruszył powoli w kierunku źródła dźwięku. Drugi nadał przez radio kod „1 0–59”, co znaczy niezidentyfikowany hałas.

— Brzmi jak radio — powiedział. — Czy mamy kogoś na tej przecznicy?

— Nie — odpowiedziała centrala.

— Odebrałem. Sprawdzę to z Orlandem.

Pierwszy policjant szedł powoli, oświetlając latarką róg budynku stojącego na południowo-wschodnim rogu. Drugi podążał nieco za nim, trzymając w jednym ręku radiotelefon, a w drugim pistolet. August był pewien, że jeśli go zobaczą, zginie na miejscu.

Wobec tego nie mógł dopuścić, by go zobaczyli.

Radio nadal trzeszczało przeraźliwie. August przyglądał się policjantom. Kiedy doszli do rogu, pochylił się i przebiegł ulicę. Biegł w skarpetkach. Poruszał się bezgłośnie, nie czuł

nawet, na czym staje. Liczył się wyłącznie cel. Wbiegł do garażu, zobaczył wejście do windy i wiedział już, jaki ma cel.

Zwyciężyć.

v Nowy Jork, niedziela 00.06

Mala Chatterjee nadal stała w korytarzu, przed drzwiami prowadzącymi do sali Rady Bezpieczeństwa. Od chwili gdy rozpoczęło się oblężenie, zmieniło się bardzo niewiele. Kilku delegatów wyszło, kilku przyszło. Strażnicy byli bardziej podnieceni niż przedtem, zwłaszcza ci, którzy brali udział w nieudanym ataku. Najbardziej poruszony był porucznik Mailman, brytyjski oficer, oddelegowany do ONZ po tym, jak pomógł w planowaniu operacji Pustynny Lis.

Pani sekretarz przekazała przez radio informacje, zgodnie z prośbą Paula Hooda. Kiedy skończyła, porucznik podszedł do niej.

— Proszę pani... — powiedział.

Panująca wokół cisza była nie do zniesienia. Choć mówił szeptem, miał wrażenie, że krzyczy.

— Tak, poruczniku?

— Proszę pani, plan pułkownika Motta był dobry — powiedział z naciskiem Mailman.

— Nie mogliśmy przecież przewidzieć dodatkowych okoliczności, obecności uzbrojonych ludzi, którzy go zastrzelili.

— O co panu chodzi?

— Pozostało już tylko trzech terrorystów. Mam plan skutecznej akcji.

— Nie — zaprotestowała Hinduska. — Skąd pan wie, że nie pojawią się znów jakieś inne „dodatkowe okoliczności”?

— Nie wiem — przyznał porucznik. — Żołnierze nie zajmują się przewidywaniem przyszłości. Żołnierze walczą. A nie da się walczyć, nie przystępując do akcji.

Za drzwiami Rady Bezpieczeństwa rozległy się jakieś dźwięki: jęki, stukanie, ktoś powiedział coś wściekłym głosem. Coś się tam działo.

— Udzieliłam już panu odpowiedzi — powiedziała sekretarz generalna.

W tej chwili zadzwonił Hood. Enzo Donati podał jej telefon komórkowy.

— Tak? — Głos Chatterjee drżał z podniecenia.

— Wydała nas.

— Boże, nie! A więc stąd te hałasy ze środka.

— Co się dzieje?

— Wygląda na to, że doszło do szarpaniny. Mają zamiar zabić zakładnika.

— Niekoniecznie. Jeden z moich ludzi jest już w drodze. Ma na sobie cywilne ubranie...

— Nie! — przerwała mu Hinduska.

— Pani sekretarz, musi pani pozwolić nam zająć się wszystkim. Nie ma pani żadnego planu. My mamy i...

— Miał pan plan. Wypróbowaliśmy go. Zawiódł.

— Ten nie za...

— Nie, panie Hood. — Chatterjee przerwała połączenie. Miała ochotę krzyknąć.

Telefon zadzwonił znowu. Wyłączyła go i oddała Donatemu. Kazała mu odejść.

Zupełnie jakby ktoś zakręcił światem niczym dziecinnym bąkiem, pomyślała. Była oszołomiona, podniecona i wyczerpana jednocześnie. Czy tak wyglądają wojny? Czy podczas wojny wszyscy płyną spienioną rzeką, a jedyną szansą na przetrwanie jest znalezienie kogoś słabszego i bardziej oszołomionego?

Spojrzała na drzwi sali Rady Bezpieczeństwa. Musi znów spróbować wejść do środka.

Co innego mogła zrobić?

W tym momencie, tuż za wejściem do sali Rady Gospodarczo–Społecznej zrobiło się zamieszanie. Delegaci odwracali się, strażnicy ruszyli przed siebie sprawdzić, co się dzieje.

— Ktoś nachodzi! — krzyknął jeden z nich.

— Cicho, do cholery — syknął Mailman.

Podbiegł do sformowanego przez policję szeregu. Zdążył dostrzec bosego pułkownika Augusta przeciskającego się wśród polityków. Pułkownik uniósł obie ręce pokazując, że jest nieuzbrojony. Nie zatrzymał się jednak.

— Przepuścić go! — rozkazał szeptem Mailman.

Linia niebieskich koszul natychmiast się rozstąpiła. August przeszedł przez nią bez przeszkód. Jednocześnie wyjął z kieszeni obie *Beretty*. Jego ruchy były płynne, błyskawiczne, oszczędne. Od

drzwi dzieliły go już zaledwie trzy metry. Drogę do sali Rady Bezpieczeństwa zagradyła mu wyłącznie Mala Chatterjee.

Sekretarz generalna spojrzała mu w oczy, przypominające oczy tygrysa na wolności, którego widziała kiedyś w swej ojczyźnie. Ten człowiek wyczuł zapach ofiary i nic już nie

było w stanie jej uratować. W tej chwili oczy żołnierza wydawały się jedyną pewną rzeczą we wszechświecie.

A nie tak przecież miało być. Leon Trocki napisał kiedyś, że najkrótszą linią między dwoma punktami wydaje się być przemoc. Ona nie chciała w to wierzyć. Kiedy studiowała na uniwersytecie w Delhi, profesor Sandhya A. Panda, fanatyczny zwolennik Mohandasa Gandhiego, nauczał pacyfizmu jakby była to religia. Chatterjee była jej gorliwą wyznawczynią. A jednak w ciągu ostatnich pięciu godzin wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle. Jej najszczerze wysiłki, jej poświęcenie, jej spokój nie zdały się na nic. Jedynie nieudana akcja pułkownika Motta zaowocowała odtransportowaniem do szpitala rannej dziewczynki.

Nagle usłyszeli za drzwiami cichy jęk, wysoki stłumiony jęk przerażonej dziewczynki.

— Niiieeee... — Cichy szloch. — Niiieeee...

Chatterjee omal nie krzyknęła. Obróciła się odruchowo, pragnąc wejść na salę, ale August pchnął ją mocno, przebiegając obok. Porucznik Mailman z pistoletem w dłoni ruszył

za nim i zatrzymał się kilka kroków za pułkownikiem.

Chatterjee także zrobiła krok do przodu. Mailman zatrzymał ją.

— Niech idzie — powiedział cicho.

Sekretarz generalna nie miała już ani siły, ani ochoty by się im przeciwstawić. W domu wariatów tylko wariaci czują się jak w domu. Ona i Mailman patrzyli, jak August podchodzi do drzwi, zatrzymuje się na krótką chwilę, nasadą lewej dłoni przekręca klamkę, nieruchomieje. I znów – poruszał się błyskawicznie, płynnie.

Uderzenie serca później wszedł na salę z dwoma pistoletami w dłoniach.

v Nowy Jork, niedziela 00.07

Wkrótce po rozmowie z Barone'em przez *TAC-SAT*, Susan Hampton zdjęła z regału jedną z pozostałych *Berett*, wyszła z biura i ruszyła korytarzem. Był pusty. Cholerni frajerzy, którzy tak usilnie próbowali ją przerazić, znikli. Przeszła wzdłuż rzędu zamkniętych biur, minęła schowek sprzątaczek, toalety. Szła w kierunku schodów.

Z dwóch powodów wołała nie korzystać z windy. Po pierwsze, w ich sufity wbudowano kamery systemu bezpieczeństwa. Po drugie, ludzie z Centrum mogą czekać na nią w holu wyjściowym. Zamierzała zejść schodami do piwnicy i wymknąć się bocznym wyjściem.

Później, zgodnie z planem, mogła spotkać się z Georgijewem. Wysłała dwóch „tropicieli”, by wyciągnęli go ze szpitala. Zwierzchnikom mogła wyjaśnić, że postanowiła go usunąć, bowiem za dużo wie o operacjach CIA w Bułgarii, Kambodży i w ogóle na Dalekim Wschodzie, i nie chciała, by dostał się w ręce ONZ. Zaświadczy także, że obaj ludzie z Centrum byli sojusznikami terrorystów. Dzięki temu zyska czas, by odebrać swój udział w okupie i uciec ze Stanów. Jeśli nie będzie okupu, wykorzysta przynajmniej pieniądze, które Georgijew zapłacił jej z góry za podróż do Ameryki Południowej.

Drzwi na klatkę schodową otwierały się do środka; były ciężkie i metalowe, zgodnie z przepisami przeciwpożarowymi. Za nimi nie było okna, uchyliła je ostrożnie, sprawdzając, czy nikt nie stoi po ich drugiej stronie.

Nikt na nią nie czekał. Weszła na betonowy podest. Od piwnicy dzieliło ją pięć kondygnacji. Hood albo któryś z jego ludzi mógł przecież czekać na nią na dole. Nie sądziła, by miała napotkać policję. Tradycyjną metodą działania każdej policji było zarzucenie możliwie jak najgęstszej sieci. Zamknęliby ją na czwartym piętrze, nie daliby jej szansy dojść do schodów.

Zaczęła schodzić po stopniach. I nagle zgasło światło. Nie paliły się nawet lampki awaryjne, co oznaczało, że światło wyłączono w magazynie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić na górę, ale nie chciała marnować czasu i wołała nie podejmować ryzykownego spotkania z kimś, kto wyłączył światło. Przełożyła pistolet do lewej ręki, prawą złapała poręcz i powoli poszła w dół. Dotarła na półpiętro, skręciła i namacała stopą schody. Nie zatrzymała się. Uznała, że idzie jej nieźle, całkiem szybko.

Światło zapaliło się nagle, oślepiając ją. Poczowała straszny, obezwładniający ból w lewym udzie. Upadła, wypuszczając z ręki *Berettę*. Cała lewa strona jej ciała pulsowała nieznośnym bólem.

— Włóżcie światło — powiedział ktoś.

Zapaliły się lampki na klatce schodowej. Susan spojrzała do góry. Pochylał się nad nią tęgi, czarnowłosy mężczyzna w białej koszuli i granatowych spodniach. W rękach trzymał radiotelefon i czarną policyjną pałkę. Służba Bezpieczeństwa Departamentu Stanu. Z plakietki identyfikacyjnej odczytała: ZASTĘPCA DOWÓDCY BILL MOHALLEY.

Mohalley podniósł *Berettę* i wepchnął ją sobie za pasek. Dziewczyna próbowała się podnieść, ale nie była w stanie. Usłyszała otwierając się na podeście czwartego piętra drzwi.

Bill Mohalley wezwał przez radio swych ludzi, każąc im stawić się na trzecim piętrze. Po schodach zbiegł tymczasem Paul Hood. To on wyłączył światło. Stał teraz i patrzył na leżącą agentkę. W oczach miał smutek.

— Myślałam... że się umówiliśmy — powiedziała Susie.

— Ja też — odparł Hood. — Ale wiem, co zrobiłaś. Podśluchiwałem.

— Kłamiesz. Widziałam... widziałam cię na monitorze.

Hood tylko pokręcił głową. Podszedł do niego funkcjonariusz Departamentu Stanu.

— Przejmiemy sprawę — powiedział. — Dziękuję za pomoc.

— A ja dziękuję za wizytówkę. Czy wie pan coś o tej rannej dziewczynce?

Mohalley skinął głową.

— Barbara Mathis leży na stole operacyjnym. Straciła mnóstwo krwi. Kula nadal tkwi w ciele. Lekarze robią co mogą, ale nie wygląda to najlepiej. — Spojrzał na leżącą na schodach Susie. — Ma zaledwie czternaście lat.

— Nie chciałam... żeby krzywdzili... krzywdzili dzieci.

Hood ponownie pokręcił głową, odwrócił się i zbiegł po schodach.

Susan nie zdołała wstać, nim pojawili się ludzie Mohalleya. Udo pulsowało jej bólem, plecy bolały ją od uderzenia o schody. Tyle że oddychała już nieco swobodniej.

To, co powiedziała Hoodowi, było prawdą. Żal jej było młodej skrzypaczki, która mogła umrzeć. Tego nie było w planach. Gdyby sekretarz generalna zgodziła się na współpracę, gdyby podjęła prawidłową decyzję, żadnej dziewczynce nie spadłby włos z głowy.

Susie zdawała sobie sprawę, że resztę życia spędzi najprawdopodobniej w więzieniu, choć nie była jeszcze w stanie do końca pojąć, co to oznacza. Nie ta myśl dokuczała jej jednak najbardziej.

Cierpiała, bowiem Paul Hood okazał się od niej sprytniejszy.

Po raz kolejny mężczyzna udaremnił jej osiągnięcie celu.

185

v Nowy Jork, niedziela 00.08

Drewniane drzwi prowadzące do sali Rady Bezpieczeństwa otwierały się na zewnątrz.

Pułkownik August stał w nich, wyprostowany, szukając wzrokiem celu i jednocześnie wystawiając się na strzał. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną; wolał by strzelano do niego, jeśli miało to uratować życie zakładniczki. Terrorysta nie mógł strzelać do niej i do niego jednocześnie.

Jako pierwszą zobaczył szczupłą dziewczynkę. Klęczała na podłodze zaledwie pięć metrów przed nim. Jęczała i trzęsa się na całym ciele. Terrorysta stał tuż za nią. Kątem oka pułkownik zanotował pozycję pozostałych dwóch bandytów. Jeden stał pośrodku sali, ukryty za półkolistym stołem, drugi zaś przy drzwiach prowadzących do sąsiedniej sali Rady Powierniczej.

Wszyscy terroryści ubrani byli na czarno i wszyscy mieli na twarzach kominiarki. Ten najbliższy trzymał dziewczynkę garścią za jasne włosy, blisko czoła, tak że twarz miała uniesioną. Lufę pistoletu przyłożył do czubka jej głowy.

Pułkownik miał na muszce środek twarzy terrorysty, ale nie chciał strzelać pierwszy.

Nawet trafiony, mógł w przedśmiertnym skurczu zacisnąć palec na spuście; dla zakładniczki byłby to koniec wszystkiego. Wiedział, że postępuje źle – mógł strzelać, więc powinien strzelać. Sparaliżowała go myśl, że być może dziewczyna jest córką Paula Hooda.

Terrorysta zawahał się, a potem zrobił coś, co zaskoczyło Augusta. Opadł za klęczącą dziewczynkę i rzucił się w prawo, między rzędy krzeseł. Nadal trzymał dziewczynkę za włosy i oczywiście pociągnął ją za sobą. Najwyraźniej nie miał ochoty na wymianę strzałów. I miał

się teraz za kim schować.

Powinieneś strzelać, do jasnej cholery, skarcił sam siebie pułkownik. Gdyby strzelił, nie martwiłby się już o tego terrorystę, a teraz wszyscy na sali byli zagrożeni.

Bandyta z zakładniczką ukrył się cztery rzędy przed rozstawionymi amfiteatralnie krzesłami. August schował *Berettę*, którą trzymał w prawej ręce, obrócił się w lewo i przebiegł kilka kroków wokół galerii. W skarpetkach poruszał się bezgłośnie. Położył prawą dłoń na barierce za ostatnim rzędem krzeseł, przeskoczył przez jeden rząd, a potem przez następny i następny, nie zatrzymując się ani na chwilę. Od terrorysty i dziewczynki dzieliły go tylko dwa rzędy.

— Downer, zbliża się do ciebie! — krzyknął jeden z terrorystów. Mówił z francuskim akcentem. — Za tobą...!

— Wynoś się albo ją zabiję! — krzyknął Downer. — Rozwalę ten jej cholerny łeb!

Dwa rzędy. Mężczyzna, który go ostrzegł biegł w jego kierunku. Za dwie, trzy sekundy będzie na schodach. Trzeci trzymał na muszce zakładników.

— Barone, gaz! — krzyknął Francuz.

Trzeci terrorysta, Barone, ruszył biegiem w stronę płóciennych worków, leżących na podłodze pod wychodzącymi na północ oknami. August przeskoczył trzeci rząd. Widział teraz Downera i dziewczynę. Terrorysta leżał na wznak, a na nim, również na wznak, leżała dziewczyna.

I teraz pojawił się problem.

Operacja spychania zakładała uniemożliwienie terrorystom zabicie zakładniczki, obezwładnienie najbliższego z nich, zdobycie przyczółka w głębi sali, nim pojawi się w niej generał Rodgers. Tych celów nie udało mu się osiągnąć. Tym samym padła koncepcja operacji, a teraz musiał jeszcze zmienić jej cele. Musiał poradzić sobie jakoś z gazem bojowym.

Barone znajdował się po przeciwnej stronie wielkiego stołu; chronił go zarówno on, jak i zakładnicy. Zdążył już zdjąć kominiarkę; z worka wyciągał właśnie trzy maski przeciwgazowe. Założył jedną z nich, a resztę rozdał. Mężczyźni nie wkładali ich; maska znacznie ograniczyłaby im pole widzenia. Następnie wyciągnął z worka czarny pojemnik.

August obrócił się i pobiegł ku północnej części sali. Francuz był już na schodach w południowej jej części, biegł nimi do góry. Pułkownik nie zatrzymał się i nie strzelał do niego.

Nawet gdyby terrorysta go namierzył, miałby większe szanse w starciu z Barone'em, gdyby znajdował się po tej samej stronie sali co on.

Drogę zagrażał mu stół i grupka tulących się do siebie zakładników.

— Nie ruszać się! — krzyknął. Gdyby ci ludzie się rozbiegli, mogliby znaleźć się między nim a jego celem.

Nikt się nie poruszył.

August dobiegł do schodów i pobiegł nimi w dół. Francuz znajdował się dokładnie po drugiej stronie sali. Nagle zatrzymał się i oddał kilka strzałów. Dwa z nich trafiły pułkownika Augusta w talię i w żebra. Kamizelka wytrzymała, ale energia kinetyczna pocisków rzuciła pułkownika na ścianę.

— Mam cię sukinsynu! — wrzasnął z triumfem strzelec. — Downer, kryj mnie! —

krzyknął, biegnąc przez środkowy rząd krzeseł na galerii, ku północnej części sali.

Australijczyk odepchnął dziewczynkę i wstał. Wydał z siebie nieartykułowany ryk nienawiści.

August osunął się po ścianie, a potem poczołgał po schodach. Nie zwracał uwagi na ostry ból w boku. Francuz mu nie zagrażał, a Barone'a już prawie widział.

187

Nagle z tyłu sali rozległ się donośny trzask. Kątem oka pułkownik zobaczył Francuza padającego w przejściu między rzędami krzeseł. Downer natychmiast rzucił się na podłogę.

Porucznik Mailman stał w otwartych drzwiach z bronią w ręku.

— Niech pan się śpieszy! — krzyknął.

Niezły jest, pomyślał pułkownik, nie miał jednak pewności, czy Mailman zdołał definitywnie unieszkodliwić Francuza.

Znalazł się na dole w chwili, gdy Barone odrywał plastikowy pasek z zaworu pojemnika. Odrzucił go i zaczął odkręcać korek. August strzelił dwukrotnie, trafiając terrorystę w skroń. Jego ciało upadło pośrodku sali. Pojemnik upadł na dywan; widać było sączącą się z niego smuzkę gazu.

Pułkownik zaklął. Poderwał się na równe nogi i pobiegł w stronę drzwi łączących salę Rady Bezpieczeństwa z salą Rady Powierniczej. Chciał wrzucić za nie pojemnik i zatrzaskać je. Jeśli to by mu się nie udało, miał zamiar spróbować osłonić uciekających przez nie zakładników.

Ale do nich nie dotarł.

Na północnym krańcu galerii nagle pojawił się Francuz. Nie był nawet ranny i natychmiast otworzył ogień. Tym razem mierzył w nogi.

August dostał dwie kule: w lewe udo i prawą łydkę. Upadł, czując przejmujący ból.

Zacisnął zęby i pełził przed siebie. Trening w opanowywaniu bólu nauczył go skupiać się na kolejnych krokach, etapach działania; dzięki niemu żołnierze w polu nie tracili przytomności i mogli działać.

Myślał tylko o tym, gdzie powinien się znaleźć.

Downer strzelił tymczasem do Mailmana, zmuszając go do ukrycia się za drzwiami.

Francuz schodził powoli po schodach z pistoletem w wyciągniętych dłoniach.

Od pojemnika dzieliło pułkownika Augusta zaledwie kilka kroków. Barone'owi nie udało się odkręcić korka, obrócił go tylko i gaz sączył się przez szczelinę. Pułkownik musiał

natychmiast zakręcić pojemnik. Nie miał czasu, by odwrócić się i strzelać.

Nagle trzy metry od niego rozległ się ogłuszający huk. Ciężkie brązowe zasłony w oknach od północy wydeły się, kuloodporne szkło rozprysło się po sali Rady Bezpieczeństwa.

Niemal jednocześnie górna framuga opadła i roztrzaskała się.

W chwilę później, dokładnie o czasie, do sali wkroczył generał Mike Rodgers.

v Nowy Jork, niedziela 00.11

Przecież to nie jest spychanie, pomyślał Mike Rodgers, obrzucając wzrokiem salę Rady Bezpieczeństwa. Po raz kolejny los udowodnił prawdę zawartą w maksymie Iglicy: nic nie jest gwarantowane.

Rodgers przeszedł Ogród Różany podobnie jak August. Kiedy dotarł na dziedziniec, rozpoczęła się strzelanina i większość ludzi stojących na zewnątrz wbiegła do holu wejściowego. Udało mu się, pozostając niezauważonym, dotrzeć do żywopłotów po wschodniej stronie dziedzińca. Podkraść się do północnych okien sali Rady Bezpieczeństwa i natychmiast zdetonował C-4. Użył minimalnej ilości ładunku wybuchowego. Nie chciał

ryzykować poranienia ludzi odłamkami szkła. Poza tym był pewny, że jeśli szyba pęknie od dołu, to jej górna część się zawali. Miał rację. Kiedy wkroczył do sali, przede wszystkim, jakieś cztery metry dalej, dostrzegł pułkownika Augusta, czołgającego się na kolanach i rękach, krwawiącego z obu nóg. Obok leżał martwy terrorysta, a także pojemnik z gazem. Na galerii północnej stał uzbrojony bandyta. Najwyraźniej coś poszło bardzo źle.

Wystrzelił dwukrotnie, zmuszając terrorystę do ukrycia się między rzędami foteli.

Chwycił zasłonę. Wybuch rozdarł ją w środku, wystarczyło mocne szarpnięcie, by oderwać jej dolną część. Wiele gazów trujących staje się niebezpiecznych dopiero przy zetknięciu ze skórą. Wolał raczej powstrzymać jego rozprzestrzenianie się w ten sposób, niż próbować zamknąć kanister.

Narzucił nań zasłonę. Uznał, że daje im to około pięciu minut, czyli wystarczająco wiele, by zdążyli wyprowadzić zakładników. Najlepiej przez wybite okno; miał je za plecami, więc był w stanie osłaniać uciekających ludzi. Mike obrócił się w kierunku zakładniczek, a tymczasem Augustowi udało się przewrócić na plecy i usiąść. W rękę trzymał jedną z *Berett*.

— W porządku! — krzyknął generał. — Uciekajcie przez okno, wszyscy. Tylko szybko!

Prowadzone przez panią Dorn dziewczęta pośpieszyły ku wybitemu oknu. Rodgers spojrzął na Augusta.

— Gdzie ten trzeci? — spytał.

— Czwarty rząd od góry galerii. Ma jedną z dziewczynek.

Mike zaklął. Wśród zakładniczek nie dostrzegł Harleigh. To musiała być ona.

August tymczasem opadł na kolana i popęzł w stronę schodów. Zaczął się na nie wspinać, opierając się ciężko na drewnianej poręczy. Cierpiał przy tym męki; większość ciężaru ciała dźwigało jego lewe ramię. Prawą rękę, w której ścisnął *Berettę* wciągnął

sztwno przed siebie. Generał nie musiał go pytać co robi; zrobił z siebie przynętę, chciał skupić na sobie uwagę pozostałej przy życiu dwójki terrorystów.

Patrzył, jak August uparcie wspina się po schodach.

Rodgers stał między zakładnikami a galerią. Niektórzy delegaci zdążyli już zerwać się z podłogi; biegli teraz do wyjścia, odpychając na boki dziewczynki. Gdyby to od niego zależało, osobiście by ich powyrzelał. Nie chciał jednak odwracać się plecami do galerii. W

końcu gdzieś tam nadal krył się jeden z terrorystów.

Sala opróżniała się, a ciężka zasłona powstrzymywała na razie rozprzestrzenianie się gazu. Generał żałował, że nie może przejść na północną stronę sali, osłonić Augusta, ale musiał dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo zakładników.

Obserwował pełną po schodach przyjaciela.

Obrócił się na moment, sprawdzając, co z dziewczynkami. Wszystkie zdążyły już uciec, uciekali ostatni spośród przetrzymywanych dyplomatów. Nagle usłyszał strzał z galerii, zobaczył jak August pada na wznak, wymachując rękami i gubiąc broń.

Zaklął i pobiegł w kierunku schodów. Terrorysta wstał i wystrzelił do niego. Mike Rodgers nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej, musiał więc paść i szukać osłony.

— Cierpliwości! — krzyknął terrorysta. — Na ciebie też przyjdzie kolej.

— Poddaj się! — odkrzyknął generał, czołgając się w stronę schodów.

Terrorysta nie odpowiedział, a przynajmniej nie słowami. Rodgers usłyszał strzał i krzyk. Wstał szybko z nadzieją, że zdoła zastrzelić Francuza, nim ten odwróci się i strzeli do niego.

A jednak się spóźnił. Widział, jak terrorysta upuszcza broń, obraca się i pada bezwładnie na jedno z siedzeń. Na plecach miał dwie wielkie rany wylotowe. August nadal leżał na wznak. W lewej kieszeni spodni miał dziurę po kuli.

— Sukinsyn powinien bardziej uważać — powiedział, wyciągając z kieszeni *Berettę*. Z

jej lufy nadal unosił się dym.

Rodgers poczuł ulgę, ale wcale nie był szczęśliwy. Obrócił się w stronę wznoszącej się stromo galerii. Nadal krył się tam trzeci terrorysta, z zakładniczką, Harleigh Hood. Podczas strzelaniny zachowywał złowrogi spokój. W sali panowała cisza, słuchać było tylko syk gazu ulatniającego się z

pojemnika pod zasłoną.

Nagle zza siedzeń górnej galerii odezwał się donośny głos.

— Niczego nie wygraliście! — krzyknął Downer. — Tyle że nie będę musiał dzielić się z nikim okupem.

v Nowy Jork, niedziela, 00.15

— Wyciągnęli je! — krzyknął młody mężczyzna, wpadając do sali Departamentu Stanu, w której czekali rodzice. — Wyciągnęli dzieciaki! Są bezpieczne!

Rodzice śmiali się i płakali, wstawali, padali sobie w ramiona, po czym rzucili się do wyjścia. Dopiero na korytarzu wiadomość została potwierdzona oficjalnie. Urzędniczka departamentu w mundurze, kobieta w średnim wieku o krótko przystrzyżonych kasztanowych włosach, wielkich piwnych oczach, którą plakietka identyfikowała jako panią Baroni, oznajmiła im, że dzieci są zapewne zdrowe, zostaną jednak na wszelki wypadek przewiezione do nowojorskiego Centrum Medycznego; dodała także, że dla rodziców podstawiony zostanie specjalny autobus. Wdzięczni rodzice dziękowali pani Baroni, jakby to ona osobiście uwolniła ich pociechy z łap terrorystów.

Przedstawicielka Departamentu Stanu poprowadziła rodziców w kierunku znajdującej się przy końcu korytarza windy. Wydawało się, że kogoś szuka. Kiedy zobaczyła Sharon Hood, dotknęła jej ramienia.

— Pani Hood, jestem Lisa Baroni — przedstawiła się. — Czy możemy zamienić kilka słów?

Słyszając te słowa Sharon natychmiast poczuła mdłości.

— Co się stało? — spytała.

Pani Baroni zręcznie oddzieliła ją od reszty rodziców. Stały wewnątrz sali, przy drzwiach, obok jednej z kanap.

— Pani Hood, obawiam się, że pani córka nadal jest w środku.

Słowa te wydawały się nie mieć sensu. Jeszcze przed chwilą wszystko było dobrze, Harleigh była bezpieczna, ona była szczęśliwa.

— Jak to?

— Pani córka pozostała w sali Rady Bezpieczeństwa.

— Ależ skąd! — Sharon rozgniewała się. — Ten człowiek powiedział przed chwilą, że zakładnicy zostali uwolnieni.

— Większość dzieci wyprowadzono przez wybite okno. Ale pani córki nie było wśród nich.

— Dlaczego?

— Pani Hood, może pani usiądzie? — Kobieta wskazała kanapę. — Pozostanę z panią.

— Dlaczego nie było z nimi mojej córki? Co się tam dzieje? Czy mój mąż jest z nimi?

— Nie znamy szczegółów — powiedziała cicho Lisa Baroni. — Wiemy natomiast, że w sali jest trzech oficerów jednostek specjalnych. Najwyraźniej udało im się zabić wszystkich terrorystów — oprócz jednego...

— I on ma Harleigh! — krzyknęła Sharon. Złapała się za głowę. — Mój Boże, on ma moje dziecko!

Lisa złapała ją za nadgarstki; jej chwyt był mocny, lecz zarazem delikatny. Splotła palce z palcami nieszczęśliwej matki.

— Gdzie jest mój mąż?!

— Pani Hood, proszę mnie posłuchać. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, by obronić pani córeczkę, ale może to zabrać trochę czasu. Musi być pani silna.

— Muszę zadzwonić do mojego męża! Ma telefon komórkowy — zaszlochała Sharon.

— Proszę mi dać jego numer. Ja zadzwonię.

Sharon podała jej numer.

— Doskonale. — Pani Baroni uwolniła ją i wskazała na kanapę obok. — Proszę usiąść tu i nie ruszać się. Zaraz wracam.

Sharon skinęła głową. Łzy ciekły jej po policzkach. Szlochała patrząc, jak kobieta podchodzi do stołu, na którym stały telefony. Wystukała numer.

Telefon komórkowy Paula Hooda był wyłączony.

Sharon Hood nie pamiętała, czy kiedyś czuła taki gniew i taką rozpacz. Wcale nie pragnęła, by w tej strasznej chwili trzymała ją za rękę urzędniczka Departamentu Stanu.

Potrzebowała męża. Musiała z nim porozmawiać, a tymczasem była tak strasznie samotna.

Gdziekolwiek był. cokolwiek robił, z pewnością mógł dać jej to, przynajmniej to.

Niezależnie od tego, jak skończy się ten koszmar, jedna rzecz była pewna.

Nigdy mu tego nie wybaczy.

v Nowy Jork, niedziela 00.16

Paul Hood biegł przez park, kiedy usłyszał huk wybuchu i zobaczył rozbłysk jaskrawego światła z drugiej strony gmachu ONZ. Nie słyszał brzęku rozpryskującego się szkła i nie widział odłamków, założył więc od razu, że to Mike wysadził okno. Biegł jak najszybciej potrafił; zauważył, że strzegący wejścia policjanci biegną za gmach. Kiedy dotarł

na miejsce, dzieci i politycy wylewali się już z sali przez wybite okno.

Udało im się, pomyślał z dumą. Miał nadzieję, że Brettowi i Mike'owi nic się nie stało.

Kiedy wbiegł na dziedziniec, nie mógł złapać oddechu. Jeden z policjantów pędził w stronę Pierwszej Alei. Zapewne wezwał karetki pogotowia i teraz chciał wskazać miejsce, w którym można byłoby zorganizować prowizoryczne punkty pierwszej pomocy – na parkingu, z dala od budynku. Tymczasem inni policjanci odprowadzali dziewczęta i delegatów przez dziedziniec. Wszyscy zakładnicy szli o własnych siłach. Nikomu nic się chyba nie stało.

Paul zatrzymał się i zaczął się im przyglądać. Nie dostrzegł wśród nich Harleigh, zobaczył jednak jedną z ich przyjaciółek, Laurę Sabię. Podeszedł do niej.

— Laura! — krzyknął.

Natychmiast podeszedł do niego jeden z policjantów.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział — ale musi pan zaczekać na córkę...

— To nie jest moja córka. Jestem Paul Hood, dyrektor Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym. To my zorganizowaliśmy tę akcję.

— Moje gratulacje, ale mimo wszystko musi pan opuścić ten teren i pozwolić nam...

— Panie Hood! — krzyknęła Laura, wychodząc z szeregu zakładników.

Paul ominął policjanta, podbiegł do dziewczyny i wziął ją za rękę.

— Dzięki, Bogu. Nic ci się nie stało?

— Nie, nic.

— Co z Harleigh? Nie widzę jej.

— Harleigh... Harleigh tam została...

Paul poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu kopniaka w żołądek.

— Została? W sali Rady?

Laura tylko skinęła głową.

Hood spojrział w jej przekrwione oczy. Nie spodobało mu się to, co w nich dostrzegł.

— Jest ranna?

— Nie. — Dziewczyna rozplakała się. — Nie. Ale on ją ma.

— Kto?

— Ten człowiek, który postrzelił Barbarę.

— Jeden z terrorystów?

— Tak.

Paul Hood wcale nie pragnął dowiedzieć się więcej. Puścił rękę Laury i ignorując sprzeciwy policjanta, pobiegł w kierunku tarasu i wybitego okna.

v Nowy Jork, niedziela 00.18

Harleigh uniosła głowę ponad poziom oparcie krzesła, ale wyżej unieść ją nie mogła.

Downer krył się za rzędami siedzeń, nadal trzymając ją za włosy. Uniesiona głowa dziewczynki była śmiertelnie blada, skóra wokół oczu naciągnięta. Czuła ucisk lufy pistoletu na czołko.

Mike Rodgers stał u stóp galerii, mniej więcej po jej środku. Ze względu na strome wzniesienie rzędów siedzeń, ułożonych naprzemiennie w rzędach, mógł celować wyłącznie w lewą rękę terrorysty, a było to zdecydowanie za blisko szyi dziewczynki, poza tym i tak pozostawała wolna prawa dłoń, trzymająca broń. Mimo to nadal mierzył w tę rękę, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że taka sytuacja nie może trwać długo. Zasłona, jako zabezpieczenie przed gazem, wytrzyma jeszcze najwyżej kilka minut. Nawet gdyby udało mu się zdobyć maskę, Harleigh i tak by to nie pomogło.

August pełzał po schodach po północnej stronie sali, po jego prawej. Mimo iż okaleczony przez postrzał w obie nogi, pułkownik wcale nie miał zamiaru wycofać się z akcji. Za plecami terrorysty skradał się porucznik Mailman.

Nagle Mike Rodgers usłyszał z tyłu jakiś dźwięk. Obrócił się i zobaczył Hooda, wchodzącego do środka przez roztrzaskane okno. Gestem nakazał mu się cofnąć.

Paul zawahał się, lecz tylko na chwilę. Usunął się w mrok tarasu.

Mike obrócił się i znów wycelował w terrorystę.

— Hej, bohaterze! — krzyknął Downer. — Widzisz, że ją mam?

Bandyta wykrzyczał te słowa donośnym, pewnym siebie głosem. Nie, tego człowieka nie zdołają nastraszyć. Rodgers miał jednak inny pomysł.

— Widzisz, że mam dziewczynę?

— Widzę — odpowiedział generał.

— I zabiję ją, jeśli będę musiał! Rozwalę jej ten cholerny łeb.

— Widziałem, jak zabiłeś mojego partnera. Wierzę ci.

August zamarł i spojrzał na niego pytająco. Mike machnął ręką i pułkownik znieruchomiał. Miał być martwy, będzie martwy.

— Co mamy zrobić? — spytał generał.

— Po pierwsze, ten ktoś, kto się za mną skrada, ma natychmiast się stamtąd wynieść.

Widzę stąd jego stopy. Widzę także okno, więc niech nikt nie próbuje wślizgnąć się do środka.

— Rozumiem.

— Mam nadzieję. Kiedy ten facet za mną zniknie, masz odłożyć broń i podnieść grzecznie rączki do góry. Kiedy oboje się stąd wyniesiecie, masz mi przysłać tę sukę, sekretarz generalną, i niech lepiej też podniesie rączki.

— Nie masz za wiele czasu — zauważył Rodgers. — Gaz przesącza się przez zasłonę i...

— Wiem o gazie! — krzyknął Downer. — I nie będzie mi potrzeba wiele czasu, tylko zamknij się i rusz tyłek!

— Doskonale. — Rodgers spojrział na drzwi. — Poruczniku, proszę się upewnić, że sekretarz generalna jest na miejscu. I niech pan się trzyma z daleka od tej sali.

Mailman zawahał się. Rodgers wymierzył mu w czoło z pistoletu, z którego celował przed chwilą do terrorysty.

— Powiedziałem, poruczniku, że ma się pan stąd wynieść!

Mailman skrzywił się, ale wykonał rozkaz.

Mike Rodgers pochylił się, odłożył broń na ziemię i podniósł ręce do góry. Następnie podszedł do schodów w południowej części sali. Wszedł na nie szybko. Nie sądził, by terrorysta zechciał do niego strzelać. Do momentu pojawienia się sekretarz Chatterjee to on był dla terrorysty środkiem umożliwiającym porozumienie się ze światem zewnętrznym.

Szedł dalej. Był już niemal na równym poziomie z czwartym rzędem siedzeń, gdzie krył

się terrorysta. Patrzył na Harleigh, obróconą do niego plecami. Dziewczynka nie mogła się poruszyć, Downer nadal trzymał ją mocno za włosy. Nie płakała... i to go nie zaskoczyło. Z

rozmów z jeńcami wojennymi wiedział, że ból pozwala się skupić. Często jest wybawieniem, odwraca uwagę od niebezpieczeństwa w pozornie beznadziejnych sytuacjach.

Bardzo pragnął jakoś dodać jej odwagi, lecz jednocześnie obawiał się rozdrażnić terrorystę. W końcu trzymał przecież lufę broni przy głowie zakładniczki.

Wycofał się za drzwi. Wykorzystał okazję i zerknął na północną część sali. Z miejsca, w którym stał,

nie widział pułkownika Augusta. Albo skulił się on pod osłoną siedzeń, albo stracił tyle krwi, że zemdłał.

Generał miał nadzieję, że jednak nie zemdłał. Mieli już i tak aż za wiele kłopotów.

Wyszedł na korytarz. Chatterjee już tam stała. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym położyła dłonie na głowie i ruszyła w stronę drzwi do sali Rady Bezpieczeństwa.

Rodgers wysunął ramię, zatrzymując ją.

196

— Wie pani o trującym gazie? — spytał.

— Porucznik mi o nim powiedział.

Mike Rodgers przysunął się do niej o krok.

— Czy powiedział pani także, że w środku jest jeden z moich ludzi?

To ją najwyraźniej zaskoczyło.

— Terrorysta myśli, że on nie żyje. Jeśli pułkownik August będzie miał szansę oddania strzału, to z niej skorzysta. Nie chcę, by pani go przez przypadek zdemaskowała.

Chatterjee obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Rodgers opuścił rękę i sekretarz generalna minęła go. Kiedy wchodziła na salę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, przez chwilę miał

ochotę pobiec za nią i wyciągnąć ją stamtąd. Doznał przerażającego, mdlącego uczucia, iż mimo wszystkiego co się stało, ta kobieta nadal wierzy w zasady ONZ, zasady, które ta światowa organizacja wyznawała, mimo dowodów dostarczanych przez zdrowy rozsądek.

Zasady te głosiły, że terroryści mają jakieś prawa.

197

v Nowy Jork, niedziela 00.21

Rozsądek i uczucia Mały Chatterjee cierpiały straszliwe męki w chwili, gdy wchodziła do sali Rady Bezpieczeństwa.

Terrorysta leżał na podłodze. Widziała głowę zakładniczki, widziała lufę dotykającą jej potylicy. Jej serce wyrywało się do tego dziecka, akt terroryzmu napawał ją obrzydzeniem.

Niemniej nie podobał się jej pomysł rozwiązania problemu poprzez morderstwo, skoro przecież musiał istnieć jakiś inny sposób. Jeśli stanie się taką jak ci ludzie, jeśli będzie zabijać obojętnie, bez wyrzutów sumienia, poza prawem, jakie znaczenie będzie miało jej życie?

Przecież nie wiedziała nawet, czy ten człowiek kogoś zabił!

Podeszła do rzędu foteli.

— Chciał pan ze mną rozmawiać — powiedziała.

— Nie — odparł natychmiast Downer. — Kazałem ci tu przyjść. Chcę się stąd wydostać. I chcę tego, co moje.

— Pragnę panu pomóc. — Sekretarz zatrzymała się u stóp przejścia między fotelami. —

Niech pan puści tę dziewczynkę.

— Powiedziałem: żadnego gadania! — krzyknął Downer. Harleigh syknęła, bo mocno pociągnął ją za włosy. — Tam, z przodu sali, ulatnia się trujący gaz. Masz znaleźć miejsce, w którym wraz z tą młodą damą zaczekamy sobie bezpiecznie, póki nie dostarczycie mi forsy i środków transportu. Chcę sześciu milionów dolarów.

— W porządku — zgodziła się Hinduska i nagle dostrzegła jakiś ruch na schodach.

Mężczyzna, który pozostał na sali, uniósł się lekko i przyłożył palec do warg, gestem nakazując jej milczenie.

Sekretarz generalna nie wiedziała, co powinna zrobić. Czy miała przyczynić się do uratowania niewinnej dziewczynki, czy też zostać współniczką morderstwa z zimną krwią?

Ten amerykański żołnierz i jego partner uratowali większość zakładników. Być może musieli zabijać, ale nie dawało im to prawa, by zabijali nadal. Ona sama zawsze stawiała sobie za cel znalezienie bezkrwawego rozwiązania konfliktu. Nie mogła zrezygnować z tego celu, póki nadal istniała szansa. No i istniał także problem zaufania. Jeśli uda się jej przekonać terrorystę, że chce mu pomóc, może także uda się jej przekonać go, żeby się poddał.

— Pułkownik August — powiedziała — dość już było dziś zabijania jak na jeden dzień.

198

August zamarł. Przez chwilę Chatterjee była pewna, że ją zastrzeli.

— Z kim ty gadasz? — zdenerwował się Downer. — Kto tu jest?

— Inny żołnierz — powiedziała pani sekretarz.

— A więc nie zginął, sukinsyn!

— Proszę odłożyć broń i wyjść, pułkowniku — rozkazała zdecydowanie sekretarz generalna.

— Nie mogę — stwierdził gorzko August. — Jestem ranny.

— Będziesz znacznie bardziej ranny, jeśli się stąd nie wyniesiesz! — wrzasnął Downer.

Gwałtownie obrócił zakładniczką. Szarpnął ją za włosy, poderwał na równe nogi, klęknął i wymierzył w Augusta. Wystrzelił w momencie, gdy dowódca Iglicy padał na schody. W

powietrze poleciały odpryski drewna z oparcí foteli. Przestał strzelać, ale jeszcze przez chwilę ściany odbijały echo wystrzałów.

Szczerząc w szerokim uśmiechu zęby, terrorysta spojrzał na panią sekretarz. Harleigh trzymał między sobą i Augustem. Na dole, na podłodze, Chatterjee widziała trujący gaz wydobywający się spod zasłony.

— Zabierz go stąd! — wrzasnął Downer.

— Próbuję panu pomóc! Proszę mi pozwolić...

— Zamknij pysk i rób, co mówię! — Terrorysta obrócił się, by stanąć z nią twarzą w twarz. Przez moment jego pierś skierowana była na środek sali.

Nagle rozległ się huk strzału. Kula wybiła dziurę w jego szyi po prawej stronie. Siła uderzenia zachwiała Downerem; puścił zakładniczkę, broń wypadła mu z ręki.

Ze swojego ukrycia w kącie sali wstał Paul Hood. Trzymał w dłoni *Berettę*, którą dostał od Rodgersa.

— Na ziemię, Harleigh! — krzyknął.

Jego córka ukryła głowę w dłoniach i padła na podłogę. W tym samym momencie wystrzelił leżący na schodach August, przestrzeliwując lewy policzek bandyty. Trzecia kula trafiła go, padającego już,

w skroń.

Krew spadła na podłogę, nim wylądowało na niej martwe ciało.

Chatterjee krzyknęła.

Paul Hood rzucił broń, wbiegł na górę po schodach i chwycił córkę w objęcia.

v Nowy Jork, niedziela 00.45

Opuściwszy po raz pierwszy salę Rady Bezpieczeństwa Mike Rodgers poinformował

przede wszystkim oddział rozpoznania chemicznego nowojorskiej policji o uwolnieniu trującego gazu. Zespół stał już po północnej stronie dziedzińca, gotów do akcji, kiedy wszyscy opuszczają budynek. Zamknięto cały kompleks ONZ. Drzwi i okna zakryto plastikowymi płachtami mocowanymi szybkoschnącą pianką. Ponieważ nie pozostał nikt, kto mógłby powiedzieć policji, jaki to gaz się ulatnia, pod gmach podjechało ruchome laboratorium, by przeprowadzić badania. Na miejscu znalazła się także sekcja medyczna nowojorskiej straży pożarnej. Rozstawiła namioty niedaleko na południe od siedziby ONZ.

Obecności straży pożarnej wymagało prawo w sytuacjach, w których pojawiało się zagrożenie niebezpiecznymi materiałami. Wiele grup terrorystycznych stosowało taktykę spalonej ziemi: jeśli nie wygrywali, dopilnowywali, by nie wygrał nikt inny. Ponieważ jeden z terrorystów w tajemniczych okolicznościach znikł ze szpitala ONZ, a policja nie wykluczała możliwości istnienia innych współników i pomocników, musiała przygotować się na każdą ewentualność.

Paul Hood tulił córkę przez bardzo długą chwilę. Nie wstydził się ciekących mu po policzkach łez. Harleigh złożyła mu głowę na piersi. Ścisnęła go kurczowo. Jeden z sanitariuszy narzucił jej koc na ramiona. Po chwili oboje poszli w kierunku namiotów służby medycznej.

— Musimy powiedzieć mamie — szepnął przez łzy Hood.

Harleigh skinęła głową.

Mike Rodgers stał za nimi, przyglądając się wynoszonemu na noszach Brettowi Augustowi. Zapewnił ich wcześniej, że przyprowdzi Sharon. Powiedział także Paulowi, że jest z niego dumny. Kiedy po wyjściu Rodgersa Hood wślizgnął się na salę Rady Bezpieczeństwa, wiedział, że ani jego własne bezpieczeństwo, ani wzgląd na prawo międzynarodowe nie powstrzyma go przed próbą uratowania Harleigh.

Poszli w stronę ruchomych schodów w gromadzie delegatów i funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa ONZ. Paul Hood nie potrafił wyobrazić sobie, o czym w tej chwili myśli jego córka. Nadal trzymała się go kurczowo, nadal patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

Nie doznała obrażeń fizycznych, niemniej przez pięć godzin, w zamkniętym pomieszczeniu, obserwowwała, jak giną ludzie, w tym jedna z jej najlepszych przyjaciółek. Omal sama nie straciła życia. Czekał ją wielki stres pourazowy.

Paul doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to co zdarzyło się dziś jego córce, pozostanie w jej wspomnieniach na całe życie, obecne w każdej godzinie każdego miesiąca, każdego roku. Zakładnicy terrorystów, nawet uwolnieni, nigdy już nie byli naprawdę wolni.

Prześladowało ich poczucie beznadziejności i izolacji, świadomości, że potraktowano ich nie 200

jako ludzi, lecz jako przedmioty. Godność można odbudować, ale nigdy taką, jaka była przedtem. Suma części w tym przypadku nie mogła równać się całości.

Lecz jednak trzymał w ramionach córkę. Jego córka była przynajmniej bezpieczna.

Kiedy zjechali na dół, zobaczyli biegnącą w ich kierunku Sharon. Nawet jeśli ktokolwiek pragnął ją powstrzymać, najwyraźniej nie miał szans. Za nią biegła zdyszana urzędniczka Departamentu Stanu.

— Moje dziecko, moja maleńka dziewczynka! — krzyczała Sharon.

Harleigh oderwała się od ojca i pobiegła do matki. Przypadły do siebie, obie zapłakane.

Paul odsunął się o krok.

W holu pojawił się Rodgers w towarzystwie Mohalleya. Dalej, na dziedzińcu, sekretarz generalna Mala Chatterjee rozmawiała z dziennikarzami, gestykulując gniewnie.

— Pragnę uścisnąć panu dłoń — powiedział Bill Mohalley. Uścisk miał iście niedźwiedzi. — We trójkę stworzyliście dziś nowy wzór postępowania na wypadek kryzysu.

Jestem zaszczycony, że mogłem przy tym być.

— Dziękuję — odparł Paul. — Jak tam Brett?

— Nic mu nie będzie — odparł Rodgers. — Kula ominęła tętnicę.

Hood skinął głową. Nie odrywał wzroku od Chatterjee. Na ubraniu, rękach i twarzy miała ślady krwi ostatniego terrorysty.

— Nie wygląda na uszczęśliwioną — zauważył.

Mohalley wzruszył ramionami.

— Usłyszymy jeszcze całą kupę bzdur na temat dzisiejszych wydarzeń. Ale zakładnicy są bezpieczni, czwórka terrorystów wacha kwiatki od spodu i jedna rzecz jest pewna.

— Jaka? — zdziwił się Hood.

— Prędzej piekło zamarznie, nim ktoś zdecyduje się wykręcić nam powtórnie taki numer.

v Nowy Jork, niedziela, 00.51

Kiedy Paul Hood wszedł do pokoju hotelowego, Alexander spał smacznie.

Sharon pojechała z córką do nowojorskiego Centrum Medycznego. Harleigh miała nie tylko przejść pełne badania lekarskie. Musiała także jak najszybciej porozmawiać z psychologiem, który wyjaśni jej przede wszystkim, że nie zrobiła nic złego, za co karą mogły być ostatnie wydarzenia, i że nie powinna oskarżać się o to, że przeżyła. Musi to zrozumieć, nim rozpocznie się dalsze leczenie.

Hood przystanął przy ogromnym łóżku i spojrzał na syna. Jego życie się zmieniło, siostra będzie mu stawiać nowe wymagania, a on nic jeszcze o tym nie wiedział. Jakże niewinny jest sen.

Odwrócił się i poszedł do łazienki. Umył twarz nad umywalką. Jego życie też się zmieniło. Zabił człowieka. Niezależnie od tego, czy człowiek ten zasługiwał na śmierć czy nie, zabił go na eksterytorialnym terenie. Być może będzie za to odpowiadał przed sądem i być może nie będzie to sąd amerykański. Taki proces może trwać latami, może też zagrozić Centrum.

Skąd terroryści mieli pewne informacje? W jakim stopniu w akcję zamieszane były CIA i Departament Stanu? Jaki był związek między rządem Stanów Zjednoczonym i tym terrorystą, któremu udało się w tajemniczy sposób uciec, tym Bułgarem, Georgijewem.

Paradoksalnie, ale istniała możliwość, że ONZ wyjdzie z całej tej afery jako strona poszkodowana, skrzywdzona przez spisek demonicznych Amerykanów. Amerykanie nie płacą składek, podsłuchują panią sekretarz generalną... Złamaliśmy wiele zasad, których kraje członkowskie ONZ zobowiązane są przestrzegać, pomyślał. Kraje utrzymujące terrorystów, handlujące narkotykami, depreczające prawa człowieka, będą miały unikalną szansę, by pogrozić palcem Stanom Zjednoczonym.

A my to wszystko przełkniemy, pomyślał. Przełkniemy to, ponieważ środki masowego przekazu będą nas uważnie obserwować. Zawsze był przekonany, że telewizja i ONZ są dla siebie stworzone. W oczach obu tych instytucji wszyscy ludzie są tego samego kalibru.

Hood wytarł się, przyglądając się sobie w lustrze. Niestety, nie wierzył, by najtrudniejszą walkę przyszło mu stoczyć z nieprzyjaciółmi. Najtrudniejsza walka rozpocznie się, gdy zacznie rozmawiać z Sharon – nie tylko na temat tego, co stało się dzisiaj, lecz na temat przyszłości, która nagle zaczęła wyglądać inaczej, niż ją sobie planowali.

— Dość — powiedział sobie cicho.

Rzucił ręcznik na półkę i napił się wody z kranu. Powoli wrócił do sypialni. Nogi bolały go po

biegu, nadwreżył sobie grzbiet podczas skoku do sali Rady Bezpieczeństwa. Położył

się obok Alexandra. Pocałował go delikatnie za uchem. Nie robił tego od dawna i bardzo zdziwił go ten odruch. Wspomnienie o małym dziecku gdzieś jednak pozostało.

Czerpał siłę ze spokoju chłopca. Zасыpiając, Paul Hood pomyślał jeszcze o tym, jakie to wszystko jest dziwne. W pewien sposób stworzył swoje dzieci, ale ich miłość i ich potrzeby w pewien sposób stworzyły jego.

Stworzyły ojca.

v Nowy Jork, niedziela 07.00

O siódmej rano obudził go telefon od Billa Mohalleya. Urzędnik Departamentu Stanu zadzwonił z informacją, że jego żona i córka, wraz z resztą dzieci i rodziców, przewieziona zostanie na lotnisko LaGuardia, skąd odleca do Waszyngtonu. Policja zawiadomiła Sharon o odlocie, po niego i Alexandra, za godzinę, miała przyjechać policja.

— Skąd ta błyskawiczna ewakuacja? — zdziwił się Hood. Był niezbyt przytomny, obolały, jaskrawe promienie słońca przeszywały mu czaszkę na wylot.

— Przede wszystkim ze względu na pana — wyjaśnił Mohalley — choć oczywiście nie chcemy, żeby wyszło na to, że wyrzucamy pana z miasta.

— Nie rozumiem. I dlaczego sprawą zajmuje się policja, a nie Departament Stanu?

— Ponieważ policja ma większe doświadczenie z gwiazdami, a czy panu się to podoba czy nie, właśnie został pan gwiazdą.

Zadzwonił telefon komórkowy. Dzwoniła Ann Farris. Paul podziękował Mohalleyowi i wstał z łóżka. Podeszedł do drzwi, by przypadkiem nie obudzić Alexandra. No i, na szczęście, było tu znacznie ciemniej.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — usłyszał głos Ann. — Jak się masz?

— Zaskakująco dobrze.

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

— Nie. To zawdzięczam Departamentowi Stanu.

— Coś ważnego?

— Jasne. Mam jak najszybciej wynosić się z miasta.

— Doskonale. W tej chwili jesteś niebezpiecznie na widoku.

— Niczego nie pojmuję. Co się, do cholery, dzieje, Ann?

— My, dziennikarze, nazywamy to „pragnieniem bohatera”. Ponieważ nikt nie zna nazwisk ludzi, których enigmatycznie nazywa się „dwoma funkcjonariuszami SWAT”, a 204

k którzy znaleźli się na sali przed tobą, media zorganizowały teatr jednego aktora i padło na ciebie.

— Mala Chatterjee też miała w tym swój udział, prawda?

— Nie jest z ciebie przesadnie zadowolona — przyznała Ann. — Powiedziała, cytując:

„niepotrzebnie ryzykował życiem córki, celem szybkiego i pozaprawnego rozwiązania kryzysu”.

— Niech sobie wsadzi...

— Mogę to zacytować? — roześmiała się Ann.

— Jako nagłówek. Co jest najgorsze?

— Kwestie bezpieczeństwa. Bob Herbert zajmuje się tą sprawą. Jesteś jedynym zidentyfikowanym i obfotografowanym członkiem zespołu, który spowodował śmierć terrorystów z trzech różnych krajów. Bob już zaczął szukać ich możliwych kontaktów z innymi grupami terrorystycznymi i chorymi nacjonalistami, którzy chcieliby ich ewentualnie pomścić.

— Strasznie przepraszam, nie wziąłem tego pod uwagę — zirytował się Hood.

— Tu nie chodzi o winę i wybaczenie — stwierdziła po prostu Ann — ale bardzo specyficzne sprawy, co próbowałam ci wytłumaczyć przez lata. Kontrola efektów działań nie jest już luksusem. Powiązania między światowymi systemami uczyniły z niej konieczność.

Mówiła, oczywiście, prawdę, a prawda ta czasami objawiała się w niezwykle sposób.

Piętnaście lat temu dane wywiadowcze gromadzone przez Boba Herberta i jego zespół z CIA zaczęto rutynowo przekazywać innym agencjom wywiadowczym, w tym wywiadowi Marynarki. Kiedy w latach osiemdziesiątych analityk marynarki, Jonathan Pollard, przekazał

dane do Izraela, Izrael ujawnił niektóre z nich Moskwie w zamian za wypuszczenie z ZSRR

partii Żydów. W wiele lat później, kiedy Centrum włączyło się w próbę zapobieżenia zamachowi stanu, danych uzyskanych przez Herberta użyto przeciwko niemu.

— Jak to wygląda w prasie? — spytał Hood.

— W komentarzach krajowych i sondażach znakomicie. Po raz pierwszy prasa konserwatywna i liberalna grają na jedną nutę. Pokazują cię jako „bohaterskiego tatusia”.

— A w prasie zagranicznej?

— Mógłbyś startować w wyborach na premiera w Wielkiej Brytanii i Izraelu – i prawdopodobnie byś wygrał. Gdzie indziej wygląda to raczej niedobrze. Sekretarz generalna nazwała cię „jeszcze jednym brutalnym Amerykaninem z bronią w ręku”. Żąda śledztwa i aresztu domowego.

— Jest tak jak mówiłeś — zostajesz ewakuowany z miasta. Departament Stanu i Biały Dom nie zdecydowały się jeszcze, jak rozegrać tę sprawę. Chyba chcą cię mieć pod ręką, żebyś im coś doradził. Chociaż uprzedzam cię od razu, że Bob podjął środki ostrożności.

Skontaktował się z policją Chevy Chase i poprosił, by obstawiła twój dom. Na wszelki wypadek. Już tam są.

Paul podziękował jej, obudził Alexandra i zaczął przygotowywać się do opuszczenia hotelu. Nigdy nie ukrywał niczego przed dziećmi, toteż i teraz, ubierając się, opowiedział

chłopcu dokładnie, co stało się zeszłej nocy. Alexander nie bardzo w to wszystko uwierzył, ale przekonali go przysłani do hotelu policjanci. Było ich sześciu, Paula potraktowali jak swego i wychwalali go pod niebiosa. Wyprowadzono ich przez piwnicę do garażu, gdzie czekała już kolumna trzech limuzyn. Takie traktowanie, odpowiednie raczej dla gwiazdy rocka, zaimponowało chłopcu bardziej niż cokolwiek, co zobaczył w Nowym Jorku.

Wraz z innymi rodzicami wrócili do Waszyngtonu na pokładzie *Boeinga 737 Sił*

Powietrznych. Podczas godzinnego lotu Sharon zachowywała się bardzo spokojnie. Siedziała obok Harleigh, która złożyła jej głowę na ramieniu. Jak większość dziewcząt, i ona dostała łagodny środek uspokajający, mający ułatwić jej sen, lecz w odróżnieniu od większości nie spała spokojnie, od czasu do czasu pokrzykiwała, jęczała i drżała. Być może największa tragedia, pomyślał Paul, polega na tym, że wcale nie uratowałem jej z tej przeklętej sali. Ona tam pozostała, jeśli nie ciałem, to duchem.

Samolot wylądował w Bazie Sił Powietrznych Andrews, oficjalnie dlatego, że wojsko było w stanie zapewnić dzieciom niezbędny im spokój i prywatność, Paul jednak doskonale wiedział, o co naprawdę chodzi. Centrum miało swą siedzibę na terenie bazy. Kiedy samolot kołował, dostrzegł czekającą nań białą furgonetkę Centrum. Przez odsunięte boczne drzwi wyglądali Lowell Coffey i Bob Herbert.

Sharon dostrzegła ich dopiero schodząc po schodkach. Paul skinął im głową. Obaj pozostali w samochodzie.

Departament Stanu zapewnił wózki inwalidzkie tym, którzy mogli ich potrzebować.

Podstawił także autobus do rozwiezienia rodzin po domach. Jego przedstawiciel zapewnił rodziców, że ich samochody zostaną zabrane z nowojorskiego parkingu jeszcze tego samego dnia.

Sharon i Paul pomogli Harleigh usiąść w wózku, który popychał Alexander.

Sharon spojrzała na męża.

— Nie wracasz z nami? — spytała, a raczej stwierdziła spokojnym, równym, obojętnym głosem.

— Przysięgam, nie wiedziałem, że tu będą. — Paul wskazał kciukiem furgonetkę Centrum.

— Ale nie jesteś zaskoczony?

206

— Nie, nie jestem zaskoczony. Zabiłem człowieka na obcej ziemi. To musiało spowodować komplikacje. Nie bój się, nic ci nie będzie. Bob załatwił ochronę domu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Nie boję się. — Sharon zaczęła się odwracać. Mąż złapał ją za rękę.

— Nie rób mi tego — poprosił.

— Czego mam ci nie robić? Nie wracać z dziećmi do domu?

— Nie odsuwaj się ode mnie.

— Ja się wcale od ciebie nie odsuwam. Podobnie jak ty, staram się zachować spokój i poradzić sobie z sytuacją. To, co zdecydujemy w ciągu kilku następnych dni, będzie miało wpływ na całe życie naszej córki. Chcę przygotować się emocjonalnie do podjęcia decyzji.

— Oboje musimy się przygotować, by podjąć decyzje wspólnie — poprawił ją Paul. —

To nasze zadanie.

— Mam nadzieję, że tak jest rzeczywiście, ale przecież ty znów masz dwie rodziny. Nie mam już energii walczyć o równouprawnienie z tą drugą.

— Dwie rodziny? Sharon, ja przecież nie nająłem tych terrorystów. Odszedłem z Centrum! Jeśli wracam, to tylko dlatego, że znalazłem się w środku międzynarodowego konfliktu! Nie poradzę... nie poradzimy sobie z tym każde samodzielnie.

W tym momencie podszedł do nich przedstawiciel Departamentu Stanu. Oznajmił, że autobus czeka. Sharon powiedziała synowi, żeby zawiózł tam siostrę i obiecała, że zaraz przyjdzie. Alexander zapewnił ją uroczyście, że będzie się nią opiekował.

Paul spojrzał na żonę. Patrzyła na niego, w oczach miała łzy.

— A co będzie, kiedy skończy się ten międzynarodowy kryzys? Czy wtedy cię odzyskamy? Naprawdę sądzisz, że zadowolili cię pomoc w prowadzeniu domu? Przecież to co innego niż rządzenie

miastem albo agencją rządową.

— Nie wiem. Ale daj mi szansę. Pozwól mi spróbować.

— Szansę? — Sharon uśmiechnęła się. — Paul, dla ciebie to pewnie bez sensu, ale zeszłej nocy, kiedy dowiedziałam się, co zrobiłeś dla Harleigh, byłam na ciebie wściekła.

— Wściekła? Za co?

— Ponieważ ryzykowałeś życiem, reputacją, karierą i wolnością, by uratować życie naszej córce.

— I to cię rozłościło? Nie wierzę własnym uszom...

— Owszem, rozłościło. Nigdy nie wymagałam od ciebie wiele. Chciałam tylko mieć mały udział w twym życiu. Chciałam, żebyś miał czas na koncert skrzypcowy, mecz piłki 207

nożnej, od czasu do czasu wspólny wyjazd na wakacje... Na wspólną kolację. Odwiedziny moich rodziców. I niemal nic z tego nie dostałam. Nie było cię przy mnie zeszłej nocy, kiedy naszej córce groziła śmierć.

— Robiłem wszystko, żeby ją uratować i...

— Wiem. I uratowałeś ją. Pokazałeś mi, do czego jesteś zdolny, jeśli chcesz. Jeśli chcesz!

— Próbujesz mi dowieść, że nie chcę być z rodziną? Słuchaj, bardzo wiele przeszłaś...

— Powiedziałam, że nie zrozumiesz i miałam rację. — Po policzkach Sharon płynęły łzy. — Muszę iść.

— Nie, proszę, nie żegnajmy się tak...

— Czekają na ciebie — przypomniała mu, wyrwała rękę i pobiegła do autobusu.

Paul patrzył, jak wsiada do autobusu. Zamknęły się harmonijkowe drzwi, ryknął silnik i autobus odjechał. Poszedł w stronę furgonetki Centrum. Teraz on był wściekły.

To przecież nie do wiary, myślał. Nawet żona miała do niego pretensję o to, co zrobił

zeszłej nocy. Powinna zwołać wspólną konferencję prasową z Chatterjee.

Gniew jednak minął równie szybko, jak przyszedł. I nagle ogarnęła go mieszanina wątpliwości i poczucia winy.

Zrozumiał, o czym myśli, ściskając na powitanie wielką, twardą dłoń Boba Herberta.

Musiał udzielić sobie uczciwej odpowiedzi na bardzo bolesne pytanie.

A jeśli Sharon miała rację?

208

v Waszyngton, Dystrykt Columbia, niedziela 10.00

Kiedy wszedł do furgonetki, powitały go szczerze życzenia wszystkiego najlepszego i ciepłe słowa uznania. W samochodzie nie było kierowcy. Herbert zasunął drzwi, Hood usiadł

na siedzeniu pasażera, a Lowell Coffey rozparł się za kierownicą.

Droga do budynku Centrum trwała krótko. Po drodze Coffey oznajmił, że w Centrum Hood spędzi tylko tyle czasu, ile trzeba, by się wykapać, ogolić i włożyć garnitur, który Bob specjalnie przywiózł z jego domu.

— Co się dzieje? Gdzie jedziemy? — zdziwił się Paul.

— Do Białego Domu — poinformował go prawnik.

— Co mnie tam czeka, Lowell?

— Szczerze przyznam, że nie mam zielonego pojęcia. Sekretarz generalna Chatterjee wraz z ambasadorką Meriwether przylatują, by spotkać się z prezydentem Lawrence'em.

Spotkanie wyznaczono na dwunastą. To prezydent chce się z tobą zobaczyć.

— Wiesz dlaczego?

— Zapewne chce poznać sprawę z obu punktów widzenia. Jeśli chodzi o coś innego, to z całą pewnością o nic dobrego.

— To znaczy?

— Może na przykład zechcieć odesłać cię z powrotem do Nowego Jorku pod opieką ambasadora amerykańskiego. Żebyś był pod ręką na wypadek, gdyby pani sekretarz generalna albo któryś z jej doradców chciał zadać ci jakieś pytanie. Gest dobrej woli.

Wózek Herberta stał pomiędzy siedzeniami, nieco z tyłu.

— Gest dobrej woli, dobre sobie! — prychnął Bob. — Paul uratował całą to cholerną budę. Nie widziałem jeszcze takiej odwagi. Mike i Brett byli wspaniali, jasne... ale, wiesz co, Paul? Kiedy dowiedziałem się że to ty załatwiłeś ostatniego z tych facetów powiem ci, że byłem z ciebie dumny jak z nikogo. Z nikogo!

— Na nieszczęście prawo międzynarodowe nie przyjmie słowa „dumny” jako argumentu obrony.

— To jedno ci powiem, Lowell. Jeśli Paula wyślą do Nowego Jorku albo jakiejś innej, pożałuj się Boże, Hagi, postawią przed sądem i będą próbowali sądzić go według zasad tej 209

swojej sprawiedliwości, czyli zrobić z niego kozła ofiarnego z grilla, to ja osobiście wezmę zakładników.

Zaczęła się ich zwyczajowa dyskusja i, jak zwykle przy takich okazjach, prawda leżała gdzieś pośrodku. Kwestie prawne kwestiami prawnymi, ale sądy dopuszczają przecież argumenty emocjonalne. Paul Hood zresztą nie przejmował się sądami, bardziej martwiła go najbliższa przeszłość. Chciał być z rodziną, chciał pomóc córce, którą czekały jeszcze długie, trudne chwile. Nie mógłby tego zrobić, gdyby miał bronić się przed sądem w jakimś dalekim kraju.

Pragnął także pozostać w Centrum. Być może przesadził z rezygnacją. Być może powinien po prostu wziąć przedłużony urlop?

A może wszystko to czysto akademickie spekulacje? – pomyślał. Zaledwie kilka dni temu był w stanie decydować o własnej przyszłości. Teraz o jego przyszłości miał

zdecydować prezydent Stanów Zjednoczonych.

Ponieważ nikt nie wiedział, że Paul pojawi się w Centrum, nie było tu nikogo z podstawowego zespołu. Dyżurni pogratulowali Hoodowi odwagi, którą wykazał się ratując córkę, życzyli mu szczęścia i zapewnili o swym poparciu, niezależnie od tego, co ma się zdarzyć.

Gorący prysznic okazał się błogosławieństwem dla obolałych mięśni, a świeże ubranie poprawiło Paulowi samopoczucie. W trzy kwadransy po wylądowaniu w Andrews Paul Hood ponownie zasiadł w furgonetce. Bob Herbert głowił się nad problemami bezpieczeństwa, a Lowell Coffey wiózł go na spotkanie z prezydentem.

v Waszyngton, Dystrykt Columbia, niedziela 11.45

Siedząc w limuzynie, wiozącej ją do Białego Domu, Mala Chatterjee czuła się zbrukana.

Nie miało to nic wspólnego z jej stanem fizycznym, choć z pewnością przydałaby się kąpiel i długi odpoczynek, zamiast prysznic w biurze i drzemki podczas lotu. Czuła się zbrukana, ponieważ była świadkiem okrutnej egzekucji dokonanej na dyplomacji. Wprawdzie nie była w stanie kontrolować rozlewu krwi, ale nie miała zamiaru zrezygnować z nadzorowania sprzątanego po nim. A miało to być bardzo dokładne sprzątanie.

Chatterjee i ambasador Flora Meriwether prawie ze sobą nie rozmawiały.

Współgospodyni planowanego koncertu młodych muzyków, pięćdziesięciosiedmioletnia pani ambasador spóźniła się na nie, podobnie jak pani sekretarz i tylko dzięki temu sama nie stała się zakładniczką. Po ataku nie pozostała jednak z innymi dyplomatami. Wróciła do gabinetu, twierdząc, że tą sprawą musi zająć się sekretarz generalna i jej ludzie. Była to oczywiście prawda, niemniej Meriwether nie mogła dobitniej odciąć się od całej sprawy. Nie chciała sprawiać wrażenia, że naciska na ONZ celem zaangażowania amerykańskich negocjatorów czy też dopuszczenia do ataku przeprowadzonego przez amerykańskich żołnierzy. Chatterjee doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zabawne, biorąc pod uwagę jak potoczyły się wydarzenia.

Mala Chatterjee nie wiedziała, jak w tej chwili czuje się pani ambasador USA przy ONZ. Nie wiedziała też, co myśli o tym wszystkim prezydent. Zresztą, nie miało to wielkiego znaczenia. Nalegała na natychmiastowe spotkanie z prezydentem, ponieważ musiała bez zwłoki przywrócić ONZ prawo do rządzenia własnymi sprawami oraz dyscyplinowania tych krajów, które łamały prawo międzynarodowe. Narody Zjednoczone błyskawicznie potępiły inwazję Iraku na Kuwejt. Równie szybko muszą potępić Stany Zjednoczone za sposób, w jaki wtrąciły się sytuację wytworzoną przez atak terrorystów.

Chyba wszyscy korespondenci prasy zagranicznej czekali na limuzynę, wjeżdżającą do Białego Domu przez południowo-zachodnią bramę. Ambasador Meriwether odmówiła rozmów z mediami, podczas gdy Chatterjee złożyła krótkie oświadczenie.

— Zdarzenia ostatnich osiemnastu godzin były bardzo trudne dla ONZ i krajów członkowskich — powiedziała pani sekretarz. — Opłakujemy los tak wielu cenionych współpracowników. Cieszymy się, że zakładnicy są już ze swymi rodzinami, ale nie możemy pogodzić się z metodami, którymi rozwiązano kryzys. Sukces Narodów Zjednoczonych i ich misji możliwy jest tylko wówczas, gdy kraj, który jest naszym gospodarzem, powstrzyma się od podjęcia pewnego typu działań. Poprosiłam o spotkanie z prezydentem i panią ambasador Meriwether, gdyż jest ono konieczne do osiągnięcia bardzo ważnych celów. Po pierwsze, musimy zrekonstruować przebieg zdarzeń, które doprowadziły do tak poważnego naruszenia suwerenności ONZ oraz jej karty. Po drugie, celem upewnienia się, że suwerenność ta nie będzie naruszana w przyszłości.

Podziękowała dziennikarzom, obiecała, że więcej powie im po spotkaniu. Miała wrażenie, że udało się jej przekazać oburzenie z powodu brutalnego naruszenia podstawowych zasad ONZ przez amerykańskich żołnierzy.

Do Gabinetu Owального idzie się krętym korytarzem, mijając po drodze biuro sekretarza prasowego oraz salę doradców, za którym urzęduje sekretarka prezydenta. Do gabinetu prezydenta można wejść tylko przez sekretariat, w którym zawsze dyżuruje funkcjonariusz Tajnej Służby.

Prezydent był gotów punktualnie na dwunastą. Osobiście przywitał Male Chatterjee.

Michael Lawrence mierzył przeszło metr dziewięćdziesiąt wzrostu, siwe, miał krótko przystryżone włosy oraz opaloną na brązowo twarz. Uśmiechał się szerokim, szczerym uśmiechem, miał mocny uścisk dłoni i przemawiał dźwięcznym głosem, promieniującym z całego ciała.

— Cieszę się, że znów panią widzę, pani sekretarz generalna — powiedział.

— I nawzajem, panie prezydencie, choć wolałabym, żebyśmy spotkali się w innych okolicznościach.

Spojrzenie niebieskoszarych oczu prezydenta spoczęło na ambasador Meriwether.

Lawrence znał ją od blisko trzydziestu lat. Razem studiowali nauki polityczne na uniwersytecie nowojorskim i to on odciągnął ją od pracy naukowej, proponując stanowisko w ONZ.

— Floro — powiedział teraz — czy mogłabyś zostawić nas samych na kilka minut?

— Ależ oczywiście.

Weszli do Gabinetu Owального. Sekretarka zamknęła za nimi drzwi. Prezydent gestem poprosił gościa o zajęcie miejsca. Chatterjee usiadła, sztywno wyprostowana. Ubrany w szary garnitur, bez krawata, prezydent zachowywał się znacznie swobodniej. Wyłączył telewizor, nastawiony poprzednio na CNN.

— Słyszałem, co powiedziała pani prasie — oznajmił. — Kiedy wspominała pani o zdarzeniach, które podważyły suwerenność Narodów Zjednoczonych, czy miała pani na myśli atak terrorystów?

Chatterjee siedziała w żółtym fotelu. Splotła dłonie i skrzyżowała nogi.

— Nie, panie prezydencie — odparła. — To osobne zagadnienie. Chodziło mi o nieautoryzowany atak przeprowadzony przez Paula Hooda z pańskiego Centrum Zapobiegania Sytuacjom Kryzysowym i dwóch niezidentyfikowanych do tej pory amerykańskich żołnierzy.

— A więc chodzi pani o atak, którego wynikiem było uwolnienie zakładników i zakończenie kryzysu?

— Jego rezultat nie jest przedmiotem dyskusji — skontrowała stanowczo pani sekretarz.

— W tej chwili niepokoją mnie przede wszystkim metody.

212

— Rozumiem. — Prezydent usiadł za biurkiem. — Jakie kroki pragnęłaby pani podjąć w tej sprawie?

— Pan Hood powinien powrócić do Nowego Jorku i odpowiedzieć na szereg pytań związanych z owym atakiem.

— Już? Teraz? Kiedy jego córka nie wyszła jeszcze z szoku?

— Nie musi to być zaraz. Środek tygodnia to bardzo dobry termin.

— Rozumiem. A te pytania? Co spodziewa się pani dzięki nim osiągnąć?

— Chcę formalnie ocenić, czy doszło do złamania prawa i czy zostały przekroczone granice, których nie wolno przekraczać.

— Pani sekretarz generalna, obawiam się, że – jeśli wolno mi to powiedzieć – nie dostrzega pani pewnych szerszych aspektów sprawy.

— Na przykład?

— Na przykład odnoszę wrażenie, że nowojorska policja, Departament Stanu, FBI i siły zbrojne Stanów Zjednoczonych działały w tej sprawie z niezwykłą wręcz wstrzemięźliwością i szacunkiem dla ONZ, biorąc pod uwagę, że zagrożone było życie wielu młodych Amerykanów. Kiedy sytuacja pogorszyła się zdecydowanie, a pani jednostki zostały pokonane, owszem, trzech Amerykanów dostało się do sali Rady Bezpieczeństwa. Działali nie zważając na własne dobro i działali skutecznie, jak przystało na amerykańskich żołnierzy.

— Nikt nie kwestionuje ich odwagi. Ale zgodne z prawem zachowanie wielu nie jest usprawiedliwieniem choćby i bohaterskiej, lecz bezprawnej akcji niewielu. Jeśli złamano prawo, być może trzeba będzie zastosować środki prawne. To nie jest mój kaprys, panie prezydencie. Tak stanowi nasza karta. To nasze prawo. I już zanotowaliśmy głosy, by prawo to było przestrzegane.

— Czyje głosy? Krajów, których obywatelami byli terroryści?

— Cywilizowanych krajów świata.

— Tak więc, by zaspokoić ich cywilizowaną żądzę krwi, chce pani postawić Paula Hooda przed sądem?

— Pański sarkazm został odnotowany. Ale ma pan rację, proces nie jest wykluczony.

Akcja pana Hooda zdecydowanie go usprawiedliwia.

Prezydent usiadł wygodniej.

— Pani sekretarz generalna, tej nocy Paul Hood został bohaterem moim i około dwustu pięćdziesięciu milionów Amerykanów. W tej sprawie mamy do czynienia też ze zbrodniczą działalnością obywateli USA, między innymi pewnej agentki CIA, która najprawdopodobniej nie wyjdzie z więzienia do końca życia, ale za nic na świecie nie zgodzę się postawić przed sądem człowieka za to, że uratował córkę z rąk terrorystów.

213

Chatterjee przez chwilę przyglądała się Lawrence'owi.

— A więc nie wyda go pan nam celem przesłuchania?

— Sądzę, że pani słowa doskonale opisują stanowisko mojej administracji w tej sprawie.

— Stany Zjednoczone sprzeciwią się woli społeczności międzynarodowej?

— Otwarcie i z entuzjazmem — przytaknął prezydent. — Zresztą, pani sekretarz generalna, nie sądzą, by delegaci Narodów Zjednoczonych zbyt długo zamartwiali się tą sprawą.

— Nie jesteśmy Kongresem, panie prezydencie. Nie docenia pan naszej zdolności do dążenia do wyznaczonego celu.

— Ależ skąd. Jestem pewien, że delegaci wykażą się chwalebnią zdolnością w dążeniu do wyznaczonego celu, zwłaszcza jeśli celem tym będzie wyszukanie mieszkań dla rodzin i szkół dla dzieci, gdy moja administracja poprze projekt przeniesienia ONZ do innej światowej stolicy, Chartumu powiedzmy albo Rangun.

Chatterjee poczuła, że się czerwieni. Ty sukinsynu, pomyślała. Ty cholerny, rozpychający się łokciami sukinsynu!

— Panie prezydencie, nie reaguję na groźby.

— Ależ oczywiście, że reaguje pani. Na tę zareagowała pani błyskawicznie i bardzo otwarcie.

Hindusce chwilę zabrało zrozumienie, że prezydent ma rację.

— Nikt nie lubi, kiedy rozstawia się go po kątach — mówił dalej Lawrence — a my chyba właśnie tym się zajmujemy. Jedyne czym warto się zająć to znalezienie niekonfrontacyjnego, bezpiecznego rozwiązania naszego problemu. Takiego, z którego wszyscy byliby zadowoleni.

— Na przykład? — nawet zła i wyprowadzona z równowagi, Mala Chatterjee była dyplomatką. Umiała słuchać.

— Najlepszym sposobem uspokojenia oburzonych delegatów byłoby, mam wrażenie, oświadczenie, że rząd Stanów Zjednoczonych spłaci swe dwumiliardowe długi wobec ich instytucji. Dzięki temu będą mieli więcej pieniędzy na swoje programy: [FAO](#)

[4, UNESCO,](#)

[UNIDO](#)

... Jeśli dobrze to rozegramy, zapewne wyda im się nawet, że coś wygrali. A pani pozycja na tym nie ucierpi.

Chatterjee przyglądała się chłodno prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

— Pani prezydencie, doceniam śmiałość pańskiej inicjatywy. Istnieją jednak problemy natury prawnej, które muszą zostać rozwiązane.

214

Prezydent uśmiechnął się lekko.

— Pani sekretarz generalna, niemal dwadzieścia pięć lat temu pewien Rosjanin, Aleksander Sołżenicyn, wypowiedział z okazji nadania mu doktoratu coś, czego siedzący przed panią prawnik nigdy nie zapomniał. „Całe życie przeżyłem pod władzą komunizmu i powiem wam, że społeczeństwo, w którym nie ma obiektywnej, prawnej skali oceny jest rzeczywiście straszne. Ale społeczeństwo posługujące się wyłącznie skalą prawną, także nie jest godne człowieka”.

Chatterjee uważnie przyglądała się prezydentowi. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy dostrzegła w jego oczach i wyrazie twarzy coś, co można byłoby uznać za szczerłość.

— Pani sekretarz — mówił dalej prezydent — jest pani wyczerpana. Czy wolno mi coś zaproponować?

— Bardzo proszę.

— Niech pani wróci do Nowego Jorku, odpocznie i przemyśli sobie to, co powiedziałem. Niech pani pomyśli także, jakie cele moralne możemy przed sobą postawić.

— Stawianie nowych celów zamiast osiągnięcia starych?

— Zamiast podkreślania tego, co nas dzieli. Rany należy leczyć, nie rozdrapywać.

Hinduska wstała z westchnieniem.

— Przynajmniej z tym mogę się zgodzić, panie prezydencie — stwierdziła.

— Bardzo mnie to cieszy. Jestem pewien, że z czasem wszystko się uporządkuje.

Prezydent wyszedł zza biurka, pożegnał się z gościem i odprowadził go do drzwi.

Pani sekretarz nie spodziewała się takiego przebiegu spotkania. Spodziewała się, oczywiście, że Lawrence nie od razu zgodzi się na jej żądania, ale miała zamiar wykorzystać przeciw niemu media. A teraz, co powie dziennikarzom? Że prezydent Stanów Zjednoczonych to sukinsyn? Że zamiast rzucić wilkom na pożarcie amerykańskiego ojca, zaoferował pomoc w postawieniu na nogi kulejących finansów ONZ, dzięki czemu organizacja ta będzie w stanie pomóc tysiącom ojców w biednych krajach świata?

Wpatrzona w puszysty, niebieski dywan ze wzorem z prezydenckiej pieczęci, Chatterjee pomyślała, że w tym co się stało, kryje się więcej niż odrobina ironii. Przyjechała do Białego Domu czując się zbrukana, ponieważ była świadkiem śmierci dyplomacji. W Gabinetce Owalnym dyplomacja praktykowana jednak była nadal z wielką inteligencją i zręcznością.

Więc czemu czuje się brudniejsza niż kiedykolwiek?

v Waszyngton, Dystrykt Columbia, niedziela 12.08

Paul Hood uczestniczył w wystarczająco wielu politycznych i ekonomicznych spotkaniach, zarówno na Wall Street, jak i pracując dla rządu, by wiedzieć, że wyniki takich spotkań decydują się często, nim w ogóle się zaczną. Ich najważniejsi uczestnicy, czasami nie więcej niż dwaj, rozmawiają lub nawet spotykają się wcześniej, a kiedy pojawią się wszyscy, rozmowy są już głównie przedstawieniem.

Tym razem nie było nawet przedstawienia. W każdym razie w Gabinetcie Ovalnym.

Po drodze pomachał do dziennikarzy, ale nie zgodził się odpowiadać na pytania. Kiedy wszedł do Sekretariatu Gabinetu Ovalnego, ambasador Meriwether rozmawiała z sekretarką prezydenta, czterdziestodwuletnią Elisabeth Lopez. Dyskutowały wydarzenia poprzedniego dnia. Na jego widok umilkły.

Do tej pory Paul uważał Lopez za kobietę uprzejmą, lecz sztywną. Dziś sekretarka uśmiechała się do niego ciepło i była więcej niż przyjazna. Zaparzyła mu nawet kawę z prywatnego zapasu prezydenta. Pani ambasador o twarzy rasowego pokerzysty także wykazała niezwykłą, jak dla niej, serdeczność. Co za ironia, pomyślał, zdaje się, że jedyną matką nie akceptującą dziś mych postępów jest matka moich własnych dzieci.

Pani ambasador powiedziała mu, że u prezydenta jest właśnie Mala Chatterjee.

— Niech zgadnę. Domaga się, żeby postawić mnie przed jakąś nową komisją powołaną spośród delegatów nienawidzących Stanów Zjednoczonych?

— Sam przeciw całemu światu? — uśmiechnęła się ambasador.

— I w dodatku mam rację.

— Sekretarz generalna nie jest wcale osobą nierozsądną. To po prostu idealistka, a w dodatku jeszcze trochę zielona. Dziś rano przedyskutowaliśmy jednak z prezydentem możliwe rozwiązanie problemu. Rozwiązanie, które powinno podobać się pani sekretarz.

Paul popijał czarną kawę. Miał właśnie zamiar usiąść, kiedy otworzyły się drzwi Gabinetu Ovalnego. Mala Chatterjee przeszła przez nie pierwsza, za nią podążał prezydent.

Pani sekretarz sprawiała wrażenie niezbyt uszczęśliwionej.

Hood odstawił kawę, prezydent przywitał się tymczasem z ambasador Meriwether.

— Pani ambasador, dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu.

— Dziękuję, panie prezydencie.

— Pani ambasador, właśnie omówiłem z panią sekretarz generalną kilka bardzo ciekawych pomysłów. Porozmawiajmy o nich po drodze do wyjścia.

— Doskonale.

Dopiero teraz prezydent spojrział na Hooda.

— Paul, miło znów cię widzieć — powiedział, podając rękę. — Jak się czuje twoja córka?

— Jest w szoku.

— Oczywiście, to zrozumiałe. Będziemy się za nią modlić. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, powiedz.

— Dziękuję, panie prezydencie.

— Mam wrażenie, że wszystkie sprawy udało się nam całkiem nieźle poukładać —

mówił dalej prezydent — choć byłoby chyba lepiej, gdybyś przez parę dni nie pchał się na oczy dziennikarzom. Wszystkie sprawy może przecież załatwić rzecznik prasowy Centrum.

Zaczekajmy przynajmniej, póki pani sekretarz nie porozmawia ze swoimi ludźmi w Nowym Jorku.

— Oczywiście.

Hood uścisnął dłoń prezydenta i pożegnał się z panią ambasador. Potem podał rękę Mali Chatterjee. Pani sekretarz spojrziała na niego po raz pierwszy od poprzedniej nocy. Oczy miała ciemne, zmęczone, a w jej włosach dostrzegł pasma siwizny, których wcześniej nie widział.

Nie powiedziała nic. Nie musiała. Tej bitwy także nie udało się jej wygrać.

Sala Tajnej Służby znajdowała się pomiędzy końcem głównego korytarza i wejściem do Zachodniego Skrzydła. Lowell Coffey i Bob Herbert siedzieli tam, rozmawiając z dwójką agentów. Nie zaproszono ich na spotkanie, a chcieli być blisko Paula na wypadek, gdyby potrzebował ich wsparcia moralnego lub taktycznego, w zależności od tego, co musiałby zrobić po spotkaniu.

Prezydent, sekretarz generalna i ambasador USA przy ONZ poszli na spotkanie z dziennikarzami. Bob i Lowell zbliżyli się do Hooda.

— Nie trwało to długo — zauważył Herbert.

— O co chodziło? — zainteresował się Coffey.

— Nie mam pojęcia — odparł Paul. — Nie zostaliśmy zaproszeni na spotkanie, ani ambasador Meriwether, ani ja.

— Czy prezydent coś ci powiedział?

217

Hood uśmiechnął się lekko i położył dłoń na ramieniu prawnika.

— Powiedział, żebym wracał do domu, do córki, i właśnie to mam zamiar zrobić.

Wyszli we trzech z Białego Domu. Udało im się wymknąć dziennikarzom, bowiem poszli ku West Executive Avenue, a stamtąd na południe, do Ellipse, gdzie zaparkowali samochód.

Paul Hood zaczynał po trosze żałować Chatterjee. W gruncie rzeczy nie była złym człowiekiem. Nie była także złą kandydatką na stanowisko, które zajmowała. Problem tkwił

w samej instytucji. Jeśli jakieś państwo napadło na inne państwo albo dokonało masowego mordu, to ONZ zapraszała je wówczas do dyskusji i tym samym legitymizowała to, co niemoralne.

Przyszło mu do głowy, że być może właśnie Centrum byłoby w stanie ukrócić nieco te praktyki. Można byłoby użyć jego środków do identyfikacji międzynarodowych zbrodniarzy i wymierzać im sprawiedliwość. Nie, nie urządzać procesów, wymierzać im sprawiedliwość.

Najlepiej jeszcze nim uderzą.

Warto byłoby o tym pomyśleć. Bowiem choć powinien być dla córki ojcem, powinien być głową rodziny, mógł dać jej coś jeszcze. Coś czego nie mogli dać dzieciom inni rodzice.

Odrobinę normalniejszy świat, w którym żyć będzie z własną rodziną.

218

v Los Angeles, Kalifornia, niedziela 15.11

Widział wiele miejsc na świecie. Arktykę. Tropiki. Każde miało swój urok, każde było na swój sposób piękne. Jeszcze nigdy jednak nie znalazł się w miejscu, które aż tak spodobałoby mu się od pierwszego wejrzenia.

Wyszedł z lotniskowego terminalu, głęboko oddychając świeżym, ciepłym powietrze.

Niebo było czyste, błękitne. Mógłby przysiąc, że czuje smak oceanu.

Schował paszport do kieszeni sportowej marynarki i rozejrzał się dookoła. Przy krawężniku parkowały furgonetki; wybrał jedną, należącą do renomowanego hotelu. Nie miał

rezerwacji, ale kiedy podejdzie do lady recepcji powie, że nie pamięta jej numeru, bo nie jego rzeczą jest przecież pamiętać numery, to ich obowiązek. Nawet jeśli rzeczywiście nie będą mieć miejsca, znajdą mu pokój gdzie indziej. Renomowane hotele zawsze tak postępują.

Usiadł w fotelu przy oknie i wyjrzał przez okno. Mijali właśnie szarobiałą, smukłą wieżę kontrolną. Po obu stronach drogi rosła bujna roślinność. Samochody jeździły szybko, nie tak jak w Nowym Jorku albo w Paryżu.

Iwan Georgijew od razu doszedł do wniosku, że będzie mu się tu podobało.

Spodobałaby mu się z pewnością także Południowa Ameryka, ale nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Czasami nawet najlepsze plany nie dadzą się zrealizować. Właśnie dlatego, w odróżnieniu od wielu innych ludzi, zawsze zostawiał sobie drogę ucieczki. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, Susan Hampton miała wysłać po niego swych tropicieli.

Mieli spotkać się później, w hotelu, gdzie zapłaciliby jej albo z okupu, albo z własnych pieniędzy.

Kiedy się nie pokazała, założył, że zdarzyło się najgorsze. Później, gdy znów pojawili się tropiciele, by umieścić go w samolocie i wysłać z kraju, dowiedział się, że została złapana.

Powiedzieli mu, że prawdopodobnie zawrze układ z prokuraturą i dostanie piętnaście lat za opowiadanie przed sądem o związkach CIA – Siły Pokojowe ONZ. Właśnie dlatego miał zniknąć. CIA zamierzała wszystkiemu zaprzeczyć.

Miał polecieć z Los Angeles do Nowej Zelandii, ale wcale nie miał ochoty lecieć do Nowej Zelandii. Nie chciał, by CIA wiedziała, gdzie jest. A poza tym miał pieniądze i miał

pomysły. Miał także kontakty wśród emigrantów ze wschodniej Europy, zwłaszcza Rosjan, wykupujących w Hollywood studia filmowe.

Georgijew uśmiechnął się. Współpracownicy mówili mu, że biznes filmowy jest bezwzględny, lecz i podniecający. Tu zagraniczny akcent uważano za wyrafinowany; był on przepustką na przyjęcia. W tym biznesie nie wbijano sobie noża w plecy ukradkiem, lecz w pierś i przy świadkach, tak by wszyscy to widzieli.

219

Bułgar uśmiechnął się jeszcze szerzej. Mówił z akcentem i radośnie będzie wbijał ludziom nóż w pierś, kiedykolwiek przyjdzie mu na to ochota.

Tak, na pewno mu się tu spodoba.

KONIEC

220

We Włoszech trzydzieści lat rządów Borgiów przypadło na czas wojny, mordów, terroru i rozlewu krwi – i czasy te dały światu Michała Anioła, Leonarda da Vinci oraz renesans. W

Szwajcarii pięć wieków demokracji, pokoju i przykładowej braterskiej miłości dało światu co?

Zegar z kukułką!

Orson Welles

1 *Special Weapons and Tactic* – (dosł.) specjalne uzbrojenie i taktyka, określenie brygad antyterrorystycznych policji [przyp. red.]

2 (dosł.) *Szowinistyczny Instytut Amerykański* [przyp. red.]

3 *Sea Air Land* – komandosi Marynarki USA [przyp. red.]

* *Remote Eavesdropping Device* – urządzenie do zdalnego podsłuchu [przyp. red.]

4 *Food and Agriculture Organization of the United States* — Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa [przyp. red.]

* *United Nations Educational, Scientific and Cultural Organization* — Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury [przyp. red.]

*** *United Nations Industrial Development Organization* — Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju Przemysłowego [przyp. red.]

